ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

65

ROK XVIII. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIX.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

1893.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

str.

I. **Dyabeł w poezyi.** Studyum literacko-historyczne. Przez *Ignacego Matuszewskiego* 417

II. **Z Dantego Alighieri. Czyściec.** Przez *Edwarda Porębowicza* 468

III. **Urządzenia kolejowe w Ameryce.** Przez *Br. Wernera.* 481

IV. **W kleszczach.** Nowela. Przez *Sewera* 490

V. **Oświata i wiedza przyrodnicza.** Przez *Wł. M. Kozłowskiego* 541

VI. **Anglo-Sasi, jako rasa przyszłości.** Przez d-ra *M. E. Trepkę* 559

VII. **Estetyka Wilanowa.** Przez *Kazimierza Kleczkowskiego* . 574

VIII. **Kronika ekonomiczna** 581

IX. **Rozbiory i sprawozdania.**
M. Heilpern. Tajemnice przyrody. II. Jak żyją rośliny, jak się odżywiają i poruszają. (Kurs popularny morfologii roślin). Z 282 rys. Przez *M. B.* 595

X. **Nowości naukowe i literackie** 597

XI. **Kronika miesięczna.** Przez *B. Lut.* 601

XII. **Nekrologia.** 613

XIII. **Sprostowania** 616

Druk ukończono d. 15 Marca 1893 r.

DYABEŁ W POEZYI.

Studyum literacko-historyczne*).

2. Od Inferusa nikodemowego do byronowskiego Lucyfera [1]).

I.

Nowe prądy i nowe dzieła: Gnostycyzm — Manicheizm. — Prawowierna doktryna dualizmu względnego. — Wpływy pogańskie. — Mytologia klasyczna. — Poglądy Germanów. — Loki. — Wyobrażenia Celtów. — Merlin, syn dyabła i zakonnicy. — Merlin i Robert dyabeł, przedstawiciele dwóch ras. — Utwory poetyczno-teologiczne. — Ewangelia pseudo-Nikodema. — Wizye. — Parafrazy. — Awitus. — Dwulicowość szatańskiego typu w poezyi prachrześciańskiéj.

Rozbiór piśmiennictw starożytnych doprowadził nas do wniosku, że z trzech zasadniczych typów, do jakich religie przedchrześciańskie sprowadzić się dadzą, jedynie dualizm perski sprzyjał wytworzeniu się poezyi demonicznéj w wyższym stylu. Panteistyczny politeizm innych ludów aryjskich, oraz surowy monoteizm

*) Patrz „Ateneum“ zesz. styczniowy r. b., str. 21.

[1]) Literatura, prócz utworów cytowanych i rozbiéranych w tekscie, opiéraliśmy się na: Baur, „Kirchengeschichte der drei ersten Jahrh.“, „Die Christlich Kirche von Anfang des IV bis zum Ende des VI „Jh.“; „Die Christ. Kirche des Mittelalters;“ „Les confessions de S. Augustin“ trad. p. de Bois; Littré, „Etudes sur les Barbares et le Moyen âge“; Ig. Radliński, „Początki nowéj ery;“ Edw. Grabowski „Lit. kośc. chrześc. i germańsko-pogańska,“ „Lit. świata rycerskiego.“ „Czasy

Semitów, okazały się pod tym względem zupełnie niemal bezpłodne. Lepszy o wiele grunt dla rzeczonéj poezyi powstał późniéj wskutek neutralizacyi wzajemnéj dwóch krańcowo przeciwnych sobie doktryn, a mianowicie: moneteizmu i dualizmu, złączonych w jednolity systemat t. zw. dualizmu względnego, któremu żydzi poczęli hołdować na parę wieków przed naszą erą, a który stał się także zasadniczym dogmatem nowéj wiary. Stał się, ale nie odrazu. Kiedy bowiem, za sprawą Pawła Ś-go, chrystyanizm, zerwawszy z ciasnym separatyzmem żydowskim, przybrał szeroki charakter doktryny wszechludzkiéj, wielu nowonawróconych jéj wyznawców, dążąc do pogodzenia świéżych prądów myśli z konającemi ideałami, poczęło „wlewać młode wino w stare miechy“ i tworzyć tysiące synkretycznych syste-

---

przewagi mieszczańsk.“, Edda (przez Lelewela i Wolzogena). Grimm „Deutsche Mythologie.“ Schweitzer „Gesch. der altskandinav. Litter.“ Hersart de la Villemarqué: „La légende celtique en Irlande, en Cambrie et en Bretagne.“ „Myrdhin ou l'enchanteur Merlin.“ Hirsch „Gesch. der Deutsch. Lit.“, Villmar. „Gesch. der deut. Nation. Litt.“ Rabbe, „Marlowe sa vie et ses oeuvres“ Taine. „Histoire de la Litter. Anglaise.“ Macauley, „John Milton“ Baudissin: „Ben Jonson und seine Schule.“ Dohm: „Die span. Nation. Litt.“ Święcicki „Litter. hiszp.“ „Litt. portug.“ Sauer „Gesch. der Ital. Litter;“ Cecchi, „Tasso und Ital. Leben in XVI Jh.“ Klaczko „Wieczory florenckie;“ Gostomski „Świat nadprzyr. u Dantego;“ Porębowicz „Litter. włoska;“ Marc Monnier „La renaissance, de Dante à Luther;“ „La reforme, de Luther à Shakespeare;“ Antonio Sanchez Moguel: „Die Beziehungen zwischen Calderons wunderthätigen Magus und Goethe,“ Faust, ub. von Fastenrath; Flögel: „Geschichte des Groteskkomische;“ C. Reuling: „Die komische Figur in den wichtigsten deutschen Dramen bis zum Ende des XVII Jh.“ Wächter: „Vehmgerichte und Hexenprocesses.“ Calderons ausgewählte werke mit Einleitung des Gr. Ad. Fr. von Schack; Wessely „Die Gestalten des Todes und des Teufels in der darstellenden Kunst.“ Bibliophile Jacob: „Curiositès Infernales,“ „Curiositès Theologiques.“ Mezières: „Contemp. Predecesseurs et successeurs de Shakespeare;“ Stapfer: „Shakespeare et le tragiques greques.“ Michelet: „La Sorcière.“ Guizot: „Histoire de la civil. en Europe,“—„Hist. de la civil. en France“ Buckle: „Hist. cyw. w Anglii;“ Draper: „Hist. rozw. umysł. Europy.; „Dzieje stosunków wiary do rozumu.“ Hettner: „Litterat. Geschichte des XVIII Jh.;“ Villemain: Tableau de la Litterature au XVIII siècle.“ Brandes: „Hauptotr,“ Tom IV. Carrière. „Sztuka i Literat. w XVIII i XIX w.“ Schlosser, „Weltgeschichte (1885),“ „Histor. XVIII i XIX w.“ Boyesen: „Commentar zum Faust.“ Düntzer: „Goethes Faust I und II Theil vollständig erläutert.“ Bleibtreu: „Gesch. der Engl. Litter. im XIX Jh.“ Spasowicz, Byron i niektórzy jego poprzednicy, Engel. „Gesch. der Franz. Litt.; „Nisard: „Hist. de la Litter. Frans.“ Chateaubriand: „Le Genie du Christanisme;“ Hellwald und Schneider: „Gesch. der Niederländischen Litter.“ Agrippa von Nettesheim: „Geheime Philosophie.“ Pictorius von Villingen: „Von der verschiedenen Gattungen der ceremoniellen Magie;“ „Die Lehre von den sublunarischen Dämonen.“ Arbatel Tritheimus i t. p. autorowie i demonografowie średniowieczni w wydaniu Scheiblego (Stuttgart). Ks. Schouppe: „Dogmat o piekle.“ Ks. Laporte: „Czy jest dyabeł i co robi?“ Lazarus i Steinthal: Zeitschrift für Völker psychologie (roczniki).

matów religijnych, z których powoli dopiéro wyłoniła się prawowierna nauka kościoła powszechnego. Przy bliższém rozpatrzeniu cały ten chaos pierwotnych doktryn i herezyi da się znowu sprowadzić do trzech znanych nam już typów.

Pierwszy z nich, panteizm, znalazł odpowiednik w pokrewnéj neoplatonizmowi nauce sekt gnostycznych, uważających siedlisko zła, materyę, za znikczemniały wypływ najwyższego, nieskończonego bóstwa, które dało także początek ograniczonemu twórcy, albo raczéj „układaczowi“ świata, Demiurgowi, utożsamianemu przez większość gnostyków z biblijnym Jehową. Według niektórych szkół, Demiurg, jako rządca materyi, był właściwie szatanem.

Pogląd krańcowo dualistyczny reprezentowały wspomniane już poprzednio doktryny Persa, Maniego, którego zwolennicy uznawali zło, nie za znikczemnienie, lub negacyę dobra, lecz za coś równie pozytywnego, wiecznego i osobistego, jak samo bóstwo. Od czystego dualizmu perskiego różnił się manicheizm tém tylko, że, zgodnie z neoplatonizmem i chrystyanizmem, identyfikował zło z materyą, kiedy mazdeizm dopatrywał się w niéj i wielu dobrych pierwiastków. Złego władcę materyi zwali manichejczycy „księciem (archon) ciemności“ i utożsamiając go z opiekunem wybranego ludu, nadawali mu olbrzymie ciało, na którego obraz i podobieństwo stworzonym został człowiek.

Jakkolwiek prawowierna doktryna kościelna zwyciężyła, oba te prądy sekciarskie, zostawiły one jednak sporo śladów, nietyle w dogmatyce, ile w wyobraźni nowych wyznawców ewangelii. Nikła postać szatana biblijnego nabrała w tych zapasach pełniejszego charakteru, zjędrniała i spotężniała duchowo. Z wyłącznego przeciwnika Messyasza, stał się dyabeł przeciwnikiem stwórcy i całego królestwa bożego na ziemi i w niebie. Dualizm, nie wychodząc z granic, zaznaczonych przez tradycye monoteistyczne, zarysował się jednak zupełnie wyraźnie i jasno.

Uznawszy istnienie szatana za dogmat, Kościół nie wchodził nigdy w ściślejsze określenie fizycznéj i duchowéj jego natury, pozostawiając fantazyi ludzkiéj zupełną swobodę haftowania na kanwie ortodoksyjnéj najrozmaitszych figur i obrazów. Barw i wzorów do tego haftu dostarczyła najwpiérw mytologia Greków i Rzymian. Ponieważ większość ojców kościoła nie odmawiała bogom pogańskim realności i nie uważała ich za wytwory wyobraźni, lecz za demonów, co odwodzili zepsutą ludzkość od wiary w prawdziwego stwórcę, nie-

tylko więc ponure potęgi chtoniczne, lecz i świetlani mieszkańcy Olimpu zamienieni zostali w dyabłów. W legendach pierwotnych pełno opowiadań o posągach, spadających z piedestału na sam dźwięk imienia Jezus, albo téż płaczących gorzko nad niewiernością swoich dawnych czcicieli.—Przeważny wpływ wywarły żywioły mytologiczne na wyobrażenia o zewnętrznych kształtach szatana o czém oba testamenty najmniéjszéj nie robią wzmianki. Fantastyczne postaci faunów, satyrów, centaurów, gorgon i harpii, w których forma ludzka mieszała się w sposób dziwaczny z formami zwierzęcemi, nadawały się doskonale do odtwarzania postaci upadłego archanioła, łączącego w swojéj naturze wysokie zdolności i aspiracye duchowe oraz najbrutalniejsze popędy materyalne. Późniéj, w wiekach średnich, kiedy zatracono klasyczne poczucie miary, wszystkie te dowolne i kapryśne, ale mimo to wdzięczne kombinacye kształtów, przerodziły się w dziwaczne i dzikie niemal zlepki najróżnorodniejszych i najsprzeczniejszych żywiołów. Od téj alegorycznéj paradoksalności poezya uwolniła się dość wcześnie, w sztukach plastycznych atoli przetrwała ona bardzo długo. Prócz tego, odziedziczył dyabeł po bogach greckich niektóre atrybuty i symbole (kulawy chód Wulkana, dwójząb, czyli „widły" Plutona etc.).

Wyłączność wpływów klasycznych ustała z chwilą, kiedy na scenę świata wystąpiły państwa i narody germańskie, które wprowadziły do skarbnicy umysłowości europejskiéj całe szeregi nowych wyobrażeń i pojęć.

Religia Germanów była, podobnie jak wiara Greków, rodzajem panteistycznego politeizmu, odzianego w grubsze nieco formy. Zło, albo raczéj złośliwość, reprezentował w niéj pierwotny, bliski materyi ród głupowatych olbrzymów (Jotów), z którymi walczyli bogowie, nie w imię sprawiedliwości, lecz dla obrony i korzyści własnéj. Z rodu olbrzymów pochodził najwybitniejszy przedstawiciel demonizmu germańskiego piękny i mądry, lecz chytry a złośliwy Loke (Logi), który, ze względu na ujawniające się w jego charakterze przebłyski humoru, może być uważany za przedhistoryczny pierwowzór Mefistofelesa. Adoptowany przez bogów, odwdzięcza im się Loki, siejąc w państwie Azów niezgodę i zniszczenie (śmierć Baldura). W ważnych wypadkach jednak, kiedy bogom grozi niebezpieczeństwo, Loki staje po ich stronie, by swoim sprytem ratować przybranych braci od zguby. Bogowie germańscy bowiem, odważni wprawdzie i silni, nie błyszczą wcale rozumem, ani uczciwością; to téż często dopuszczają się oni głupstw i podłości, za które pokutować muszą. Loki, aczkolwiek sam pozbawiony zmysłu etycznego, ma przynajmniéj

rozum i czując swoją przewagę nad resztą niebian, lubi im to przy każdéj sposobności okazywać, nieszczędząc miłości własnéj nieśmiertelnych. Tak np. w ustępie Eddy starszéj, zwanym Loka-Glepsa (Przekąsy Lokego) cyniczny ten potomek olbrzymów obrzuca współbiesiadników przy uczcie sarkazmami i odgrzebuje z tajników kroniki skandalicznéj Asgardu różne historye, uwłaczające bohatérskiéj czci bogów i czystości niewieściéj bogiń. Wszyscy bronią się słabo, na dnie ironicznych przygryzków Lokego bowiem, tkwi prawda, niestety! Dopiéro prostoduszny, ale silny Thor zamyka usta szydercy, nie argumentami wprawdzie, lecz, jak na iście germańskiego boga przystało, swym straszliwym młotem Mjölnirem. Loke, jak szatan, jest ojcem śmierci (Hel, bogini świata podziemnego — ztąd powstało Hölle — piekło) i dwóch innych potworów (wilk Fenris i Jormungand, wąż Midgardu), które się staną kiedyś przyczyną zguby bogów i świata. On to poddaje ludziom złe popędy i myśli. Jak Zohak, Prometeusz, a według Henocha, oraz legend średniowiecznych i dyabeł, został Loki przez bogów skrępowany i przykuty do skały. Te kilka drobnych rysów, wspólnych dziejom chrześciańskiego szatana i germańskiego boga ognia, naprowadziło niektórych uczonych na myśl, że pojęcia chrześciańskie wywarły pewien wpływ na demonologię germańską wogóle, a skandynawską w szczególności. Czy tak rzeczywiście było? — trudno powiedziéć, w każdym razie, o ile się zdaje, wpływ odwrotny przeważył, jako znacznie silniejszy. Lud prosty, przyjąwszy chrzest, nieprzestawał myśléć o dawnych bogach, które kościół, w myśl polityki Grzegorza Wielkiego, degradował do rzędu demonów. Jako demony więc żyły one daléj, odbywając nocą harce po lasach i pustkowiach. Odyn (Wuotan) stał się dzikim myśliwcem, Holda, zlawszy się z klasyczną Wenerą, zamieszkała we wnętrzu góry, nęcąc do siebie pięknych młodzieńców i rycerzy (Tannhäuser). Głupota i niezdarność olbrzymów odżyły w komicznéj figurze dyabła, okpiwanego przez ludzi. Złośliwość karłów wcieliła się w figurki różnych sprytnych koboldów i chochlików.

Najważniejszym jednak darem, jaki mytologie germańskie zrobiły demonologii ludowéj były, zdaniem Grimma, dyabły żeńskie, o których milczą zupełnie akta soborów i księgi ojców kościoła [1]). Popularna w baśniach niemieckich „babka szatana,“ która nawet występowała na scenie w różnych misteryach (Päpstin Jutte), jest wy-

---

[1]) Postaci żeńskie, pojawiające się świętym, miały tylko pozory niewieście, ale kobiétami nie były, dyabeł bowiem, istota bezpłciowa, jak i aniołowie, mógł przybiérać dowolne kształty, nie zmieniając przez to swojéj duchowéj natury.

tworem czysto germańskim. Za pierwowzór jéj można uważać matkę wodnego potwora Grendela, którą zabił Beowulf, lub też córkę Lokiego, Helę, ponurą boginię podziemnych otchłani śmierci.

Wpływy germańskie, ogólnie biorąc, zbrutalizowały z początku postać dogmatycznego szatana.

Malując jednak dyabła na czarno, wzbogacono współcześnie jego charakter kilkoma pierwiastkami, zdolnemi do uszlachetniania się i rozwoju. Na pierwszém miejscu należy tu postawić humor [1]), który z czasem pozwolił Goethemu stworzyć przepyszny i jedyny w swoim rodzaju typ ducha przeczenia.

Niemniéj ważnym chociaż rzadziéj występującym w legendach rysem psychologicznym, przekazanym szatanowi przez germańskich bogów i bohaterów, była bezgraniczna duma, połączona z ponurą zaciętością i uporem. Żywioły te odnajdziemy bardzo wcześnie, bo już w VII w. w demonicznéj poezyi anglo-sasów, skąd przedostały się one do literatury angielskiéj, która jak powszechnie wiadomo, obdarzyła świat najwspanialszymi typami szatana.

Łagodniejszy wpływ na kształtowanie się pojęć demonologicznych wywarła poezya i mytologia celtycka. I tu dominował panteizm, ale panteizm o wiele subtelniejszy od germańskiego. Do hellenizmu zbliżał się celtyzm przez swój szlachetny, pogodny, humanitarny pogląd na świat, kiedy znowu pewna skłonność do mistycyzmu, wiara w metempsychozę i awatary bóstw [2]), oraz w wyższość świata zagrobowego nad ziemskim — pochylały z lekka mytologią współziomków Artura i Merlina ku systematowi Braminów, którym u Celtów odpowiadali do pewnego stopnia Druidzi. Najgłówniejszą rolę w mytologii Celtów odgrywały, o ile ze skąpych danych sądzić można, duchy

---

[1]) Niektórzy badacze, a między nimi i Taine, zapatrzeni w ponurą jedynie stronę starogermańskiéj poezyi, zdają się nie dostrzegać nuty humorystycznéj, dźwięczącéj tam niekiedy bardzo wyraźnie. Ileż np. szczerego komizmu zawiera w sobie ustęp o „odebraniu młota“ ze staréj Eddy. Thorowi skradziono młot, Mjölnir, z którym — cecha charakterystyczna u bogów skandynawskich! — związana jest siła i potęga tego Aza. Złodziéj-olbrzym żąda, jako wykupu, bogini Frei, któréj na taką hańbę narażać nie podobna. Za poradą Hejmdalla tedy ogromny, niezgrabny Thor, przebrawszy się za piękną i wdzięczną Freję, udaje się, wraz z niezbędnym Lokiem, w roli służebnicy, do Jötenheimu, by wyłudzić cenny oręż od głupich olbrzymów. Opis téj maskarady bogów, trzymany jest od początku do końca w tonie czysto humorystycznym. Ustęp ten tłómaczył wierszem Brodziński. Lelewel Edda (1828 r.) 40; Pisma Br. II, 139.

[2]) Np.: bogini Etain, jedna z żon boga, Midera, przychodzi na świat wcielona w małą dziewczynkę, która, po dojściu do lat odpowiednich zaślubia króla Eochaida-Airema.

elementarne, kierujące ruchem i rozwojem zasadniczych żywiołów świata. One to, nie uląkłszy się klątw świętego biskupa Kentigerna, przetrwały upadek polityczny państewek celtyckich i żyją do dziś dnia w legendach Bretonów i Wallijczyków. Ich łagodny, poetyczny charakter, niepodobny w niczem do szorstkiéj i złośliwéj natury olbrzymów i karłów germańskich, zbyt daleko odbiegał od owoczesnych pojęć o szatanie, by mógł się bezpośrednio przyczynić do rozwoju jego istoty. Cały świat dobrych wróżek, geniuszów i czarowników, odgrywający w romantyce rycerskiéj tak olbrzymią rolę, zawdzięcza prawdopodobnie swój byt wpływom celtyckim, do których, podczas wojen krzyżowych, dołączyły się żywioły oryentalne. Prototypem tych istot, wiszących niejako pomiędzy piekłem a niebem, był słynny bohatér średniowiecznéj epiki rycerskiéj, Merlin, syn dyabła i zakonnicy.

Celtowie zwali go, względnie do dyalektu danéj miejscowości, Marthin, Myrdhin, Marzin, Meller, Melziar, z czego truwerowie francuscy zrobili z czasem popularne: Merlin.

Była to podobno kiedyś nazwa gatunkowa, oznaczająca, jak „awatar" indyjski, każde bóstwo wcielone w kształty ludzkie. Późniéj imieniem tém ochrzczono narodowego wieszcza i bohatéra celtów, którego ojcem był jeden ze świetlanych geniuszów (Duzów) a matką jakaś bogini, kapłanka, czy królewna. Poeci chrześciańscy, zgodnie z panującą w kościele tendencyą, przerobili Duza na szatana a z westalki celtyckiéj uczynili zakonnicę.

Motywem tego nienaturalnego związku piekła z ziemią była chęć parodyowania niebios. Od pierwszych wieków chrześciaństwa bowiem rozpowszechniło się wśród członków nowego Kościoła przekonanie, że dyabeł, jako wcielenie negacyi, nie może zrobić nic oryginalnego, lecz tylko, jako „nikczemna małpa" bóstwa, naśladuje we wszystkiem stwórcę. — Tą myślą kierował się Dante, czyniąc piekło, nietylko duchowym, ale i fizycznym „negatywem" niebios i nadając trójlicemu szatanowi wyraźny charakter parodyi Bóstwa w Trójcy jedynego. Taż sama idea przewodniczyła i truwerom, gdy celtyckiego półboga przerabiali na zrodzonego z niepokalanéj dziewicy „Mesyasza piekieł." I tym razem atoli, jak to się często w wiekach średnich zdarzało, dyabeł się przerachował. Syn jego bowiem, oczyszczony z plamy pochodzenia wodą chrztu świętego, używał odziedziczonéj po ojcu potęgi i wiedzy na chwałę bożą i dobro ludzkości dopóty, póki go piękna wieszczka, Wiwiana, nie ubezwładniła...

Zupełnie inaczéj przedstawia się analogiczny typ największych

wrogów celtyzmu, Normanów, a mianowicie: Robert Dyabeł. Przyszedłszy na świat, jak i Merlin, za sprawą piekieł, ujawnia on na każdym kroku swoje pokrewieństwo z duchami nieprawości. W dzieciństwie gryzie pierś mamki, w młodości bije swych nauczycieli, a w dojrzalszym wieku pławi się we krwi i winie, by późniéj straszliwą a wytrwałą pokutą zdobywać sobie przebaczenie za równie straszliwe grzechy i zbrodnie. Robert Dyabeł — to wcielenie brutalnych i dzikich, ale potężnych, zarówno w złém, jak i w dobrém, instynktów surowego germanizmu; mądry zaś i uczony Merlin — to uosobienie subtelnych i poetycznych aspiracyi rasy celtyckiéj, zdolnéj do wszelkiego heroizmu, ale poddającéj się zbyt łatwo słodkiemu urokowi pięknych wieszczek! Większość inteligentnych erotomanów współczesnéj beletrystyki francuskiéj, wywodzi pewno swój ród pośrednio, lub bezpośrednio od kochanka i niewolnika celtyckiéj wróżki. Ciekawy ten i przepiękny typ dobroczynnego czarodzieja, w którym poezya pogańska zawarła niejako sojusz z poezyą chrześciańską, dopiéro w naszéj epoce doczekał się głębszych opracowań. W wiekach średnich, rzecz dziwna, więcéj się zajmowano jego romantycznemi przygodami i miłostkami z Wiwianą, niżeli oryginalnym stosunkiem do ojca-szatana.

Wyszczególnione wyżéj doktryny sekt heretyckich, oraz mytologie nowonawróconych ludów, — to były, po za tradycyą kościelną, główne źródła, z których wyobraźnia pokoleń średniowiecznych pokarm czerpała.

Rzecz prosta, że najwcześniéj zużytkowała te pierwiastki poezya legendowo-ludowa, swobodniejsza o wiele od literatury urzędowéj, uprawianéj wówczas głównie przez kler, który rachował się ściśléj z dogmatami i tradycyami panującego Kościoła. Do poezyi artystycznéj, o którą nam głównie tu idzie, żywioły te przenikały powoli, ale ciągle, tak, że już w „Komedyi“ Dantego znajdujemy syntezę demonologii kościelnéj i reminiscencyi klasycyzmu, połączonych z wierzeniami ludu prostego.

Demonizm poezyi przed-dantejskiéj—wyjąwszy oryginalne dzieło anglo-saskiego mnicha, Caedmona — jest tylko bezbarwném echem kontrowersyi teologicznych. Niektórzy autorowie, jak np. Prudencyusz Klemens w „Hamartigenii“ (IV w.) zwalczają poglądy heretyków na źródło i naturę zła. Inni, większą obdarzeni wyobraźnią, opisują siedlisko potępieńców, albo też, parafrazując księgi apokryficzne Hebreów, kreślą historyę buntu i upadku szatana.

Długi szereg utworów pierwszéj kategoryi, zwanych pospolicie

„wizyami“, otwiéra II część ewangelii apokryficznéj, przypisywanéj św. Nikodemowi.

Karynus i Leucyusz, synowie Symeona, którzy pomarli, lecz powrócili po paru dniach do życia, opowiadają, co widzieli w piekle. Oto Chrystus, oczekiwany z trwogą przez boga piekieł, Inferusa, a z radością przez patryarchów i proroków, zstępuje do otchłani i zabiéra dusze sprawiedliwych do swojéj chwały. Na szczególniejszą uwagę zasługuje kłótnia Inferusa z Szatanem. Inferus robi swemu namiestnikowi gorzkie wyrzuty za to, że dał się podejść niebu i pozwolił na ukrzyżowanie Jezusa, co sprowadziło upadek panowania piekielnego na ziemi.

Rozmowa ta ilustrowała poetycznie doktrynę ojców kościoła o odkupieniu: człowiek, stał się przez grzéch własnością dyabła; Chrystus atoli, pozwoliwszy się niewinnie umęczyć, odpokutował tysiąckrotnie za winy ludzkie i dał sprawiedliwości bożéj wystarczający równoważnik. W interesie piekła leżało więc nie dopuścić do śmierci niewinnego baranka, tymczasem Szatan, zaślepiony głupotą i złością, nietylko nie przeszkodził męce Mesyasza, ale nawet dopomagał do niéj i tym sposobem zaplątał się we własne sieci, i przyczynił pośrednio do zbawienia tych, których zguby pragnął.

Chwytając, jak się żartobliwie dowcipniejsi teologowie wyrażali, ową „wędkę krzyżową“ z niebezpiecznym haczykiem na końcu, dowiódł szatan, że jest tylko

> .... cząstką siły, coby chciała
> Wiecznie tylko zło działać, a dobro wciąż działa (Goethe).

Analogiczne dyalogi króla dyabłów, który zmienił tylko imię Inferusa na Lucyfera, z powiernikiem swoim, głupowatym Szatanem, pojawiają się przez całe wieki średnie w misteryach dramatycznych.

Większość wizyi [1]) posiadała charakter dydaktyczny, lub też polemiczno-satyryczny, co nawet przejawia się do pewnego stop-

---

[1]) Do głośniejszych wizyi należą: anty-nestoryańska apokalipsa św. Pawła (IV-ty lub V-ty w.), na którą nawet powołuje się Dante („Jam nie Eneasz, jam nie Paweł święty“. Inf. II). Daléj, Oryencyusza „Commonitorium“; Walafryda Strabona (849) „De Visionibus Wettini“. Z późniejszych irlandzkie: Brandana (XI), Tundala (1149 r.); Czyściec św. Patryka, opracowany dramatycznie przez Calderona („El Purgatorio di San-Patr“); Alberyka (XII); Wiliama Langlanda: „Widzenie Piotra oracza“ i „Visio de Dowell, Dobel i Dobest“. Najważniejsze z tych wizyi zostały scharakteryzowane przez p. Szepielewicza w „Ateneum“, 1888 r. (paźdz.) i 1890 (sierp.).

nia i w najwspanialszéj, a zarazem ostatniéj z nich: „Komedyi boskiéj“ Dantego.

Drugim ulubionym typem pierwotnéj poezyi były wspomniane już parafrazy ksiąg i legend biblijnych. Żyły one dłużéj, niż wizye, które przestały interesować czytelników z chwilą, kiedy w ich sercach wygasła szczera, naiwna wiara w prawdziwość tych opowiadań i kiedy sprośne a bluźniercze piosnki Goliardów, oraz dowcipne „*fabliaux*“ truwerów poczęły rozbrzmiewać głośniéj i częściéj od ponurych strof hymnu „*Dies irae*“...

Za prototyp parafraz pisma świętego, uwzględniających specyalnie bunt szatana, uważać należy dzieło Awitusa z Galii (V w., po Chr.) „O sprawach historyi duchowéj“ (*De spiritualis historiae gestis*), najlepszy, obok „Hamartigenii“ Prudencyusza, utwór starochrześciańskiéj poezyi. Awitus opisuje bunt szatana, jego zuchwałość i pychę, oraz jego nienawiść do dzieł bożych, a specyalnie człowieka, którego kusi do grzechu, a potém wydrwiwa. Na Awitusie opiérał się jakoby Caedmon, a na Caedmonie podobno Milton, który zrodził w Niemczech „Messyadę“ Klopstocka, w Anglii zaś Lucyfera w byronowskim „Kainie“...

Na tém kończymy tę pobieżną charakterystykę demonizmu w ideach i utworach początku nowéj ery. Dzieła owoczesnych poetów zasługują na uwagę, nie przez wzgląd na ich niewysoką wartość wewnętrzną, ale dlatego, że dostarczyły one późniejszym mistrzom słowa wielu pomysłow, motywów i wzorow.

Zauważymy tu jeszcze, że już w pierwszych próbach poezyi charakter dyabła przedstawia pewną mglistą dwulicowość psychologiczną. W utworach, opartych na tradycyach starego przymierza (Awitus), postać szatana ma niekiedy pewien lekki odcień bohatérstwa, nieodłączny zresztą od natury ducha, co się ośmielił stawić czoło samemu Bogu. Skoro jednak jaki autor wprowadza dyabłów współczesnych Nowemu Testamentowi, mimowoli prawie upadla ich t ośmiesza, jako bezsilnych złośników. (Inferus i Szatan w „Zstąpieniu do piekeł“ Pseudo Nikodema). Przyszłość dopiéro, pod wpływem nowych żywiołów, wyodrębniła i usamowolniła te dwa poetyczne typy, skute przez pisarzów pierwotnych w jeden niewyraźny i nieestetyczny charakter.

II.

Szatan Caedmona.—Szatan i biesy podrzędne w „Piekle“ Dantego. — Ich komizm i pokrewieństwo z dyabłem misteryów. — Dyabeł poliszynelem. — Dyabeł kusicielem.—Teofilus.—Pakt z dyabłem.—Interwencya Matki Boskiéj.—Geneza kultu Maryi. — „Dies irae“. — Antropomorfizm i szczątki pogaństwa w legendach o N. M. P. — Analogie. — Mistyczny wpływ kobiéty na demonów.—Trawestacya motywu.—Dyabeł i baba.—„Belfegor“ Machiavela.—„Poezye“ i „Dramaty“ Hansa Sachsa.—Poważne oblicze szatana średniowiecznego. — Sabbat i Msza czarna. — Zupełne rozdwojenie się pierwotnego typu.

Poznaliśmy już naturę kruszców, które, topiąc się pod wpływem gorącego tchnienia nowych powiewów, tworzyły powoli jednolitą masę. Pierwszym artystycznym posągiem, odlanym z tego spławu, był szatan, występujący w poetycznéj parafrazie Genezy, przypisywanéj Caedmonowi, mnichowi anglo-saskiemu, z końca VII wieku [1]).

Autor za główny motyw buntu szatana uważa, zgodnie z Izajaszem, ambicyę i dumę:

> Dlaczego mam być sługą? rzecze, Zgoła mi nie trzeba
> Pana miéć nad sobą [2]).

Ale ta duma nabrała w wyobraźni germanina specyalnego kolorytu. Szatan stał się podobnym do tych surowych bohatérów Eddy, których serce nie drżało nigdy, nawet w chwili, kiedy je żywcem z piersi wypruwano...

Stosunek jego do Boga, to stosunek młodszych synów dynastyi skandynawskich do starszych, panujących jéj członków. Paleni żądzą czynów i władzy, opuszczali oni kraj rodzinny, by zostać swobodnymi „królami morza“ i, żyjąc w wiecznym ruchu i walce, niepokoić tych, co spali nikczemnie „pod zakopconemi belkami dachu.“ Szatan Caedmona—to Wiking, który nie chce się „ubiegać o łaski swego króla i świadczyć mu uległość“, gdyż sam czuje się uzdolniony do panowania. „Bogiem mogę się uczynić“—powiada on—

> Mam za sobą towarzyszów — dzielni, mężni —
> Nie opuszczą mnie w walce. Oni mnie swym panem
> Obwołali—witezie; z niemi można coś osiągnąć,
> Dokazać z taką drużyną! Mogę być ich panem

---

[1]) Epizod o upadku szatana i człowieka wyszedł, zdaniem niektórych krytyków, z pod innego pióra i został jakoby napisany w dwa wieki późniéj.

[2]) Korzystamy tu z przekładu, zawartego w gruntownéj pracy p. Edw. Grabowskiego p. t.: „Literatura chrześciańsko-kościelna i germańsko-pogańska do wojen krzyżowych“ („Dzieje lit. pow. z ilustr.“).

Nad państwem tém królować. Więc słusznego
Nie ma tu powodu, żeby pochlebstwami
Wyłudzać u Boga jakiekolwiek względy.
Nie chcę dłużéj być jego podwładnym.

Ta ufność w przywiązanie i dzielność swojéj drużyny jest także specyficznie germańskim rysem, wierność bowiem rycerzy względem wodza i nawzajem należała na północy do kardynalnych zasad bohaterskiéj etyki.

Dumny korsarz skandynawski podtrzymywał przyjazne usposobienie otaczającéj go watagi drogiemi podarunkami: szatan Caedmona, zachęcając zrozpaczonych towarzyszów niedoli do nowéj walki, przypomina im dawną swą hojność i robi wspaniałe obietnice na przyszłość.

A owe uczucia zazdrości, pogardy, zemsty i gniewu, rozsadzające szeroką pierś upadłego archanioła w chwili, kiedy rozmyśla nad tém, że jego „tron wyniosły posiądzie Adam, ulepiony z ziemi!“

.... O, gdyby ręce wolne,
Gdyby na godzinę wyrwać się z więzienia
Tylko na godzinę! wtenczas-bym z tym hufcem!...
. . . .
Radźmy czémprędzéj, żeby tak, czy owak,
Pomścić krzywd na Adamie i potomstwie jego.
. . . .
Wydrzyjmy ludziom niebo, gdy go nie możemy posiąść.
Sprawmy, niech postradają jego miłość,
Niech przekręcą, co słowem swym nakazał! Wtenczas,
Wściekły w sercu, precz od siebie ich odpędzi,
Wtenczas piekło im zostanie — te przepaście srogie,
Wtenczas towarzyszów mieć będziemy, ludzkie plemię,
W tych nieskruszonych okowach...

Każdy, kto zna „Eddę“, odczuje tu odrazu tony, pokrewne wybuchom wściekłości Thora, miażdżącego Jotów, oraz przekleństwom i zgrzytóm Lokego, probującego rozerwać więzy, uplecione przez Azów, z jelit jego własnego syna. Nawet późniejsza, a zatém złagodzona znacznie figura Hagena („Niedola Nibelungów“), w któréj mściwość, okrucieństwo i nikczemność łączą się z niesłychaną odwagą, zaparciem się siebie i niezłomnością w spełnianiu przyjętych dobrowolnie zobowiązań, nawet ta postać posiada mnóstwo rysów identycznych z caedmonowskim szatanem. Cała więc oryginalność roboty anglo-saskiego mnicha polega na przeniesieniu żywcem gotowego prawie typu ze sfery wyobrażeń germańskich w sferę chrześciańskich tradycyi.

Nie było to w literaturze średniowiecznéj zjawisko wyjątkowe. Potomkowie Skaldów, przyjąwszy chrzest, zmienili tylko imiona, nie charaktery swych bohatérów. Nawet łagodne oblicze Zbawiciela zostało przystrojone przez nich w rogaty hełm germańskiego wodza, którego otacza wierna drużyna apostołów, a który, niby drugi Beowulf, lub Zygfryd, rządził mądrze jakimś krajem nad Wezerą („Heliand“). Wiele z tych płonek, szczepionych na drzewie chrześciańskiéj poezyi, opadło i uschło, niektóre jednak przyjęły się i rozwinęły we wspaniałe konary. Najdłużéj może zieleniła się ta właśnie gałązka, którą przeniósł Caedmon, a która znalazła w nowym pniu sporo pokrewnych swojéj istocie soków.

Caedmon zapoczątkował wprawdzie nowy prąd poezyi demonicznéj, nie mógł go jednak sam odpowiednio wyzyskać. Wzbogacił on charakter tradycyjnego szatana świeżemi i oryginalnemi pierwiastkami, ale go nie pogłębił i nie rozwinął. Dał on tylko bogatą rudę, z któréj dopiéro potomność wytopiła złoto. Nastąpiło to jednak dopiéro po kilku wiekach, kiedy odśrodkowe, indywidualistyczne instynkty germańskie, wzmocnione burzami reformacyi, wyzwoliły się zupełnie z karbów hierarchicznéj karności, pragnącéj wszystkie myśli i uczucia ludzkie w jednym zogniskować punkcie i do jednego skierować celu.

Poetycznym wykładnikiem tych dośrodkowych dążeń owoczesnego ducha było arcydzieło Dantego, zwane „Komedyą boską“, w ktoréj każdy wyraz, każda litera niemal wskazuje, że pisał ją nietylko szczery katolik, ale i latyn prawdziwy. Latynizm i katolicyzm zresztą są to pojęcia, nie identyczne wprawdzie, ale bardzo pokrewne, podobnie, jak germanizm i protestantyzm. Znamienną cechę latyńskiego ducha stanowi zdolność wiązania różnorodnych pojęć w jedną logiczną i systematyczną całość, nad którą dominuje i którą od góry do dołu przenika jakaś prosta i jasna idea. Charakter ten odnajdziemy zarówno w wielkich systematach politycznych i religijnych, jak i w pojedyńczych dziełach, wyrosłych na latyńskim gruncie. Począwszy od doktryn, wykładanych w „*de Civitate Dei*“ św. Augustyna, a skończywszy—na współczesnéj estetyce i historyozofii genialnego Taine’a.

I w poemacie Dantego wszystko wypływa i układa się symetrycznie dokoła jednéj idei: „miłości, co słońce porusza i gwiazdy.“ Bóstwo — to miłość, brak miłości — to szatan. Nie jest on u Dantego przeciwnikiem, lecz tylko przeciwieństwem Stwórcy. Przeciwieństwem koniecznem, jak ciemność, potęgująca

blask światła; niezbędném—jak próżnia, na któréj tle dopiéro rysują się wspaniałe kształty świata!

Osoba jego—jeżeli to, co nam poeta przedstawia, można osobą nazwać—znajduje się w środku ziemi, czyli na samém dnie piekielnego lejka, w okręgu zdrajców.

Dante bowiem, zrodzony i wychowany wśród walk politycznych, dręczony smutnym widokiem kraju, szarpanego przez rozterki wewnętrzne i upadającego wskutek zdrady swych synów, uważa zdradę za największy ze wszystkich grzechów i dlatego skazał Lucyfera na upadek i potępienie, nie za bunt i pychę, jak Awitus, lub Caedmon, lecz za zdradę przeciwko Bogu, swemu dobroczyńcy. Wśród licznéj tedy, a „ponad wszystkie najpodlejszéj czerni" zdrajców, pokutuje i sam książę ciemności. Dante opisuje go bardzo dokładnie:

„Potężny władca królestwa boleści
Wznosił się z lodu do połowy piersi,
A jabym raczéj przystał do olbrzyma,
Niźli olbrzymy do jego ramienia,
Wyobraź, jaka musiała być całość,
Tak zbudowanym odpowiednia członkom!
Jeśli był pięknym, jak dziś jest szkaradnym
I jeśli oczy podniósł przeciw Stwórcy:
Zaiste z niego wszelkie złe pochodzi!

Olbrzym ów, podziemne odzwierciedlenie Trójcy świętéj, posiada trzy oblicza, jedno czerwone, drugie żółtawo-białe, trzecie zaś czarne.

Z pod każdéj twarzy wyglądało dwoje
Ogromnych skrzydeł, jakie dla takiego
Przystały ptaka; nigdy na okręcie
Tak wielkich żagli nie widziano w morzu.
Bez pierza były i kształtem podobne
Do nietoperzych . . . .
Sześcią swych oczu płakał, a łzy jego
I krwawa piana po trzech brodach ciekła.
W każdéj z trzech paszczy gruchotał zębami,
Niby w tarlicy, jednego grzesznika,
I tak trzem naraz męczarnie zadawał [1]).
(Inf. XXXIV, Przekład Stanisławskiego),

Jak widzimy, jestto pod względem fizycznym ohydna poczwara, monstrualny nietoperz średniowieczny — nic więcéj. Co zaś do stro-

---

[1]) Są to trzéj najwięksi, zdaniem Dantego, zdrajcy: Judasz Iskaryota, oraz Brutus i Kassyusz, zabójcy Cezara, którego poeta, zacięty Gibelin i zwolennik jednolitego i powszechnego cesarstwa, cenił niezmiernie wysoko.

ny moralnéj upadłego archanioła, to poeta poprzestaje na nazwaniu go zdrajcą, nie wdając się w rozbiór psychologiczny motywów zbrodni. Nawet powód płaczu króla dyabłów wymieniony nie został. Są-ż te łzy szatańskie łzami skruchy i żalu, czy téż wyrazem bezsilnéj wściekłości i bólu? — na to pytanie autor, jakby rozmyślnie, odpowiedzi nie daje. Dlaczego? Nie leżało to bowiem w zakresie i rodzaju jego poematu, w którym Dante występuje w charakterze wędrowca, opisującego to tylko, na co sam patrzył własnemi oczyma, chodząc po piekle. Strącenie szatana z niebios odbyło się przed wiekami, poeta nic nam o tém nie opowiada, nie może więc wchodzić, jak Caedmon, w pobudki postępowania przeklętego archanioła, który zresztą nie mąci wcale harmonii i symetryi dantejskiego świata.

Prócz owego potwornego symbolu zła, który, niby olbrzymi i cudacznie rzeźbiony zwornik, zamyka jedno z ważniejszych sklepień poetycznego gmachu, wprowadza Dante całą zgraję drugorzędnych demonów, poruszających się swobodnie po piekle i wyposażonych pewnemi indywidualnemi rysami. Dante bowiem był nietylko uczonym filozofem i teologiem, ale, i to przedewszystkiém, poetą, dlatego téż bezkrwiste personifikacye symbolów wystarczyć mu nie mogły.

Pierwszą kategoryę demonów stanowią typy mytologii greckiéj, przeniesione do piekła chrześciańskiego, gdzie odgrywają rolę, zgodną w mniejszym, lub większym stopniu, z ich rodzimym charakterem. I tak np. Minos, sędzia piekielny u Greków, sądzi i tutaj grzeszników, oznaczając ilością skrętów ogona, którym swój kadłub obwija, stopień kary, czyli piętro otchłani, dokąd ma być zawiedziony skazany potępieniec. Plutus, bożek bogactwa, strzeże okręgu, kędy pokutują skąpcy i rozrzutnicy, i t. p. Wszystkie te reminiscencye klasyczne jednak straciły, przeobrażając się w szatanów, swój piękny, harmonijny charakter grecki i zmieniły się w brzydkie dziwotwory.

Do drugiéj kategoryi należą biesy podrzędne, zwyczajni oprawcy piekieł, których cała banda zastępuje drogę wędrowcom. Są to postaci poczwarne, z pewnym komicznym odcieniem w charakterze. Męcząc potępieńców, błaznują oni, dopuszczają się trywialnych żartów; kłócą się przytém, a nawet szarpią i biją pomiędzy sobą, jak pijacy w karczmie (Inf. XXI i XXII) [1].

---

[1]
Na towarzysza pazury obróci ł
I z nim się szczepił nad parową głębią.
Ale i tamten, jastrząb równie wprawny,
Dobrze mu szpony zapuścił, i oba

Zabawne figury te zaczerpnął Dante z tradycyi, oraz dramatów kościelno-ludowych, zwanych misteryami. Misterya były początkowo popularno-dramatyczną parafrazą opowiadań starego i nowego Testamentu, czyli rodzajem żywéj „biblii pauperum." Powoli szablon pierwotny się rozszerzył i wraz z językiem ludu wsiąkły do misteryów różne żywioły świeckie, a zwłaszcza komizm i satyra. Rzecz prosta, że w dramacie, odgrywanym przez same osoby święte, przedmiotem żartów mógł być tylko dyabeł. On więc stał się błaznem widowisk ludowych, poliszynelem nieba i ziemi. Na jego kark spadają wszystkie razy, jego zawsze oszukują święci i nieświęci. We Francyi wytworzył się nawet specyalny rodzaj fars, zwanych „*diableries*", w których musiało z urzędu występować co najmniéj czterech dyabłów [1]), obijanych zwykle bez litości przez św. Michała. Najgroźniejszą antagonistką szatana była w tych utworach Marya Panna, pocieszycielka i opiekunka rodu ludzkiego.

Ścierała ona głowę piekielnego węża tysiące razy na scenie i w książce, do najpopularniejszych atoli i najcharakterystyczniejszych legend, opiewających zwycięstwo Maryi P. nad dyabłem, należała w owéj epoce opowieść o Teofilusie. Spotykamy tu po raz pierwszy motyw, który wprowadził poezyę demoniczną na nowe tory i wywołał cały szereg oryginalnych i ciekawych utworów. Dotychczas widzieliśmy szatana, buntującego się przeciw Bogu (parafrazy), lub téż dręczonego i dręczącego potępieńców w otchłani (wizye). Teraz dyabeł występuje, jako duch obecny ciągle i wszędzie wśród ludzi i popychający ich złudnemi obietnicami szczęścia doczesnego — do zguby [2]).

Upadli razem do wrzącego bagna.
Chociaż skwar dla nich skorym był rozjemcą,
Ale się podnieść nie byli już w stanie,
Tak skrzydła swoje ulepili w smołę.
Więc Barbaricya (starszy dyabeł), bolejąc nad kłótnią,
Razem z innemi kazał czterem lecieć
Na tamtą stronę z wszystkiemi hakami...
Zbiegli na miejsce sobie wyznaczone
I przeciągnęli haki ku ugrzęzłym ....

[1]) Stąd zapewne przysłowie: *faire le diable à quatre.* I inne używane w Europie zachodniéj wyrażenia: *le pauvre diable*, *le bon diable*, *dummer Teufel*, etc., są bezwątpienia echem fars misteryjnych.

[2]) W jednym ze sławniejszych „*schwänków*" Hansa Sachsa, opartym prawdopodobnie, jak większość jego utworów, na średniowiecznym motywie ludowym, dyabeł tak kusi młodego Kaina i jego towarzyszów (Die ungleichen Kinder Evä):

Ich bin ein Fürst der ganzen Welt
Und schaff euch Ehre, Gewalt und Geld:

Znana nam już z literatury perskiéj idea dobrowolnéj umowy człowieka z szatanem, przedostawszy się, za pośrednictwem Bizancyum, do Europy zachodniéj, zapuszcza tam głęboko korzenie, i to nietylko w poezyi, ale i w życiu, gdzie wywołuje z czasem wstrętne orgie czarowniczych procesów, które zaprowadziły na stos tysiące nieszczęśliwych histeryczek i setki niewinnych szaleńców, oraz kilku przedwcześnie urodzonych mędrców i filozofów. Każdego, kto się wybijał czémśkolwiek ponad tłumy, posądzano o spólnictwo z szatanem. Nawet święty urząd papieży nie uchronił ich od podobnych podejrzeń (Gerbert-Sylwester).

Począwszy od w. X-go potęga dyabła rosła bez przestanku. Stał się on rzeczywistym królem, prawie bogiem świata ziemskiego; nie wierzyć w dyabła uważano za grzéch daleko większy, niżeli nie uznawać istnienia Stwórcy. Dyabeł, według mniemań średniowiecznych, znajdował się wszędzie, i wszystko, co nie odnosiło się pośrednio, lub bezpośrednio, do chwały bożéj, uchodziło za dzieło szatana. Miłość, nauka, sztuka, zostały napiętnowane pieczęcią dyabelską.

Dyabeł, obok zła, reprezentował wtedy także wszystkie wrodzone ludzkiéj naturze popędy, z któremi walczył i które zgnębić pragnął surowy duch czasu, nie bacząc na to, że znajdowały się pośród nich także instynkty zdrowe i normalne. A że ta walka stanowiła jedną z głównych podstaw istnienia, potęgi i wpływu najważniejszéj ze średniowiecznych instytucyi, kler Europy zachodniéj przeto starał się, żeby wróg jego, dyabeł, nie osłabł i nie stracił ani źdźbła ze swoich przywilejów. „*Wären die Teufel tot, Mönche und Pfaffen kämen in Noth*“—powiada średniowieczne przysłowie. Zbytnią gorliwością atoli przeciągnięto strunę. Jak ustawiczne zajmowanie się myślą o znikomości wyrodziło w końcu ironiczną karykaturę nicestwa, zwaną „tańcami śmierci“, tak ciągłe obcowanie z szatanem oswoiło ludzi z jego brzydotą i nikczemnością. Przekonawszy się, że dyabeł

Da könnt ihr nach der Wollust laufen,
Könnt spielen, buhlen, fressen, saufen
Und euch der Jugend freuen noch,
Seid trotziglich dem Herrgott doch!
Gehorcht nicht Vater und Mutter nun
Ich will am meisten euch wohl thun,
Genug euch schaffen auf der Erd'
Was alles nur eur Herz begehrt.

W trzy wieki potém byronowski Lucyfer, kusząc Kaina, nie obiecywał mu grubych przyjemności cielesnych, tylko wskazywał drogę do uszlachetniających męczarni ducha...

nie jest ani tak strasznym, ani tak złym, jak go malowano, poczęli ludzie z nim żartować, albo też garnąć się do niego; niekiedy zaś, jak to widać z legendy o Teofilusie, robiono współcześnie jedno i drugie.

Teofilus nie był, jak Zohak, królem, lecz—rzecz niezmiernie dla wieków średnich charakterystyczna — członkiem wszechpotężnego wówczas stanu duchownego [1]). W redakcyi niemieckiéj występuje on jako kanonik nieregularny, t. j. młodszy syn rodziny szlacheckiéj, który, nie mając żadnego udziału w dziedzictwie, przyjął suknię duchowną i korzysta z jakiegoś beneficyum, nie trudząc się zbytecznie obowiązkami swego powołania. Po śmierci pasterza dyecezyi, kanonicy obierają Teofilusa biskupem. On jednak nie przyjmuje téj godności, twierdząc, że jest za ubogi i zanadto gwałtowny i krewki. Wtedy godność biskupa dostaje się innemu, który wyklucza Teofilusa z kapituły za opieranie się jego surowym rozporządzeniom. Pokrzywdzony niesłusznie szlachcic-kanonik postanowił się zemścić na biskupie i odzyskać straconą prebendę. Za poradą żyda, Samuela, udaje się Teofilus do wnętrza jakiegoś opustoszałego zamczyska rycerskiego i wywołuje szatana, który spełnia jego życzenia, a w zamian za wyrzeczenie się Boga, oraz cyrograf, podpisany krwią, obdarza swego nowego wasala bogactwem i potęgą. Osiągnąwszy czego pragnął, poczyna Teofilus żałować swego postępku i oddaje się pod opiekę

[1]) Z dyabłem mógł obcować tylko człowiek „uczony“, czyli umiejący pisać i czytać, a to było przywilejem duchowieństwa; przyzwyczajona do dźwigania ciężkiego żelaznego hełmu mózgownica rycerza, nie dałaby sobie rady z łamigłówką zaklęć kabalistycznych; zresztą prawdziwy rycerz wierzył wówczas tylko w pięść i wyższych aspiracyi nie posiadał.—Słabe echo umowy z dyabłem przebija już w legendzie o świętokupcy, Symonie Magu. W Nowym Testamencie podobną myśl nasuwa ustęp o kuszeniu Mesyasza. „To wszystko dam Tobie — mówi szatan — jeżeli upadłszy, pokłonisz mi się. Tedy rzekł mu Jezus: Pójdź precz szatanie, albowiem napisano jest: Panu Bogu twojemu kłaniać się będziesz i jemu samemu służyć będziesz“. (Mat. IV, 9). — W Bizancyum około VII albo VIII wieku spotykamy historyę księdza Teofila, który, chcąc odzyskać stracony urząd kościelny i zemścić się na biskupie, oddaje się dyabłu, a późniéj żałuje tego i za wstawiennictwem N. M. P. zostaje zbawiony. Późniejsze redakcye Eutychiana i Metafrasta, przetłómaczone z greckiego na łacinę, rozeszły się po Europie i były wielokrotnie opracowywane. Najsławniejszém jest misteryum francuskiego truwera Ruteboeufa (1260 r.). My korzystamy z redakcyi dolno-niemieckiej (koniec XIV w.), którą Wedde („Theophilus das Faust-drama des deutschen Mittelalters“, Hamburg, 1888 r.) odbudował z trzech rękopisów: trewirskiego, sztokholmskiego i wolfenbüttelskiego. Utwór ten nie różni się prawie treścią od dzieła Ruteboeufa, odznacza się jednak, jako późniejszy, subtelniejszą cokolwiek robotą.

Matki Bożéj, która, odebrawszy szatanowi cyrograf grzesznika, ratuje go od potępienia wiecznego.

Oto w krótkich słowach treść tego średniowiecznego dramatu, którego oryginalnym waryantem jest misteryum o „papieżycy Jucie“, niewieście uczonéj, co, za sprawą dyabła, przybrała szaty męzkie i wstąpiła na uniwersytet paryski, by otrzymać stopień d-ra teologii i zostać—papieżem. Po śmierci dyabli porywają duszę papieżycy do piekła, skąd ją z rozkazu N. Maryi Panny, któréj pomocy wśród tortur wzywała, św. Michał archanioł wprowadza do nieba...

I w jednym i w drugim dramacie dyabeł odgrywa bardzą mizerną, a zarazem humorystyczną rolę.

W prologu do „Jutty“ czarci tańczą pospołu ze słynną babką dyabelską do koła tronu Lucyfera, śpiewając zabawną piosenkę. W „Teofilu“ głupowaty powiernik Lucyfera, Szatan [1]), przymuszany przez Maryę do wydania cyrografu, wykręca się, prosi, błaga, kłamie, że zgubił dokument, aż wreszcie zgnębiony strasznemi mękami, jakie mu N. M. Panna za pomocą magii (*sic!*) zadaje, pędzi, wijąc się z bólu, do piekła, by z pod języka króla otchłani wydobyć pakt i oddać go świętéj orędowniczce skruszonych grzeszników. Porażkę swoją wetuje Szatan miotaniem obelg-na księży, którzy powinni być wdzięczni piekłu, bo:

> Gdyby dyabłów nie stworzono,
> I ludzie się ich nie bali, —
> Toby księża, niby chłopi,
> Szli za pługiem w czoła pocie...

Nacierpiawszy się tyle z powodu duszy Teofila, postanawia Szatan z nikim już nie zawierać umowy i obiecuje przyszłym wywoływaczom dyabłów, że na ich zaklęcia odpowie w sposób bardzo nieestetyczny.

W utworze tym, prócz idei zasadniczéj, ważnym jest, nietyle grubo zarysowany typ trywialnego dyabła, ile stosunek jego do niebios, a specyalnie do Matki Boskiéj, za któréj niewolnika sam on się poniekąd uważa.

Kult Maryi dosięgnął w wiekach średnich niesłychanego rozwoju. Było to zresztą rzeczą zupełnie naturalną. Ludzie, czując swą lichotę i słabość wobec Najwyższego, drżeli na samo wspomnienie pogrobowego sądu i — potępienia. Myśl o tém, że nadejdzie kiedyś „Dzień ów, dzień gniewu Pańskiego, co miał w proch zetrzéć

---

[1]) W wiekach średnich nazwa ta używana była często, jako imię własne.

światy", musiała przejmować grozą grzesznika, przygnębionego poczuciem swéj bezgranicznéj winy:

Jaki przestrach wielki będzie,
Kiedy sędzia tron zasiędzie
I rozsądzać sprawy będzie!
. . . .
Wszystkie zbrodnie zatajone
Będą światu objawione...
. . . .
Co grzesznik na ten czas rzecze,
I do kogo się uciecze,
Gdy i dobrym strach dopiecze? („Dies irae") [1].

Wobec tego, że nikt nie był wolny od winy, a najmniejszy nawet grzéch obrażał niesłychanie Majestat Boga, pozostawała człowiekowi jedyna droga—droga łaski.

Sędzio zemszczenia słusznego,
Racz dać dar odpustu twego,
Nie czekaj rachunku mego.
Niegodnym litości twojéj,
Lecz odpuść mi z łaski swojéj,
Bo się duch mój piekła boi...

Tak jęczał skruszony grzesznik, wijąc się w prochu, jak robak, i nie wiedząc nawet, czy wobec przepaści, dzielącéj wspaniałość i potęgę Stwórcy od nikczemności stworzenia, prośby te osiągną należyty skutek. By się upewnić o tém i znaleźć choćby chwilowe ukojenie, udawał się człowiek pod obronę świętéj Bożéj Rodzicielki, która, przeszedłszy sama przez bóle i cierpienia, sądziła ludzkie ułomności pobłażliwiéj i starała się łagodzić surowe wyroki sprawiedliwości najwyższéj.

Subtelne zapatrywania teologów na szlachetny urząd niebieskiéj pośredniczki nie mogły jednak zadowolnić zmysłowéj wyobraźni ludu, która ze szlachetnego ideału litościwéj Dziewicy-Matki zro-

---

[1]) Autor tego arcydzieła poezyi religijnéj — z którego treści i ducha możnaby przy odrobinie intuicyi odbudować wewnętrzną istotę wieków średnich, jak Cuvier z jednego zęba odbudowywał całe organizmy przedpotopowe — nie jest znany. Dla jednych był nim Grzegorz Wielki, dla drugich Bernard z Clairvaux Inni przypisywali utworzenie tego ponurego hymnu boleści i strachu dwóm dominikanom, Humbertowi i Frangipaniemu. Inni nakoniec za autora „Dies irae" poczytują Thomasa Celanc (um. 1255 r.). Tekst pierwotny wyryty został na płycie marmurowéj w kościele św. Franciszka w Mantui: Cf. Pompeyo „Gener.: La mort et l'Immortalité" (162—172). Cytujemy tu według przekładu, używanego dotąd w kościele i przedrukowywanego ciągle w książkach do nabożeństwa.

biła jakąś buńczuczną Walkiryę, czy amazonkę, swarzącą się z dyabłami i wydzierającą z ich szponów dusze i cyrografy potępieńców [1]).

Skłonność do antropomorfizmu objaśnia tylko do pewnego stopnia tę metamorfozę, graniczącą z bluźnierstwem. Ważniejszą rolę odegrał tu prawdopodobnie atawizm psychiczny, odziedziczona po poganizmie wiara w jakiś mistyczny wpływ kobiéty na demonów. W sposób negatywny przejawiał się on w czynach rzekomych czarownic, których, zdaniem jakiegoś inkwizytora, przypadało 10,000 na jednego czarownika. O dodatniéj roli żywiołu kobiecego w odwiecznéj tragedyi zła, walczącego z dobrem, świadczą wszystkie prawie mytologie i podania pierwotne. U Indusów bardzo rozpowszechniony jest myt o zapasach Siwy z niezmiernie silnym i złośliwym demonem Daridą, który ginie dopiéro wtedy, kiedy dobremu bogu przybywa na pomoc jego małżonka Kali-Durga [2]). Atena przybrała imię Pallady, zabiwszy wrogiego bogom olbrzyma, Pallasa. Słynne „*das ewige Weibliche*“, które nas ciągnie ku niebu w „Fauście“ Goethego, jest tylko genialną parafrazą tego odwiecznego motywu, którego echo brzmiało i w ultra-katolickiéj Hiszpanii (Justyna w „Magu cudotwórczym“) i u nas (kantyczki Twardowskiego) i we Włoszech (Beatrice) i t. p.

Że zaś każdy poważny motyw, nie wyłączając najświętszych i najszlachetniejszych, bywał zwykle przez humorystów ludowych trawestowany, świetlana postać niewiasty, walczącéj z demonem, znalazła przeto komiczny odpowiednik w złośliwéj i hałaśliwéj jędzy,

---

[1]) Analogiczną rolę odgrywa Matka Boża w t. zw. „procesach szatańskich“, obrabiających kwestye teologiczne ze stanowiska prawnego. „*Procurator nequitiae infernalis*“, szatan oskarża ród ludzki przed Chrystusem, przegrywa jednak sprawę, gdyż Marya „*advocata generis humani*“, zbija argumenty piekielne jeden po drugim i przechyla szalę sprawiedliwości na stronę człowieka. Procesów podobnych było kilka redakcyi, jedną z nich rozbierzemy szerzéj, mówiąc o dyable w literaturze polskiéj.

[2]) W waryantach tego mytu rolę Durgi odgrywa Wisznu, przemieniony w niewiastę. Podobne kształty przybiera Wisznu i w legendzie o wydobywaniu Amrity (Ambrozya Aryów indyjskich), któréj nie dozwala pokosztować demonom, by nie zyskali nieśmiertelności. Prawdopodobne znaczenie tego mystycznego symbolizmu jest następujące: kobiéta, jako matka i karmicielka, jest źródłem życia, a zatém wrogiem śmierci, którą wyobraźnia ludu utożsamiała często ze złem. Kobiéta więc ograniczała potęgę duchów zła, dążących do unicestwienia bytu przed czasem. — Legendy o dobrodusznéj babce szatana, żonie ludożercy i t. p. niewiastach, osłaniających nieostrożnych wędrowców przed złośliwością potworów—z tego samego źródła pewnie początek biorą.

przed którą sam dyabeł gotów był „czmychnąć“, choćby „przez dziurkę od klucza“.

Średniowieczne rysunki przedstawiają często dyabła, rejterującego sromotnie przed kądzielą, lub warząchwią staréj kobiéty [1]). Legendy i przysłowia o „babach, z któremi nawet dyabeł nie poradzi”, żyły i żyją do dnia dzisiejszego w ustach ludu, skąd, zwłaszcza na początku epoki nowoczesnéj, poczęły przedostawać się do nowelistyki i poezyi artystycznéj.

Do najdowcipniejszych może i najpopularniejszych okazów podobnéj literatury należy „Wielce zabawna nowela o arcydyable, Belfegorze“, którą napisał słynny autor „Księcia“, Machiaveli (1469 — 1530). Jestto satyra na kłótliwość kobiét, którym epoka renesansu, jakby dla zrównoważenia romantycznego uwielbienia minnesengerów, lubiła wymierzać dotkliwe razy. — Pluton, znudzony jękami potępieńców, którzy wszystkie swoje grzechy przypisują złemu wpływowi żon, wysyła na świat arcydyabła, Belfegora, polecając mu, by wziąwszy na siebie ciało, a z niém i ułomności ludzkie, ożenił się z jakąś śmiertelniczką i zbadał kwestyę na gruncie. Belfegor poślubia piękną, ale ubogą szlachciankę, która nietylko mu straszliwie dokucza, lecz i rujnuje go ze szczętem, tak, że biédny dyabeł zmuszony jest ukrywać się przed wierzycielami w domu sąsiada, wieśniaka. Pragnąc mu się wywdzięczyć za gościnność, wchodzi Belfegor po kolei w ciała dwóch zamożnych dam i pozwala się wypędzić z opętanych jedynie swemu gospodarzowi, któremu za te szczęśliwe kuracye grubo zapłacono. Kiedy jednak dyabeł, opętawszy, już na swój osobisty rachunek, córkę króla francuskiego, w żaden sposób uwolnić jéj nie chciał, chytry chłop, wyczerpawszy wszystkie prośby i zaklęcia, woła: „Żona twoja jedzie tu po ciebie!“ Dźwięk tych niewinnych wyrazów działa na Belfegora, niby uderzenie piorunu. Nie namyślając się ani chwili, ucieka on na samo dno piekła i wyznaje Plutonowi, że skargi potępieńców były najzupełniéj uzasadnione. Głębszych rysów psychologicznych w charakterze bohatéra téj wesołéj nowelki nie spotykamy, od dawniejszych zaś typów komicznych dyabła wyróżnia się on tylko pewną elegancyą i przyzwoitością.

Grubszemi i surowszemi rzutami pędzla maluje podobne figury Hans Sachs (1494—1576) w swoich „*Schwänk*'ach“ (żartach) i „*Fastnachtsspiel*'ach“ (komedyach zapustnych), które zajęły po reformacyi miejsce dawnych misteryów duchownych. W utworach tych spotykamy nietylko waryant podania o Belfegorze („*Der Teufel nahm ein*

---

1) Cf. Ikonografię dyabła—Wesselyego.

altes Weib zur Ehe"), ale cały szereg opowieści o głupich dyabłach, wyzyskiwanych przez ludzi („*Der Bauer mit dem bodenlosen Sack*"; „*Der Teufel lässt keinen Landsknecht in die Hölle fahren*", etc.). Najciekawszą może jest dramatyczna historya o dyable, który, nie mogąc sam pokłócić ze sobą dwojga małżonków, posyła do nich babę-plotkarkę, przyrzekając jéj w zamian za pomoc parę trzewików. Baba osiąga cel bardzo prędko, i to tak przeraża dyabła, że, bojąc się przybliżyć do jędzy, wręcza jéj obiecaną nagrodę na długiéj żerdzi, za co go obrażona przyjaciółka obija widłami [1]).

Przyjrzawszy się dostatecznie téj wykrzywionéj błazeńsko masce średniowiecznego dyabła, rzućmy okiem na drugie oblicze, tchnące powagą i smutkiem.

Nie wszyscy w owéj epoce drwili z czarta, nie wszyscy go poniewierali i nienawidzili. Cała warstwa ludzi, nietylko, że nie potępiała szatana, ale oddawała mu cześć i zanosiła do niego bluźniercze modły. Żywioły burzliwe, namiętne, nie mogące i nie chcące się przystosować do surowych wymagań karności kościelnéj, porzucały wiarę w Chrystusa i oddawały się pod opiekę jego arcy-wroga.

Zarówno „Komedya boska", jak i misterya, oraz nowele i farsy przedstawiały nam jedną tylko stronę charakteru dyabła, stronę oficyalną, uznaną, albo téż tolerowaną przez powagi teologiczne. Lud znał i wielbił drugą, sympatyczniejszą. Dla niego, jak świadczą nawet bulle papieskie [2]), szatan był „wielkim pokrzywdzonym", opiekunem i przedstawicielem tego, co będąc, zdaniem wielu, dobrém, zostało mimo to potępione przez kler, oraz tego, co bezwzględność i samowola feudalnych baronów uczyniła niedostępném dla nie uprzywilejowanych.

Prócz reakcyi przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy, oddziaływały tu niewątpliwie wpływy zabarwionych manicheistycznie, a licznych wówczas herezyi, oraz reminiscencye przedchrześciańskiego kultu przyrody.

---

[1]) Jestto, jak widzimy, poetyczna ilustracya przysłowia: „gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle." Wszystkie te opowieści, nie wyłączając dziejów Belfegora, dałyby się odnaleźć w zbiorach współczesnych podań ludowych. U Rabelaisgo (1483 — 1553), który napisał także parodyę dziejów Merlina i parodyę „wizyi" piekielnéj (II — XXX), spotykamy znaną i naszym chłopom historyę o spółce rolnika z dyabłem, na któréj ten drugi bardzo źle wychodzi. Wesoły proboszcz z Meudan nadał, swoim zwyczajem, téj powiastce zabarwienie pornograficzne (Vie de Gargant. et de Pantagruel, IV—XLV—XLVII).

[2]) Bullą Grzegorza papieża z r. 1233; akta procesu Templaryuszów, oskarżonych o oddawanie hołdu lennego (homagium) szatanowi: — Munich Alberyk opowiada wyraźnie o sekcie „Lucyferyanów", czyli czcicieli dyabła (Por. Roskoff, „Gesch. des Teufels", 326—329).

Lud był i pozostał w głębi serca pogańskim. Poganizm nowy różnił się od starego tylko formą, nie treścią. Miejsce zdetronizowanych bogów i duchów natury zajął szatan, którego sam kościół ogłosił „księciem tego świata“, „władcą materyi i życia“, t. j. rządcą wszystkiego, co nosiło charakter cielesny i ziemski. Nic dziwnego więc, że dla człowieka prostego i zdolnego jedynie do odczuwania elementarnych żądz i potrzeb, szatan mógł się wydawać postacią sympatyczniejszą i bliższą, niżeli wysokie potęgi niebieskie, obcujące bezpośrednio tylko z wielkimi tego świata. Równość ewangeliczna istniała jedynie w teoryi, rzeczywistość zaś faworyzowała możnych, a krzywdziła maluczkich. I gdzież mieli oni szukać pociechy, do kogo się udać? „Cesarz daleko, a Pan Bóg wysoko“ — przysłowie to, które z tamtych pochodzi czasów, najlepiéj charakteryzuje położenie wydziedziczonych w owéj epoce. A jednakże ten lud potrzebował pociechy, i musiał mieć kogoś, ktoby skarg jego wysłuchał i ktoby go wspomógł w niedoli. Jeżeli Pan Bóg i jego święci mieszkali wysoko, jeżeli, chcąc dojść do nich, należało przedtém przebyć całą drabinę hierarchii kościelnéj, to szatan był dostępniejszy i obcowanie z nim nie przedstawiało żadnych trudności.

Wszyscy więc, co przenosili pomyślność doczesną nad szczęście pośmiertne, zwrócili się całemi masami do szatana. Demonomania rozpoczęła z religią walkę, która przeszła po za wieki średnie i któréj ostatnie echa rozbrzmiewały jeszcze w procesach czarowniczych XVIII stulecia.

Nawet u mnichów można spotkać legendy, przedstawiające dyabła w świetle sympatycznym (demon — wierny przyjaciel i sługa rycerza w rozmowach Cezarego z Heisterbachu). Prócz tego, istniał podobno cały rytuał ponurych obrzędów i ceremonii, odprawianych na intencyę szatana. Obrzędami temi były: msza czarna, czyli dyabelska, oraz Sabbat. „Czarną mszą“ zwano parodyę mszy zwykłéj, śpiewaną na cześć dyabła. Sabbat zaś był nocną uroczystością, rodzajem szatańskiego odpustu, odbywanego ku chwale książęcia piekieł i—przyrody. Oprócz czarnéj mszy, działy się podczas Sabbatu orgie, których szczegółów powtarzać niepodobna [1]). Przytłumiana i krępowana karnością natura wybuchała tu w sposób dziki i wulkaniczny. Człowiek popadał z jednéj ostateczności w drugą: asceta przeradzał się w wyuzdanego rozpustnika...

---

[1]) Cf. Pom. Gener, „La mort et le diable“, II; Michelet, „La sorcière“; Cayla, „Le Diable, sa grandeur et sa décadance“; Wächter, „Vehmgerichte und Hexeprocesse“ i t. p.

W Sabbacie składało hołd swemu władcy przeklęte i pogardzane ciało. Okryty równą pogardą i wyzuty z wielu praw, rozum ludzki uciekał także ze scholastycznego więzienia pod czarne skrzydła szatana, pragnąc za pomocą magii, alchemii i astrologii zgłębić tajemnice przyrody. Rzecz niewątpliwa, że pośród tłumu znachorów i szarlatanów znajdowała się niewielka garstka mędrców, przeczuwających odkryte póżniéj prawa jedności materyi i siły, większość jednak t. zw. czarnoksiężników wierzyła święcie w potęgę i łaskawość strasznego króla otchłani.

Świadczą o tém zarówno akta procesów, jak i tysiące podań, oraz legend, które można uważać za modyfikacye znanéj nam już historyi o Teofilusie. Jestto jednak materyał zupełnie surowy, który dopiéro znacznie póżniéj, pod ręką wielkich artystów, przybrał harmonijne kształty.

Jak więc wpłynęły wieki średnie na poezyę demoniczną? Dały nam jedno skończone arcydzieło: „Piekło“ w „Komedyi boskiéj“, i wytworzyły mnóstwo figur, żywiołów i motywów, zdolnych do dalszego rozwoju estetycznego.

Prócz tego, okres ów popchnął znacznie naprzód proces różniczkowania się postaci dyabła, który, wskutek zbyt szerokiéj definicyi zła, posiadał, jakeśmy to już mówili wyżéj, pewną dwoistość w swojéj naturze. Dwoistość ta odzwierciadlała się nawet w zewnętrznych kształtach szatana, symbolizujących niejako nienaturalny sojusz materyi z duchem.

Na końcu średnich wieków znamy już dwa skończone typy demonów: lichego, brzydkiego a zabawnego błazna z misteryów i facecyi, z którym sobie radziły nawet stare baby, oraz dumnego króla doczesności, który, aczkolwiek strącony z niebios, posiadał jeszcze niemałą potęgę i władzę, a przy ponurém świetle sabbatowych pochodni, przyjmował hołdy od licznego tłumu swoich wdzięcznych wasali i wasalek.

III.

Wpływ odrodzenia i reformacyi na pojęcia o dyable.—„Bulla *Summis desiderantes*“ i „Młot na czarownice“. — Stosunek Lutra do demonizmu. — Demonografowie. — Poezya poreformacyjna. — Legenda o „Fauście“. — Komiczne dyabliki włoskiego renesansu.— Tasso i „Jerozolima wyzwolona“. — Poezya demoniczna na półwyspie Pirenejskim.—Dyabeł w habicie.—Demon u Calderona.—Postacie demoniczne renesansistów angielskich.—Dyabeł-osioł Ben Jonsona. — Mefostofilis Marlowe'a. — Szatan Milton'a.—Lucyfer Vondel'a.

Odrodzenie i reformacya, które nietylko wzbogaciły, ale i przeobraziły gruntownie umysłowość średniowieczną, nie wpłynęły prawie

wcale na charakter pojęć o dyable. Potęga szatana wcale nie osłabła, ale zdawała się nawet wzrastać. W r. 1484, t. j. na ośm lat przed odkryciem Ameryki, papież Inocenty VIII-my wydał swą słynną bullę „*summis desiderantes*“, w któréj uznał oficyalnie możliwość zawierania przymierza z duchami złego, i zachęcał dwóch słynnych inkwizytorów, Henryka Institorisa i Jakóba Sprengera, do dalszéj antyczarowniczéj działalności. Praktycznym owocem tego faktu były męczarnie i śmierć kilku tysięcy mniemanych sojuszników dyabła, teoretycznym zaś—wydanie wiekopomnego teologiczno-prawnego traktatu, noszącego znamienny tytuł „Młota na czarownice“ (*Malleus maleficarum*). Jestto prawdziwa „*summa*“ demonologii, zawierająca wszystko, począwszy od opisu natury i hierarchii demonów, a skończywszy na sposobach przesłuchiwania, oraz torturowania obcujących z nimi niewiast i mężczyzn. Książka ta, aprobowana przez różne fakultety, wyszła po raz pierwszy w Kolonii r. 1489-go: w niespełna lat trzydzieści potém, Luter, przybiwszy na drzwiach kościoła wittenberskiego swoje słynne tezy, zrobił pierwszy wyłom w gotyckich murach średniowiecznego kościoła... Ten wróg i burzyciel starych instytucyi atoli był i pozostał na wielu punktach średniowiecznym mnichem. Nietylko, w czém nicby nie było dziwnego, wierzył w dyabła, ale widywał go często na własne oczy i prowadził z nim gorące dysputy, twierdząc, że do protestantów przybywają biesy najmądrzejsze, teologowie piekielni, kiedy Turkom i papistom wystarczają zwyczajni prawnicy otchłani.

Najlepszą odpowiedzią na wyszukane argumenty przeklętego sofisty, było, zdaniem Lutra, szyderstwo, a w ostateczności obelga, choćby nawet i czynna [1]).

Rzecz prosta, że przekonania tak wybitnéj osobistości musiały wywrzéć nie mały wpływ na pokrewną umysłowość mas. To téż pro-

---

[1]) Oto przykłady charakterystyczne, zaczerpnięte z listów i rozmów Lutra: Kiedy mu raz szatan nie dawał spokoju, reformator rzekł drwiąco: „*Sancte Satane, ora pro me*“—i zawstydzony arcy-wróg rodu ludzkiego uciekł. Innym razem opowiadał Luter o mnichu, któremu dyabeł robił zarzut, że się modli w niewłaściwém miejscu i czasie: *Monachus super latrinam non debes legere primam.*“ Dowcipny zakonnik odciął się złemu duchowi w sposób następujący:

Purgo meum ventrem
Et Colo Deum omnipotentem —
Tibi que infra,
Deo omnipotenti quod supra!

Usłyszawszy ten oryginalny epigramat, skofundowany dyabeł zamilkł (Cf. Luther, „Tischreden“; Michelet, „Mémoires de Luther“).

cesy czarownicze dochodzą po reformacyi do niebywałych cyfr. Liczba demonografów wzrasta także. Do słynniejszych należą Bodin (*De magorum daemonomaniae*, 1574), Remigius (*Daemonolatria*, 1599), Delrio (1599), etc. W Anglii król Jakób I sam prowadził śledztwo w procesach czarowniczych a w dziełach swoich („*Basilicon doron*“ i *Daemonologia*) dowodził, że ułaskawienie wiedźmy jest najcięższym grzechem monarszym. Dodajmy do tego działanie wspominanych już kilkakrotnie sekt dualistycznych, które tonęły w prądzie reformacyjnym, niby małe strumyczki w rzece; dołączmy również zniesienie dogmatu czyśca, oraz zanik wiary w świętość i opiekę Matki Bożéj, a zrozumiemy łatwo, dlaczego nowe idee podniosły i wzmocniły potęgę dyabła.

Poezya dążyła, jak zwykle, za życiem. Utwory i postaci demoniczne pojawiają się w epoce poreformacyjnéj w takiéj ilości, że będziemy zmuszeni wybierać z nich tylko najlepsze i najcharakterystyczniejsze.

Rozdwojenie szatańskiego typu, o którém wspominaliśmy na końcu poprzedniego rozdziału, weszło do literatury jako fakt spełniony, z którym, świadomie, czy nieświadomie, liczą się wszyscy poeci i noweliści owocześni. W większości piśmiennictw spotykamy znowu dyabła komicznego, z którego się ludzie śmieją, i dyabła poważnego, który imponuje światu swoją archanielską potęgą. W krajach katolickich, romańskich, gdzie zawsze dualizm rysował się mniéj jaskrawo i nie kruszył szranek jednolitego systematu, przeważa typ pierwszy, kiedy u ludów protestanckich — które, wydostawszy się z pod opiekuńczéj kopuły kościoła rzymskiego na otwarty i bezbrzeżny ocean swobodnéj wiary, uznały, że sternikiem dla każdego winno być jego własne sumienie—dyabeł mężnieje i staje się coraz wybitniejszą indywidualnością poetycką.

Obok rozbieranych wyżéj „*schwänk*'ów“ Hansa Sachsa, opartych jeszcze na starych motywach ludowych, pojawia się w Niemczech nowa, zprotestantyzowana modyfikacya podania o Teofilusie, któréj główny bohatér, czarnoksiężnik, Faust, sprzedawszy się dyabłu za wiedzę—wpływ humanizmu!—i rozkosze życiowe, nie otrzymuje przebaczenia, lecz zostaje, po upływie terminu, porwany do piekła na wieki. D y a b e ł jest już tutaj z u p e ł n y m p a n e m duszy grzesznika, do któréj ma prawo, a któréj ani msze, ani posty, jałmużny i modły, ani też w s t a w i e n n i c t w a N. M. Panny i świętych pomódz nic nie mogą, gdyż, wobec b r a k u p o ś r e d n i e g o o g n i w a p o k u t y, c z y ś c a, człowiek, zdaniem protestantów, jeżeli go łaska boska nie przyjęła do n i e b a, m u s i a ł cierpieć wieczne męki w czeluściach piekielnych.

W krajach romańskich dyabeł pozostał nadal podporządkowany różnym potęgom niebieskim, dlatego mniéj przerażał ludzi. Widzieliśmy już, mówiąc o Belfegorze, w jak ironiczny sposób traktował go Machiavel, który, nie różniąc się pod tym względem od wielu innych uczonych owéj epoki (Erazm, Bacon, Guicciardini) wierzył mimo to w istnienie świata nadprzyrodzonego. Podobnych facecyi satanicznych znajdziemy w renesansowéj literaturze włoskiéj całą masę [1]. W poważny sposób próbował odmalować dyabła Tasso (1544—1595) w swojéj „Jerozolimie wyzwolonéj", ale przyznać należy, że mu się to nieszczególnie powiodło. Poeta wprowadza nas na sejm piekielny i ukazuje najpierw całą gromadę dziwotworów klasycznych, przemienionych w dyabły:

> ....Harpije nieczyste,
> Centaury, Sphingi, wybladłe Gorgony,
> I szczekające Scylle zawiesiste,
> Gwiżdżące Hydry, świszczące Pitony,
> Chimery, sadze plujące ogniste,
> Straszne Cyklopy, srogie Geryony,
> I wiele dziwów nigdy nie widzianych,
> Z różnych postaci w jedno pomieszanych.

Po środku tego helleńsko-latyńskiego Sabbatu siedzi król piekieł, zwany przez opętanego klasycyzmem poetę—Plutonem.

> na łonie
> Trzyma żelazne sceptrum zardzewiałe;
> Tak był sam w sobie, tak wielki w ogonie,
> Że się i Alpy przy nim zdały małe,
> I Atlas, chociaż sięga pod obłoki,
> Nie jest tak wielki, ani tak wysoki.
> Oczy miał wściekłe, wzrok by u komety,
> Powaga mu twarz surową czyniła;
> Wszystek był czarny od głowy do pięty,
> Kosmate piersi, gęsta broda kryła

---

[1]) W Morgancie Pulciego (1431 — 1486) (XXV) dyabeł broni ironicznie Pana Boga w dyskusyi teologicznéj; Berni (1490 — 1536) w „Oriando Rifato" żartuje sobie z tysiąca rzeczy, a między innemi i z dyabła, o którym mówi:

> Radbym przekonać się, czy jest tak czarnym,
> W istocie dyabeł, jako go malują,
> Bo czytam, że jest różny w każdéj stronie,
> Tu dłuższy w rogach, tam dłuższy w ogonie. (Pr. Porębowicza)

U Aryosta (1474 — 1533) występuje w „Satyrach", jako sprośny i ironiczny dawca słynnego pierścienia wierności, etc. Wogóle, renesansowa literatura włoska lubiła humor, ironię, karykatury i drwiny—biedny dyabeł był jedną z wielu ofiar tego szyderczego usposobienia poetów.

Miąższy u gęby wąs wisiał pomięty,
W czole miał jeden, we łbie rogów siła,
A ukrwawiona gęba była taka.
Jako głęboka, straszna przepaść jaka;
Jako Mongibel zaraźliwe pary
I smród wypuszcza, tak i jemu z gęby
Śmierdziało właśnie, a z nosa bez miary
Puszczał, aż brzydko, plugawe otręby.
(Przekł. Piotra Kochanowskiego).

Jestto bezwątpienia opis dokładny, plastyczny i wyrazisty, ale brutalny i wstrętny. Nadając upadłemu archaniołowi postać olbrzymiego straszydła na wróble, poszedł Tasso daléj jeszcze, niż Dante, który prawdopodobnie służył mu za wzór. Jaskrawość obrazu w „Komedyi Boskiéj“ można usprawiedliwić tém, że Dante występuje tam w charakterze opowiadacza, który sam był świadkiem wszystkiego i widział na własne oczy wstrętne szczegóły postaci opisywanego szatana. Tasso zaś czyni to bez żadnéj przyczyny, poprostu przez brak estetycznego taktu; pragnąc więc wzbudzić w czytelniku podziw i grozę, budzi tylko niesmak, zwłaszcza że podobnie, jak i Dante, nie wyrównywa i nie łagodzi fizycznéj brzydoty dyabła duchowemi czynnikami. Mowa, w któréj Pluton zachęca podwładnych do walki z chrześciaństwem i do popierania islamizmu, jest tylko zwykłym retorycznym popisem bez śladu namiętności i siły.

Co najgorsza jednak, że szatan i całe piekło, wyrastające u Dantego organicznie z istoty poematu, zostało u Tassa przylepione tylko do idei przewodniéj utworu. Estetycy owocześni bowiem, wzorując się na arcydziełach klasycyzmu, twierdzili, że cudowność, „dziwność“, trzymana w stylu mytologicznym — to niezbędny żywioł prawdziwéj epopei. Dlatego téż Tasso nadaje Panu Bogu bez skrupułów atrybuty Jowisza (XIII), św. Michała zaś zmienia w Merkurego i t. p.

To gwałtowne dociąganie strun do tonu Wirgiliusza i Homera wykrzywiło zupełnie nadprzyrodzony świat „Jerozolimy wyzwolonéj“ wogóle, w szczególności zaś zaszkodziło piekłu, które w porównaniu z oryginalnym arcytworem Dantego wygląda jak bohomaz częstochowski, obok obrazu Michała Anioła [1]).

---

[1]) Analogiczny błąd, będący właściwie błędem czasu, popełnił i narodowy wieszcz Portugalii, Camoëns (1525—1580). Wprowadza on w „Luzyadach“ wszystkich bogów Hellady, dzieląc ich wzorem Homera na dwie partye, waśniące się z sobą o losy portugalskich żeglarzy. Stronę Luzytanów trzyma Wenera, przeciw nim występuje Bachus, zazdrosny o tytuł i sławę zdobywcy Indyi. Aparatowi

Na półwyspie Pirenejskim wiara, dzięki długoletnim walkom narodowo-religijnym, oraz czujnéj opiece inkwizycyi, była o wiele gorętszą i żywszą, niżeli w spoganizowanéj ojczyznie odrodzenia. Dlatego też motywy legendowo-kościelne, a względnie i demoniczne, znalazły tu lepszych interpretatorów, zwłaszcza że upiory klasycyzmu, rozpoczynające już morderczą gospodarkę we Włoszech i Francyi, nie zdołały w Hiszpanii zmrozić swém zimném tchnieniem kwiatów romantycznéj tradycyi ludowéj i nie powstrzymały samodzielnego rozwoju poezyi, a specyalnie dramatu.

I tu jednak typ dyabła słabego, śmiesznego, będącego tylko igraszką w rękach opatrzności pojawia się częściéj, niżeli figura dumnego i potężnego buntownika. Do najcharakterystyczniejszych utworów hiszpańskiéj poezyi demonicznéj należy „*El diablo predicador*“ („Dyabeł kaznodzieją“), za którego przypuszczalnych autorów uchodzą Belmonte, lub Coello. Treść tego dramatu, związanego ściśle duchem i formą z gruntem hiszpańskim, jest następująca: dyabeł znienawidził straszliwie OO. Franciszkanów z Lukki i tak im w opinii ludzkiéj zaszkodził, że biedni zakonnicy zdecydowali się na opuszczenie klasztoru. Wtedy Dzieciątko Jezus zstępuje z niebios, wraz z Michałem archaniołem, i rozkazuje szatanowi przywdziać habit franciszkański i naprawić wszystkie krzywdy, wyrządzone klasztorowi. Przymusowa ta metamorfoza daje autorowi możność wyzyskania kontrastów w sposób niezmiernie dowcipny. Drżąc z gniewu i złości, Lucyfer pojawia się nagle w klasztorze i mówi:

Deo gratias, bracia moi, (*do siebie*) Co za męka!

Ojciec Gwardyan. Niechaj Bóg nam pomaga! kim jesteście, wielebny bracie, i jakeście się tu dostali?

Brat Mikołaj. Drzwi były zaryglowane: chyba powietrzem do nas przyfrunął!

Lucyfer. Moc boża umie roztwiérać drzwi wszelakie! Ona to przywiodła mnie tutaj z odległéj krainy, któréj istnienia nie zna nawet słońce.

Gwardyan. Wasze imię?

Lucyfer. Nazywam się brat „Wbrew woli“; niegdyś zwano mnie Cherubinem.

---

mytologicznemu Camoënsa brak również wewnętrznéj prawdy i jednolitości. Ci mniemani bogowie, czy demony, poddani zostali przez poetę pod władzę Opatrzności chrześciańskiéj, któréj wyroki tylko wykonywać im wolno. Stąd powstaje plątanina motywów. W końcu poeta rozbija sam swoje własne dzieło, oświadczając, że te bóstwa nie są czém inném, „jeno czci obrazem, co bohaterskie opromienia życie“, oraz „że byt ich w poezyi jedynie konieczny.“ — Naśladowcą Tassa był poeta dubrownicki, Gundulicz (1588 — 1638), zaczynający II część swego „Osmana“ opisem sejmu piekielnego, w którym król otchłani dowodzi konieczności podtrzymania islamizmu.

Późniéj zaczyna mówić kazanie, przerywane licznemi wybuchami skrytéj wściekłości, ale tak pełne ognia, że wszyscy zakonnicy wzruszeni są do głębi. Następnie, ponieważ Lucyfer, jako duch, umié przenikać myśli ludzkie, wykrywa on wszelkie nadużycia mnichów i reformuje klasztor, przyczyniając się tym sposobem wbrew woli do chwały najwyższego Boga. Pomimo czysto komicznéj sytuacyi, poeta hiszpański nie popada ani razu w trywialność; Lucyfer jego jest figurą na wskroś humorystyczną, nietylko jednak nie przypomina w niczém ordynarnych dyablików niemieckich, lecz nawet nie wiele ma wspólnego z gracyosami dramatu hiszpańskiego. To nie błazen z natury, jeno ponury i złośliwy niewolnik, któremu rozkazano grać rolę bufona, a który, pragnąc ją jaknajprędzéj skończyć, robi z pośpiechu i niecierpliwości więcéj dobrego, niżeliby pragnął, wywołując przez to uśmiech na usta widzów. Z dyabłów humorystycznych tylko goetowski Mefistofeles stoi wyżéj od tego czarta hiszpańskiego w habicie.

W omawianéj przed chwilą komedyi, szatan występuje jako niechętne, ale pożyteczne narzędzie w ręku sił nadprzyrodzonych; „Mag cudotwórczy" Calderona [1]) wyprowadza na scenę dyabła, którego złośliwość zostaje obezwładnioną przez stałość i cnotę śmiertelnéj dziewicy. Demon — taką tylko nazwę nosi zły duch w dramacie, — demon Calderona nie ma w sobie nic śmiesznego. To surowy, zacięty, chociaż bezsilny nieprzyjaciel Boga i wszystkich, co mu służą.

Dostrzegłszy, że filozof pogański, Cypryano, jest już na drodze do poznania prawdziwéj wiary, a nie mogąc go zwyciężyć w dyspucie, zły duch postanawia odciągnąć myśliciela od niebezpiecznych studyów i ukazuje mu piękną chrześciańską dziewicę, Justynę [2]). „Chciałbym — mówi w prologu —

---

[1]) Calderon wprowadza demona w kilku jeszcze sztukach, jako to: „Los Cadenas del Demonio", oraz „El Josef de las mujeras" (Józef pośród kobiét), gdzie szatan wciela się w trupa pięknego mężczyzny i prześladuje swoją rzekomą miłością cnotliwą bohatérkę sztuki, Eugenię. Prócz tego, występuje często u Kalderona dyabeł w „autosach", t. j. alegorycznych dramatach, grywanych w dzień „Bożego Ciała". Ponieważ jednak tutaj wszystkie osoby były tylko personifikacyami cnót i dogmatów i t. p., i dyabeł przeto rozpływa się w tym barwnym i wonnym symbolizmie w jakąś tęczową, abstrakcyjną mgłę, pozbawioną wyraźnéj indywidualności, („El veneno y la Triaca" — „Trucizna i antydot"). U innych autorów hiszpańskich spotykamy dyabła w „El Esclavo del demonio" Mescui (1570 — 1635); „Quien mal anda mal acaba" Alarcona, daléj u Quevedy w jego „Snach", będących rodzajem satyrycznych wizyi; u Quevedy zły duch odgrywa najczęściéj rolę komiczną. Wszystkie te figury nie odbiegają zbyt daleko od przeciętnego typu.

[2]) Utwór swój oparł Calderon, nie na podaniach o Teofilusie i Fauście, które były znane i w Hiszpanii, lecz na specyalnéj legendzie chrześciańskiéj o mę-

w duszach ich obojga
Zniszczyć stan już osiągnięty:
Jéj wyrwać to, c o z d o b y ł a,
Jego umysł zaś opętać
Tak, by t e g o z d o b y ć nie m ó g ł...

Do walki z temi szlachetnemi duszami przystępuje dyabeł, duch w gruncie rzeczy b e z s i l n y, na mocy p o z w o l e n i a n i e b i e s k i e g o. Pokusa ma być próbą, z któréj Cypryano i Justyna wychodzą, jak ongi Hiob, zwycięsko. Cypryano pokochał Justynę, nie mogąc jednak zyskać wzajemności, oddaje się dyabłu, który przyrzeka zmiękczyć serce dziewicy za pomocą magii. I rzeczywiście, Justyna, oszołomiona lubieżnemi obrazami, jakie jéj piekło nasuwa przed oczy, chwieje się przez chwilę:

Co to? słowik r o z k o c h a n y
Gada do mnie pośród bzu?
Wierny lubczyk rozkochanéj
Weń słowiczki. w noc do snu
Na gałązce kołysanéj...
Milcz słowiku, bo się strwożę,
Słysząc, jak się żali ptak,
Że mnie c h ę ć d o z n a n i a z m o ż e,
I l e t é ż c z u ć c z ł o w i e k m o ż e,
J e ś l i p t a s z ę c z u j e t a k!
Lecz nie; to gałązka wina
Co n a m i ę t n i e się p r z e g i n a
P o r w a ć d r z e w a p i e ń o b j ę c i e m.
. . . .
Nie nęć gałązko zielona
Zadumać się, co kochanie,
Bo p o z n a n i a we mnie wstanie
C h ę ć, c z é m m ę z k i e s ą r a m i o n a.
. . . .
Zmilcz, słowiku zakochany,
Winna wici, rozwiąż dłonie,
Płochy kwiecie, ochłodź skronie —
Mówcie, jaki w was wezbrany
Jad się burzy?

Chór demonów. M i ł o ś ć, M i ł o ś ć... (Przekł. Porębowicza).

---

czeńswie św. Cypryana i św. Justyny. Legenda ta pochodzi, jak i podanie o Teofilusie, ze wschodu (ojczyzną obojga świętych jest Antyochia), bardzo więc być może, że motyw przymierza z dyabłem zawdzięcza i tu swoje istnienie wpływom parsizmu. Legenda ta tak się z czasem zaklimatyzowała w Hiszpanii, że Cypryana można uważać za iberyjski odpowiednik Fausta, podobnie jak Twardowskiego mianują często Faustem polskim (Cf. A. S. Moguel: „Beziehungen zwischen Magus und Faust“).

Justyna się chwieje, ale nie upada, i kiedy demon pragnie zanieść roznamiętnioną dziewicę tam, gdzie ją ciągnie serce, t. j. w objęcia Cypryana, opiéra się ona całą siłą woli,

> Którą wolną by nie była,
> Gdyby zmusić mógł ją ktoś.

Dyabeł, przegrawszy sprawę, postanawia przynajmniéj zniesławić piękną chrześciankę, tworzy więc widmo, podobne kształtem do Justyny. W chwili jednak, kiedy Cypryan bierze ją w objęcia, mara zmienia się w szkielet, który przemawia grobowym głosem:

> Tak, to wiedz, o Cypryanie,
> Ginie wszelki świata blask!

Ten straszliwy znak łaski bożéj otrzeźwia filozofa, który, przyjąwszy chrzest, umiéra razem z Justyną, jako męczennik za prawdziwą wiarą.

I tu więc demon, dążąc do niskich celów, działał właściwie „*ad majorem Dei gloriam*“, a w dodatku musiał z rozkazu Boga odwołać publicznie nad trupami świętych męczenników, wszystko, co uwłaczało ich czci. Jakkolwiek jednak demon zeszedł tutaj do roli maryonetki, umiał mu poeta nadać pewne charakterystyczne rysy, wyróżniające nieco ten typ od zwykłych szablonowych czartów. Jest on przedewszystkiém — co zresztą da się powiedziéć o większości figur Calderonowskiego teatru — bardzo mało materyalny; nie czuć go siarką i smołą, jak biesów Dantego i Tassa; nie lubuje on się w sprosnościach, jak trywialne dyabliki Rabelaisgo, lub Hansa Sachsa. Przeciwnie, aczkolwiek zły i przewrotny, nie jest on, jak Mefistofeles Goethego, cynikiem; lubi wojować sofizmatami, ale ubiéra je w formę poetyczną, kwiecistą, wdzięczną.

Cytowana wyżéj scena kuszenia Justyny nie razi brutalną zmysłowością, lecz ma w sobie coś mistyczno-panteistycznego: tak kusił Eros grecki, lub indyjski Kama, a dopiéro znacznie później, bo w XIX wieku, szatan romantyczny („Eloa“ de Vignego). Od czasu do czasu tylko z pod téj subtelnéj powłoki wystrzeli ponury blask ognia piekielnego, przypominając nam, że mamy do czynienia z zaciętym wrogiem ludzi i nieba, wrogiem, który wiedząc, że skrucha na nic się nie przyda, woli, jako prawdziwy hidalgo hiszpański:

> Trwając w dumnym swym uporze,
> Niby heros upaść raczéj,
> Niż poddanym być i sługą.

Figura ta jednak, ważna, jako główna sprężyna akcyi, została, jako charakter, przytłumiona przez cudowne, wyraziste i sympatyczne postacie Justyny i Cypryana.

U Calderona zresztą, jak i w całym teatrze hiszpańskim, intryga, akcya, przeważały zawsze nad charakterystyką i psychologią.

Najsubtelniejsze analizy duchowego wnętrza, nietylko ludzi, ale i demonów, pojawiły się w ojczyźnie Szekspira, znanego nam już z téj strony — Caedmona.

Szekspir, który, sądząc z fantastycznych scen „Makbeta,“ „Burzy“ i „Snu nocy letniéj,“ umiał cudownie malować świat nadzmysłowy, nie wprowadza prawie nigdzie postaci dyabła. Raz tylko w Henryku VI (część I) ukazuje się kilka demonów, wywołanych zaklęciami Joanny d'Arc; stoją one przez chwilę, milczące i smutne, i nikną, nie mogąc dopomódz „czarownicy francuskiéj.“ W I części Henryka IV (Akt III, scena I) spotykamy przepyszną rozmowę gadatliwego Glendowera z dzielnym Hotspurem. Pozujący na Merlina, Wallijczyk chełpi się z tego, że umié wywoływać dyabły. „I ja to potrafię — odpowiada Hotspur — i każdy — pytanie tylko, czy przybędą?“

Wyszydzając tutaj czarnoksięzkie wierzenia i praktyki, nie gardzi niemi jednak Szekspir zupełnie, i korzysta z nich, jak wiadomo, w innych utworach w sposób genialny [1]).

Rywal Szekspira, klasyk, Ben Jonson (1574 – 1637) traktował te rzeczy li-tylko ze stanowiska satyryczno-humorystycznego. W „Alchemiku“ wydrwił głupotę chciwców i zdemaskował złą wiarę szarlatanów, w komedyi zaś p. t. „Dyabeł jest osłem“ (*The devil is an ass*) przedstawił dyabła, jako istotę niezmiernie głupią. Puk — takie miano nosi bohater Ben Jonsona — jest kuzynem Belfegora. Wydostawszy się na ziemię, popełnia on jedno głupstwo po drugiém, by wreszcie, otrzymawszy nieskończoną ilość moralnych i materyalnych szczutków, dostać się do więzienia, skąd go zirytowany Szatan uwalnia ze względu, że:

Ohydną by to było dla piekieł sromotą,
Gdyby na szubienicy powieszono dyabła...

---

[1]) Czarownice i dyabły pojawiały się w Anglii dość często na scenie: (u Midletona, Dekkera i Forda); u Barnaby Barnesa (Papiér dyabelski) spotykamy scenę, w któréj papież Aleksander VI zawiéra kontrakt z dyabłem, przebranym za notaryusza. Wogóle w Anglii, podobnie, jak i w Hiszpanii, odrodzenie stało nie na sztucznym, klasycznym, lecz na czysto narodowym gruncie: stąd wielkie bogactwo i oryginalność motywów fantastycznych.

Postać Puka wprowadżoną została tylko po to, aby wykazać w sposób komiczny, że ludzie są znacznie gorsi i bardziéj zepsuci, niż sam dyabeł. Dlatego téż Ben Jonson nie nadał charakterowi Puka nic demonicznego, ale przeciwnie, zrobił go niemal idyotą, z którym pierwszy lepszy szarlatan, lub konstabl londyński daje sobie radę.

W inną sferę wprowadza nas Marlowe (1563—1593) w swoim „Fauście,“ zrodzonym z wspomnianéj poprzednio legendy niemieckiéj.

Jeżeli „Mag Cudotwórczy“ Calderona może być uważany za wspaniałą ilustracyę i apoteozę katolickiéj doktryny wolnéj woli, to „Faust“ Marlowe'a jest artystycznym wytworem protestanckiego fatalizmu. Odpowiednio do tego, kształtuje się i charakter dyabła u obu poetów. Dyabeł hiszpański traci wszelką władzę nad człowiekiem z chwilą kiedy ten oddaje się dobrowolnie pod opiekę Niebios, dyabeł angielski nie wypuszcza ofiary ze swoich szponów, pomimo, że ta modli się, jęczy i wierzy „że pół kropelki krwi Chrystusowéj wystarcza do zbawienia duszy grzesznika“ (scena XIII). Jeszcze większe różnice dzielą Marlowoskiego Mefostofilisa (*sic!*) od dziwacznych i karykaturalnych postaci demonów włoskich. Zewnętrznie jest on podobny do zwyczajnych ludzi, nie ma, a przynajmniéj nie ukazuje, kopyt, rogów, ogona i innych atrybutów średniowiecznego dyabła. Demoniczność Mefostofilisa objawia się, nie w zewnętrznym, lecz wewnętrznym jego charakterze.

Do Fausta przybliża on się, nie na skutek magicznych zaklęć uczonego doktora, ale dlatego, że Faust podobnie, jak i szatan, bluźni Bogu i nienawidzi Chrystusa. Na zapytanie Fausta, po co pożąda jego duszy, odpowiada łacińską cytatą: że miło posiadać towarzyszów w nieszczęściu (*Solamen miseris socios habuisse doloris*). Piekło jest zawsze tam, gdzie on się znajduje: wre w jego własném sercu. Męczarnie Mefostofilisa zatém są natury moralnéj, nie fizycznéj, jak u Lucyfera Dantego.

Przez wprowadzenie tych duchowych czynników, Marlowe podniósł i uszlachetnił charakter dyabła, nie zmieniając, mimo to, jego istoty. Szatan nie przestał być demonem, a zyskał wiele pod względem estetycznym i przerodził się w figurę prawdziwie poetyczną.

Marlowe jednak rzucił tylko szkic, genialny wprawdzie, ale nie wykończony. Dalsze rozwinięcie, wykształcenie i pogłębienie charakteru szatana poważnego, przypadło w udziale dwom wielkim poetom tegoż samego narodu: Miltonowi i Byronowi. Szatan Miltona

(1608—1674) — to duch pokrewny Eschylowskim tytanom. On ich przewyższa nawet pod niektóremi względami. Prometeusz Eschyla bowiem, cierpiąc, wié o tem, że cierpienia jego się skończą i że Jowisz musi go uwolnić, ponieważ tytan może, przez niewyjawienie wiadoméj sobie tajemnicy, zburzyć tron ojca bogów. Tymczasem, Szatan Miltona, raz strącony z nieba, wié, że do niego nigdy nie wróci, a pomimo to nie rozpacza i godzi się z położeniem, czując, że jako duch nieśmiertelny, posiada on jakąś cząstkę natury Boga.

Co to za duma i potęga przebija z tych słów, jakiemi upadły archanioł pozdrawia swoje nowe siedlisko — piekło:

Witaj piekielny świecie! a ty niezmierzona
Głębi, nowego Pana przyjm do twego łona!
Taki umysł przynoszę w twój przestwór ponury,
Co ni czasem, ni miejscem, nie zmienia natury.
Duch sam w sobie jest wszystkiém, miejsca mu nie trzeba,
Sam sobie z piekła niebo, piekło robi z nieba.
Nie dbam o to, gdzie jestem, bylem był, czém jestem,
I tém co mi należy — wszystkiém...
(przekł. Dmochowskiego).

Czytając te wyrazy, pojmiemy łatwo, że duch, który tak myśli i czuje, musi być czémś niezwykłém, potężném i że słuszne przeświadczenie o swéj wewnętrznéj wartości, mogło go upoważnić do buntu przeciw Stwórcy. W całéj epopei Dantego nie znajdujemy ani jednego wiersza, mogącego iść w porównanie z tym monologiem, drgającym energią i siłą. Co prawda, pomiędzy poetą włoskim a angielskim istniała, prócz różnicy ras i tradycyi, różnica epok, wśród których wzrośli: rozdzielało ich kilka wieków, i to wieków burzliwych, przepełnionych walkami o prawdę i wiedzę — wieków dojrzewania ludzkości.

Milton zresztą, jak i poprzednik jego Caedmon, miał przed oczyma żywe wzory, na których formował swego szatana, a mianowicie: purytanów. Ich odwagę, energię, wytrwałość, ich nieugiętość żelazną, przeniósł on żywcem na swego bohatéra. Mówimy „bohatéra,“ bo jakkolwiek „Raj utracony“ jest poematem, napisanym na cześć Stwórcy, rzeczywistym jego bohatérem jednak, wbrew chęciom i woli autora, został Szatan. Adam, Ewa, aniołowie, wszystko to są figury ckliwe, które bledną wobec olbrzymiéj postaci króla otchłani, co nawet w upadku pozostał pięknym i wielkim. Ocuciwszy się z omdlenia na dnie piekieł, nie narzeka on na swój los, wiedząc, że nań zasłużył, ale też nie składa broni, i pragnie w téj

chwili rozpocząć na nowo walkę ze zwycięscą. Błagać o litość nie myśli, przebaczenia nawet nie pragnie, wiedząc, że gdyby mu przebaczono, onby nie mógł zrzec się dawnych ambitnych dążeń i drugi raz popełniłby to samo, drugi raz rozpocząłby nierówny bój ze Stwórcą.

> Dajmy, bym mógł żałować, uniżyć się Panu,
> Otrzymać łaskę, wrócić do dawnego stanu...
> Wnetbym się od zmyślonéj uwolnił przysięgi...
> Zgwałciłbym ją i drugich mym pociągnął śladem.
> Wnetbym upadł...
> Wié to ten, który wyrok tak srogi ogłosił:
> On mi nie da pokoju — ja nie będę prosił?
> Żegnam cię już, nadziejo, żegnam was na zawsze,
> Bojaźni i zgryzoty! W tém nieszczęściu srogiem
> Gdy on bogiem dobrego — bądźmy złego bogiem!
> Dzielmy rząd... może władam na większéj połowie?
> Wnet się o tém świat nowy, wnet się człowiek dowie...

Nie pozostaje nic, jak walka, walka pozbawiona wszelkich widoków zwycięstwa, mająca trwać wieki i nie skończyć się nigdy. Szatan, albo raczéj „bóg złego“ zabiéra się odrazu do dzieła i, nie mogąc już szkodzić Bogu bezpośrednio, pragnie przynajmniéj szkodzić mu w jego tworach — ludziach. Do samych ludzi nie czuje on żadnéj nienawiści, nie zazdrości im szczęścia, nie pragnie, jak Mefostofilis Marlowe'a, słodzić ich niedolą swojéj niedoli, przeciwnie, lituje się nad nimi (księga IV) i tłómaczy sam przed sobą swoje złośliwe postępki, (podstęp, kuszenie) koniecznością polityczną, jeżeli się tak wyrazić można. „Co, ja wasz nieprzyjaciel? — powiada do siebie —

> Nie: kocham was szczerze,
> Ja wam życzę najlepiéj i litość mnie bierze,
> Widząc was opuszczonych, choć sam jéj nie znałem...
> Jeśli wam się uprzykrzy ta nowa dziedzina,
> Nie moja, ale twórcy waszego jest wina...
> Sprawa państwa mojego, rozpostarcie granic,
> Honor — wszystko mnie zmusza, bym nie zważał na nic...
> A choć czyn tak niesłuszny staje mi na wstręcie,
> Muszę, muszę wykonać moje przedsięwzięcie...

Kładąc tak silny nacisk na stronę duchową, Milton, w przeciwieństwie do Dantego i Tassa, nie wspomina prawie o stronie fizycznéj. Kreśląc osobę Szatana, powiada tylko, że był on silnym, potężnym, olbrzymim, ale nie wdaje się wcale w szczegóły, nie rozwodzi się nad kształtem, wielkością i kolorem członków jego ciała, pozostawiając to wyobraźni czytelnika. I słusznie, tam bowiem, gdzie idzie o odmalowanie czegoś nadprzyrodzonego, czegoś, co nie ma odpo-

wiednika w świecie rzeczywistym, tam dokładne i drobiazgowe wyrzeźbianie szczegółów, usprawiedliwione w romansach realistycznych, jest zupełnie nie na miejscu. Jakiś ogólny zarys, prosty kontur, jeżeli go tylko wypełnia potężna treść duchowa, może, jak przekonywa właśnie Szatan Miltona, wywołać ogromne wrażenie [1]).

Typ pokrewny miltonowskiemu, spotykamy w „Lucyferze" *Joosta van den Vondel* (1587—1679) zwanego Calderonem holenderskim. Vondel przedstawia nam dramatyzowaną historyę buntu aniołów, buntu, spowodowanego, jak u talmudystów, zazdrością o przywileje człowieka. Akcya ma przebieg czysto polityczny. Demagog sfer niebieskich, Belzebub, podnieca tłumy swojemi mowami, Belial parlamentuje, Apollion opowiadaniami o szczęśliwości ludzkiéj rozpala zawiść w sercach aniołów. Nad wszystkimi atoli góruje Lucyfer, który, niby to w obronie zagrożonéj konstytucyi (*sic!*) państwa niebieskiego, podnosi chorągiew rokoszu. W gruncie rzeczy, pragnie on zająć sam miejsce Stwórcy:

> I ponad wszystkich niebios blask promienny,
> Nad wszystkie sfery, ponad wszystkie szczyty,
> Tron mój wyniosę! Niebo niebios będzie
> Pałacem moim; płaszczem strop gwiaździsty;
> Łuk tęczy — krzesłem, a podnóżkiem — ziemia!..
> Ha, nim ustąpię, wprzódy ten firmament,
> To mocne, dumne, wyniosłe sklepienie
> Runie spękane i w proch się rozpryśnie...
> Wprzódy cudowna wszechświata harmonia,
> Zwichrzona, mętna w chaos się pogrąży...

Vondelowskiego Lucyfera, nietylko porównywano często z miltonowskim Szatanem, ale przypuszczano, opiérając się na chronologii, że angielski poeta korzystał z holenderskiego dramatu. Gdyby nawet rzeczywiście tak było, to przyznać należy, że Szatan, jako charakter, przewyższa o wiele swój pierwowzór. Odwagę i dumę Lucyfera widzimy tylko przed upadkiem, kiedy cała potęga duchowa miltonowskiego Szatana przejawia się właśnie w chwili największego poniżenia i niedoli. Ponury bohater „Raju utraconego" zawsze jest archaniołem, t. j. istotą nadprzyrodzoną i potężną, Lucyfer Vondela, miewa, jak człowiek, naprzemiany chwile zapału i chwile zwątpienia. Obok ustępów, tchnących, jak cytowa-

---

[1]) W słynnéj a niezmiernie popularnéj w Anglii alegoryi religijnéj purytanina Bunyana (1628 — 1688) p. t. „Wędrówka pielgrzyma" występuje potworny szatan „Apollyon," z którym pielgrzym walczy i którego zwycięża. Postać ta traktowana jest czysto symboliczne. Por. Wyd. 1861 Barmen, str. 57 — 69.

ny powyżéj, niesłychaną pychą i butą, pojawiają się monologi, znamionujące słabość, obawę i chwiejność.

> Zwycięstwo nie jest pewne, zmusić ich do odwrotu
> Niełatwa rzecz; czyż mogę rozpocząć bój nierówny?..
> Czyż stanąć mam na czele rokoszan i fałszzywe
> Prawo przeciwko niebios świętemu głosić prawu?..
> Ha, z prostéj, obowiązku, dalekom zboczył ścieżki!
> I Stwórcy się wyrzekłem! Lecz czyż przed światłem Jego
> Ukryję hańbę moją i czyny me występne?
> Nadzieja już stracona — otóż i wojsko boże...

Duch, który tylko dlatego się nie cofa, że już zapóźno, który więc walczy, nie z przekonania o słuszności praw swoich, ale z rozpaczy, nie mógł w żaden sposób zostać po upadku „bogiem złego," Arymanem chrystyanizmu, jak szatan Miltona.

To rozmyślne osłabienie charakteru czarta da się do pewnego stopnia wytłómaczyć tém, że Vondel, aczkolwiek urodzony i wychowany w germańsko-protestanckiéj atmosferze, chylił się całe życie ku kościołowi rzymskiemu, w dojrzałym zaś wieku nawet otwarcie do niego przystąpił, a jakieśmy już kilkakrotnie wspominali i dowiedli przykładami, zaczerpniętemi z poezyi hiszpańskiej i włoskiéj, u katolików dualizm rysował się mniéj szorstko, dyabeł więc mniejszą posiadał potęgę, niżeli u wyznawców nauki reformowanéj.

IV.

Dyabeł u pseudo-klasyków. — Boileau, Lafontaine, Lesage, Voltaire. — Anti klasyczna reakcya w Niemczech. — Klopstock. — Dyabeł w okresie burzy i zapędu. — Mefistofeles Goethego i Lucifer Byrona, jako krańcowi przedstawiciele zróżniczkowanego typu dyabła w poezyi.

Od drugiéj połowy XVII wieku literatura europejska popadła w niewolę pseudo-klasycyzmu francuskiego, który nie dopuszczał wcale, po za zimnemi alegoryami mytologicznemi, żywiołu fantastycznego do poezyi. Aczkolwiek więc w arcychrześciańskiém królestwie palono i więziono czarowników w najlepsze (procesy: Gauffridiego, Grandiera, Magaleny Bavent, oraz La Cadiere'y), mimo to słynny kodyfikator téj latyńskiéj *par excellence* estetyki, Boileau, piorunował w swojéj „*L'art poétique*" przeciwko wprowadzaniu dyabła do piśmiennictwa:

> C'est donc bien vainement que les auteurs deçus
> Bannissant de leurs vers ces ornements reçus...

Mettent à chaque pas le lecteur en enfer,
N'offrent rien qu' Astaroth, Belzebuth, Lucifer..,
Et quel objet enfin à présenter au yeux
Que le diable toujours hurlant contre les cieux,
Qui de votre héros veut rabaisser la gloire
Et souvent avec Dieux balance la victoire. (III).

Ciasny ten pogląd przetrwał, modyfikując się trochę, długie czasy. Jeszcze autor „Kandyda“ nazywa Miltona „barbarzyńcą, który popsuł klasyczne piekło Tassa“ (XXV). W V pieśni pornograficznéj epopei swojéj (*Pucelle d' Orléans*) daje nam za to Voltaire parodyę piekła, trzymaną w prawdziwie francuskim stylu, t. j. pełną satyrycznego dowcipu. W dopisku zaś do pieśni XV, obrzuciwszy poraz wtóry Miltona gradem obelg i zarzutów, oświadcza on, że o dyabłach, ze względu na oświatę, powinno się mówić tylko w sposób zabawny i drwiący. To téż rzeczywiście, darmoby kto w poezyi francuskiéj szukał poważnego typu dyabła przed wiekiem XIX. La Fontaine obrabia w swoich wierszowanych nowelkach komiczne motywy renesansu (*Belphegor*, *L'anneau d'Hans Carvel*); Le Sage znowu buduje na tle hiszpańskiém słynny romans, w którym lichy, kulawy dyablik, Asmodeusz, odgrywa tylko rolę aparatu, ułatwiającego autorowi zawiązanie i rozwiązanie intrygi powieściowéj [1]).

Od zmory pseudo-klasycyzmu uwolniły się najpierw Niemcy, szukając natchnień w dziełach zapomnianych chwilowo poetów staro-angielskich, oraz w protestanckich legendach poreformacyjnych, które dopiéro znacznie późniéj ustąpiły miejsca romantyczno-katolickiéj średniowieczczyźnie. Ten nowy zwrot przyczynił się niesłychanie do wzrostu poezyi demonicznéj. Klopstock, co prawda, dał nam w Szatanie swojéj Messyady tylko galaretowatą kopię spiżowego miltonowskiego posągu, w sentymentalnym Abbadonie zaś rozwinął jedynie szerzéj postać nawróconego dezertera z legionów dyabelskich, Abdiela (Raj utracony I). Legenda o Fauście za to, żyjąca ciągle w teatrach maryonetek, doczekała się kilkunastu oryginalnych opracowań. Pierwszy zwrócił na nią uwagę Lessing; potém, w gorączkowym okresie

---

[1]) W wolterowskim stylu trzymane są i utwory Parny'ego (La Guerre des dieux, Le paradis perdu — parodya Miltona — Galanteries de la Bible). Wśród téj powodzi żartów i szyderstw dziwne sprawia wrażenie prześliczna nowela Jakóba Cazotte'a: „Le diable amoureux,“ którą, gdyby nie jasny, kryształowy styl w. XVIII możnaby wziąć łatwo za utwór Peladana, Lerminy, albo innego okultysty współczesnego. Bohaterka téj powiastki, wdzięczna dyabliczka Biondetta, należy do najoryginalniejszych typów literatury demonicznéj. Cazotte oddawał się studyom nad kabałą i zużytkował je bardzo umiejętnie we wspomnianéj noweli.

„burzy i zapędu“ rzucono się na gwałt do poetycznego rozwijania tego tytanicznego tematu, tworząc przy téj sposobności całe tłumy dyabłów i dyablików. Wszystkich tych postaci i utworów [1]), których większość należy już dzisiaj do historyi, rozbiérać szczegółowo nie będziemy i przejdziemy odrazu do demonicznéj syntezy całego okresu, zawartéj w Mefistofelesie z „Fausta“ Goethego.

Mefistofeles w arcydziele Goethego nie przypomina w niczém dumnych szatanów Marlowe'a, Miltona i Vondela. Pierwowzorem jego były komiczne figury dyabłów w misteryach i *schwänkach*, od których jednak różni on się tak, jak roślina, uszlachetniona przez kulturę, różni się od zwykłego, polowego chwastu, jak różnił się wzbogacony wiedzą i wykształcony filozoficznie geniusz Goethego, od naiwnego talentu Hansa Sachsa. Cały poemat Goethego, oraz większość wchodzących do niego postaci, posiada podwójny charakter i z dwojakiego powinna być rozpatrywana stanowiska. Raz, jako wcielenia, symbole pewnych abstrakcyjnych idei i pojęć, drugi raz znowu, jako żywe osoby, cierpiące, czujące i działające; jako indywidua, będące cząstką większéj całości — świata; jedném słowem, jako bohatérowie, wplątani w akcyę pewnego życiowego dramatu. Faust np. jest symbolem całéj ludzkości, która ciągle posuwa się naprzód, wiecznie dąży do ideału, a nie mogąc go nigdy dosięgnąć, popada chwilowo w rozpacz, zwątpienie, traci wiarę w prawdziwość pe-

---

[1]) Do ważniejszych opracowań Fausta należą: „F. s. Leben, Thaten und Höllenfarth,“ romans Klingera (1725 — 1831), gdzie dyabeł występuje jako uczeń Rousseau'a, dowodzący, że zło jest tylko zwyrodnieniem natury ludzkiéj, pod wpływem cywilizacyi. Daléj dramaty Sodena (1754 — 1831), Schincka (1755 — 1835), Klingemanna (1777 — 1831), (tłóm. na polski przez Lubomirskiego, 1819 r.), oraz malarza Müllera, który lubił nietylko malować, ale i opisywać sceny dyabelskie. W jego „Życiu Fausta“ występuje cała czereda szatanów, trzymanych przeważnie w komiczno-satyrycznym tonie, od którego silnie odbija melancholia Mefistofelesa. Duch ten ciągnie Fausta do piekieł, nie dlatego, że chce go zgubić, lecz dlatego, że go kocha i ceni wysoko, gdyż taka dusza, „z myriadów wybrana, równoważy cały świat nikczemnych dusz tłumu. „Daléj Mefistofelu — woła ten dziwny dyabeł — spełni się więc twoje słodkie życzenie posiadania istoty sympatycznéj! przykuj ją dyamentowemi łańcuchami do twego serca! Z a c i e m n o, z a c i e m n o t a m, n a d o l e! trzeba sobie coś przynieść z górnego świata... O słodka myśli! a jednak biada! siedmioraki miecz pierś mi przebija, kiedy, jako dyabeł, muszę niszczyć to, com zbudował, i d r ę c z y ć z r o z k o s z ą, to, co tak k o c h a m.“ Jest to sympatya dwóch tytanicznych duchów, podobna do téj, jaką odczuwają do siebie byronowski Lucyfer i Kain. Niezwykły ten typ dyabła, dla którego największą „torturą piekielną jest m i ł o ś ć t ł u m i o n a“ nie został niestety wyzyskany należycie, Faust Müllera bowiem nie doczekał się wykończenia (cf. wydanie Göschena, Stuttgart 1881).

wnych idei, porzuca je więc i szuka nowych dróg, i znowu się myli, i znowu błądzi — i tak ciągle, zawsze, bez końca... Ale Faust jest zarazem uczonym, który, zawiedziony przez mądrość książkową, postanawia szukać mądrości i prawdy w życiu i przyrodzie; Faust jest kochankiem Małgorzaty, zabójcą Walentego, czyli, innemi słowy — człowiekiem, jednostką. Podobnie i Mefistofelesa uważać można za dyabła, i za symbol pewnych stron natury i umysłu ludzkiego, a współcześnie i za reprezentanta pewnych pojęć filozoficznych:

> Ja jestem duchem wiecznego przeczenia,
> I to słusznie, bo wszelkie poczęte jestestwo
> Godném jest, aby zapadło w nicestwo;
> I bodaj się nic nigdy nie poczęło w świecie. —
> A wszystko, wszystko, co grzechem, co wstrętem,
> Zniszczeniem, zgoła, co tu złém zowiecie,
> To jest moim elementem. (Przekł. Jezierskiego).

Temi słowy, na zapytanie Fausta, określa on sam siebie, jako ducha przeczenia, czyli ducha zła. Zło bowiem, ściśle biorąc, nie jest wcale siłą pozytywną, ani pierwiastkiem realnym, lecz tylko zaprzeczeniem, negacyą, brakiem dobra, jak zimno i ciemność są tylko brakiem ciepła i światła, a nie istnieją same przez się. Taki rezultat daje nam ściste, logiczne rozumowanie. Gdyby jednak poeta chciał się trzymać bezwzględnéj logiki, musiałby w konsekwencyi wyrzec się zupełnie stworzenia figury dyabła, niepodobna bowiem uosabiać rzeczy, która nie istnieje. Do tego jednak nie był Goethe obowiązany, poezya bowiem posiada swoją własną logikę, wymagającą, aby dana postać, sytuacya, charakter, rozwijały się konsekwentnie od początku do końca, zostawia jednak artyście zupełną swobodę obrania sobie owego początku.

Punkt wyjścia jest dowolnym, może on być najbardziéj fantastycznym, absurdem nawet, oparłszy się jednak na nim, poeta musi się starać o logiczne przeprowadzenie swego pomysłu do ostatka.

Jeżeli świat i wszystko, co na nim istnieje pięknego, wszystko, co rozbudza i podtrzymuje ruch, życie, rozwój, postęp, uznamy za dobro, to złém będzie wszystko, co temu rozwojowi przeszkadza, co ten ruch powstrzymuje. Życie jest harmonią sił i żywiołów; przeciwieństwem więc jego będzie ponury, ciemny, bezładny chaos. Chaos jednak istniał przed harmonią, która się z niego powoli wyłoniła, zło więc, według tego rozumowania, jest starszém od dobra. Słusznie tedy Mefisto, syn chaosu, powiada o sobie:

> Ja: część części, co wszystkiém była w pierwo-dobie,
> Jam część mroków, co światło porodziły w sobie.

Jakkolwiek w dalszym ciągu dyabeł wyraża kilkakrotnie nadzieję, że ciemność, czyli zło, weźmie znowu górę nad światłem, jest to z jego strony prostą przechwałką, sam bowiem, kiedy mu Faust powiada, że

Nie mogąc niszczyć na wielkie rozmiary,
Toczy zniszczenie na kółku drobniutkiém.

przyznaje, że czyni to „z nieszczególnym skutkiem.“ W inném zaś miejscu, mówiąc o sobie, nazywa się „częścią siły, coby chciała, wiecznie twórczo złe działać, a dobro wciąż działa.“ Co to znaczy? Dla wytłómaczenia tego musimy cofnąć się do Prologu, w którym, jak w księdze Hioba, pomiędzy aniołami zjawia się krytyk piekielny, Mefistofeles, i dyskutuje z Bogiem. Na ironiczne uwagi dyabła, i na szyderstwo jego, połączone z pogardą ludzi i świata, odpowiada mu Pan:

Szatan — kusiciel [1]) zakłóca mi ciszę
Najmniej ze wszystkich duchów, które przeczą.
Łatwo omdlewa czujność śmiertelnika;
Nieraz go żądza bezczynności skusi;
Rad więc dodaję mu współzawodnika,
Co pcha, drażni, a jako szatan: stwarzać musi!

Zło więc ma swoją racyę bytu; jest ono potrzebne, jako ferment rozwoju, jako bodziec, popychający ludzi do czynu, jako bicz, niepozwalający człowieczeństwu popaść w lenistwo i drzémkę duchową. Rzecz to tak jasna, że komentarzy nie potrzebuje. W ten sposób pojęte zło musiało wchodzić w plan stworzenia i nie pojawiło się w niém przypadkiem. Mefistofeles jest więc tylko nawpół świadomém narzędziem i wykonawcą woli najwyższéj, nie zaś jéj bezwzględnym przeciwnikiem i wrogiem, jak szatan tradycyjny. Kładziemy umyślnie na to nacisk, ponieważ panteista, Goethe był jedynym z poetów, który ideę zła, uosobioną w szatanie, tak głęboko filozoficznie pojął i tak oryginalnie przeprowadził. To też w całym poemacie autor nie wspomina wcale o upadku Mefistofelesa z niebios. Nie był on nigdy aniołem, jak szatan dogmatyczny, lecz zawsze dyabłem, istotą tak starą, a może starszą jeszcze, niż całe stworzenie. Stosownie do tego, w charakter jego poeta nie wplótł ani jednego jaśniejszego promyka, ani jednego rysu, któryby przypominał dawną,

---

[1]) W oryginale:

Von Allen Geistern, die verneinen,
Ist mir der Schalk am wenigstem zur Last.

„Schalk“ — oznacza właściwie figlarza-franta.

niebieską potęgę i chwałę. Mefistofeles jest złym na wskroś, dyabłem od stóp do głów, ale mimo to nie jest potworem, wstrętną poczwarą, jak dyabły średniowieczne; zło częściéj przecie przybiéra formę ponętną, niżeli ohydną, inaczéj bowiem nie mogłoby przyciągać i kusić, a tém samém przestałoby być niebezpieczném. Mefistofel więc tylko tam, gdzie nie potrzebuje grać komedyi, gdzie może być szczerym, nie tracąc nic na tém, objawia swój istotny charakter. W kuchni czarownic, na Sabacie w noc Walpurgową, oraz w scenach sam na sam z Faustem, który go zna do głębi, Mefistofel występuje bez maski, jako złośliwy duch przeczenia i wcielenie brutalnych instynktów ludzkości. Zwykle jednak, w obcowaniu z innemi osobami, okrywa on ohydny bestyalizm swojéj natury płaszczykiem światowego obejścia. Jest elegancki, umié zalecać się do kobiét (Marta, scena w ogródku) i posiada przytém niewyczerpany zapas humoru i dowcipu. Humor ten, bywa najczęściéj zabarwiony satyrycznie, dowcip ma charakter zjadliwy, gryzący, ale mimo to uderza zwykle tak trafnie w słabą stronę danego przedmiotu, że olśniewa słuchaczów. Przy bliższém rozpatrzeniu, dowcipne uwagi Mefistofelesa okazują się — często, nie zawsze — sofizmatami, paradoksami, ale w danéj chwili, trudno się oprzéć téj szalonéj, prawdziwie szatańskiéj werwie, téj subtelnej, acz sofistycznéj dyalektyce, téj wściekłéj ironii, która nie oszczędza nic, nawet samego mówcy. Mefistofeles bowiem, w chwilach szczerości drwi z samego siebie, wiedząc, że jest tylko jedném z kółek w olbrzymiéj machinie świata, i że to, co robi, obróci się w końcu przeciw niemu samemu. To téż, krytykując, czerniąc, nicując wszystko, wié on dobrze, że nie zawsze ma racyę, że niekiedy kłamie, ale to go nie krępuje, kłamstwo bowiem, to jeden z jego ulubionych żywiołów, i kiedy uda mu się kogo oszukać, znajduje w tém rozkosz prawdziwą. Tak np. rozbudziwszy w Fauście, pogardę do wiedzy, oraz chęć użycia, powiada sam do siebie:

> Tylko ty wzgardź mi rozumem, a księgą,
> Nauką, potęg potęgą,
> W mgłach kuglarstwa i guślarstwa
> Oddaj się d u c h o w i ł g a r s t w a —
> O! toś zapadł w moje sidła...

Przy całéj swojéj subtelnéj inteligencyi posiada on, zgodnie z tradycyą, szczgólną skłonność do wszystkiego, co brudne, brzydkie, trywialne, ujawniając to zarówno w obcowaniu ze swojemi podwładnemi, jak i w rozmowach z Faustem, któremu w chwilach najszczytniejszych uniesień, bryzga w twarz mętami i kałem. Całą charakterystykę Mefistofelesa można najlepiéj wyrazić słowami Fausta,

który go nazywa „mieszaniną ognia i błota.“ A mimo to jednak, ponieważ w głębi natury człowieczéj, obok najszlachetniéjszych popędów i aspiracyi, drzémią także instynkta nizkie, zwierzęce, których przedstawicielem jest Mefistofeles, nie sprawia on na ludziach wrażenia przykrego. Faust z nim obcuje, Marta pragnie go nawet zaślubić, a tylko czysta, dziewicza dusza Małgorzaty nienawidzi i boi się go instynktownie. „Krew mi się w żyłach burzy“ — powiada do Fausta — gdy go widzę.

> Wszak ja się nikim nie trwożę, nie brzydzę,
> Lecz, jak mi smutno, gdyś ty nie jest ze mną,
> Tak on przejmuje mnie z grozą tajemną;
> Odpuść mi, Boże, jeśli sądzę krzywo,
> Ale tam łotr się czai pod pokrywą!
> U drzwi stanąwszy, na zwiady, oczyma
> Wodzi szyderczo od kąta do kąta;
> Ni to gniéwa się i zżyma,
> A znać, że serca nic tam nie zaprząta.
> Tak to jaskrawo świeci z jego czoła:
> „On żadnéj duszy ukochać nie zdoła.“

Małgorzatę przeraża w Mefistofelesie nie potęga i złośliwość jego inteligencyi, któréj ona ocenić i zrozumiéć nie może, lecz absolutny brak uczucia, stanowiący jednę z głównych cech charakteru téj piekielnéj postaci. Cichy pojedynek o duszę Fausta, kończy się, jak w misteryach średniowiecznych, porażką pierwiastku zniszczenia a zwycięstwem żywiołu niewieściego (*Das ewig weibliche*), któremu genialny poeta przywrócił dawne przywileje, zniesione przez racyonalizm protestancki.

Zatrzymaliśmy się tak długo przy Mefistofelesie Goethego, ponieważ jest to typ dyabła, jedyny w swoim rodzaju, nie mający, nietylko równego, ale nawet podobnego sobie. Z pierwiastków czysto negatywnych, nie dodając do nich ani źdźbła jakiejś namiętności, jakiejś wyższéj aspiracyi, jakiegoś tytanicznego dążenia, uszlachetniającego nawet zbrodniarzy i zbrodnie, stworzył poeta postać, nie sympatyczną wprawdzie, ale niezwykle interesującą, a przytem, co najważniejsze, pełną życia. Mefistofeles bowiem, nie jest maryonetką, lecz sprawia wrażenie istoty realnéj „*Er kann leben, denn er widerspricht sich*“ — powiada o nim dowcipnie Vischer.

Typ Goethowskiego dyabła naśladowało wielu poetów, żaden z nich jednak nie zbliżył się nawet do mistrza. Najlepiéj stosunkowo udało się to Byronowi, płynącemu na ostatnich falach tego samego prądu, którego początek unosił autora „Fausta.“ Odnośny utwór jednak

(dramat „Bezkształtny—przekształcony“) pozostał tylko fragmentem, nie można więc o nim wydawać sądu [1]). Ale Byron nie poprzestał na naśladowaniu Goethego, postać szatana pojawia się w dwóch jeszcze poematach jego, a mianowicie w „Widzeniu sądu“ i w „Kainie,“ Aryman w „Manfredzie“ bowiem służy tylko za dekoracyę. Widzenie sądu jest utworem satyryczno-politycznym, szatan więc odgrywa tam rolę niewielką, za to Lucyfera w „Kainie“ opracował poeta *con amore*, czyniąc go jedną z głównych figur dramatu.

Lucyfer, nietylko nie jest naśladownictwem Mefistofelesa, lecz różni się od niego biegunowo. O ile ostatni może być uważany za syntezę ujemnych pierwiastków szatańskiego typu, o tyle pierwszy zbudowany został na jego żywiołach dodatnich. Byron, zgodnie ze swoją wojowniczą i niepodległą naturą, widział w szatanie, nie podłego zdrajcę, jak Dante, nie upartego lokaja, jak Calderon, ani też bezsilnego ducha sprzeczności, jak Goethe, lecz dumnego rokoszanina, jak Milton. Milton atoli, uczyniwszy szatana bohatérem, nie przestał, mimo to, uważać jego buntu za grzéch, za zbrodnię, za nieszczęście dla rodzaju ludzkiego, Byron zdaje się nie podzielać tego poglądu. Mówimy „zdaje się,“ ponieważ Kain jest dramatem, każda osoba przeto przemawia tam w swoim, nie autora, imieniu, poeta zaś zastrzega się w przedmowie przeciwko zbyt pohopnemu wyciąganiu wniosków z bluźnierczych rozumowań Lucyfera, który, jako dyabeł „nie może przecież używać w dyskusyach teologicznych namaszczonego języka pastorów“ [2]) W naiwnych misteryach średniowiecznych zresztą, działy się i mówiły rzeczy daleko gorsze, a jednak to nie obrażało uczucia pobożnych słuchaczów. Lucyfer Byrona czuje się dosyć potężnym, by nie miéć pana nad sobą, wypowiada mu więc walkę. Walka ta skończyła się nieszczęśliwie, lecz go nie zgnębiła; utracił wprawdzie raj i jego rozkosze, ale on nie tęskni za niemi, gdyż „szczęśliwość okupywana pokorą i ślepém posłuszeństwem, wydaje mu się poniżającą.“ Ponieważ — powiada do Kaina. —

> Bogiem nie mogłem zostać, nie chcę n i c z e m
> Być, jak tém tylko c z é m j e s t e m.

---

[1]) Sam Goethe przyznał w rozmowach z Eckermanem (I, 186. Reclam), że słowa Cezara we wspomnianym dramacie: „częściéj, niźli myślicie dyabeł prawdę mówi, — Jeno natrafia zwykle na słuchaczów głupich“ zostały jakby wyjęte z ust Mefistofelesa.

[2]) With regard to the language of Lucifer, it was dificult for me to make him talk like a clerygmen upon the same subjects. (Cain, Preface).

„A to jest?“ zapytuje Kain, Lucyfer odpowiada dumnie:

> Istotą, co z nieśmiertelności
> Korzysta, śmiało wszechmocnemu Panu
> W oblicze patrzy i głośno powiada:
> Zło twoje dobrem nie jest. Jeżeli nas
> Stworzył. jak mówi — czego nie wiem wcale
> I nie przypuszczam — jeżeli nas stworzył:
> Nie zdoła zmienić, bośmy nieśmiertelni...

Jak wypada z tych słów — uważanych przez niektórych krytyków za pułapkę na umysł Kaina — przyczyną buntu i upadku archanioła była nietylko ambicya, jak u Miltona, lecz i wewnętrzne przeświadczenie o złym ustroju świata. Lucyfer jest krytykiem, nie pobłażliwym i obojętnym atoli, jak sceptyczny Mefistofel, gawędzący wesoło ze „Staruszkiem,“ jeno krytykiem-burzycielem, który chciałby na miejscu istniejącego postawić nowy porządek rzeczy. Jeden z tych dyabłów uważa się za zero, drugi pragnie uchodzić za nieskończoność.

Wobec tak dualistycznie, po manichejsku niemal pojętego stosunku szatana do Stwórcy, stosunek do człowieka przybrał u Byrona odmienne, niż u podszytego hellenizmem spinozisty, Goethego.

Szatan Miltona litował się nad ludźmi, Lucyfer kocha ich nawet podobno, jako swych naturalnych sprzymierzeńców i towarzyszów niedoli:

> My duchy i ludzie
> Współczujem sobie. Cierpiąc niezliczone
> Męczarnie wspólnie, czynim je lżejszemi
> Przez to współczucie nieograniczone
> Wszystkich dla wszystkich...

Z wężem kusicielem, który spowodował upadek człowieka, Lucyfer, jak twierdzi, nie ma nic wspólnego. Nie robi on zresztą Kainowi żadnych obietnic, lecz zdziéra mu poprostu zasłonę z oczu i okazuje rzeczywistość taką, jaką jest istotnie, czyli kusi go, jak sam powiada „prawdą,“ za którój treść nie bierze na siebie odpowiedzialności. Nie mogąc zmienić téj smutnéj „prawdy,“ pragnie on rzekomo osłodzić byt człowieka, ucząc go korzystania z darów, które posiada:

> Ducha nic przemódz nie zdoła,
> Gdy chce być sobą i środkiem wszechrzeczy...
> Nieszczęsny owoc dał wam jednak w darze
> Jedno, lecz wielkie, niespożyte dobro:
> Rozum — niech zawsze on swobodnym będzie!..

. . . .

Cierpcie a myślcie! i we wnętrzu swoim
Stwórzcie świat własny, jeśli świat zewnętrzny
Wam nie wystarcza, wtedy do duchowéj
Natury łatwiéj zbliżyć się, a waszą
Cielesną, ziemską zwyciężyć zdołacie!..

Jest to rada wspaniała, ale jednostronna, i to właśnie nadaje jéj demoniczny charakter. Rozum bez uczucia bowiem może się okazać równie niebezpiecznym przewodnikiem ludzkości, jak i samo ślepe a nieokiełznane uczucie. Przecie i Byron w „awatarze“ Manfreda twierdził: „że drzewo wiedzy nie jest drzewem życia!...“

Zewnętrzna strona postaci Lucyfera harmonizuje z jego subtelnym charakterem wewnętrznym. Przytoczymy tu ustęp z pierwszego aktu, w którym Kain tak określa zbliżającego się kusiciela:

Postać aniołom podobna,
Tylko smutniejsza i bardziéj ponura.
Zda się być duchem. Lecz czemuż drżę cały?
Dla czego więcéj mam go się obawiać,
Niż innych duchów?..
Jeśli nie straszą mnie tamtych ogniste
Miecze, dlaczego drżę przed tym, co idzie?
On mi się jednak potężniejszym zdaje,
Niżeli inni, ale niemniéj pięknym,
Choć nie tak pięknym, jakim był zapewne,
I mógł być jeszcze. Rozpacz się w nim dzieli
Z nieśmiertelnością. Mogąż istnieć bóle
Za człowieczeństwem?..

Scena ta pozwala nam ocenić wrażenie, jakie Lucyfer sprawia na ludziach: budzi on w Kainie rodzaj przestrachu, połączonego z podziwem, który w dalszym ciągu poematu zmienia się w sympatyę dwóch pokrewnych natur. A przestrach ten nie jest bynajmniéj obawą fizyczną, lecz instynktownem przeczuciem zbliżania się jakiejś wyższéj duchowéj potęgi. W podobny sposób działa Lucyfer i na małżonkę Kaina, Adę. Patrząc na niego i słysząc jego mowę, Ada wykrzykuje: „Nie kuś mnie twą pięknością, bo ty jesteś piękny, piękniejszy, niż wąż w raju, choć równie fałszywy!“ Porównywając Lucyfera do węża, chce ona osłabić sympatyę, jaką mimowolnie ku niemu odczuwa:

Nie wiem, co odrzec mam nieśmiertelnemu,
Co stoi tutaj, a nie mogę jednak
Czuć nienawiści i wstrętu do niego.
Patrzę nań z jakąś rozkoszną obawą,
A nie uciekam przed nim; w jego oku
Jest coś, co serce me k'niemu przyciąga,
Co moją drżącą źrenicę przykuwa

Do jego oczu... Serce moje bije,
Boję się — boję — a jednak do siebie
On mnie przyciąga wciąż bliżéj i bliżéj—
I — o, Kainie, ratuj, broń mnie przed nim!...

Kain ją uspakaja, Ada przychodzi do siebie i, nie mogąc stłumić obawy, że Lucyfer, jeśli słów jego słuchać będą, może ich zgubić, współczuje mu jednak, nie brzydzi się nim, jak Małgorzata Mefistofelesem: „Ty zdasz się nieszczęśliwym, nie rób nas takimi, a będę płakać serdecznie nad tobą.“ Te wyrazy, wyrzeczone ustami kobiéty, malują nam lepiéj jeszcze charakter Lucyfera, niżeli jego własne słowa. Kaina zyskuje on logiką swego rozumowania i potęgą swéj nienawiści, która znajduje oddźwięk w zbolałéj a dumnéj duszy pierwszego mordercy. Ada jednak, żyjąca tylko miłością męża i dziecka, posiadająca zatém ciaśniejszy horyzont myślowy, nie pojmuje tych wyższych aspiracyi, a jednak nie jest ona w stanie otrząsnąć się z demonicznego uroku, jaki ten Szatan, z którego Byron zrobił biblijnego Prometeusza, wywiéra na otoczenie.

Jeżeli porównamy tego melancholijnego i pięknego demona z śmiésznym potworem, noszącym miano dyabła w wiekach średnich, mimowoli ogarnia nas zdumienie. Jakto, więc te dwie, tak różne od siebie istoty, z jednego powstały pierwiastku? a jednak to prawda. Pomimo tylu i tak głębokich różnic, Lucyfer Byrona nie jest postacią bezwzględnie odmienną od średniowiecznego dyabła: nie kusi on Kaina bezinteresownie, lecz wymaga od niego hołdu poddańczego, oraz wyrzeczenia się Boga; prócz tego lubi wojować sofizmatami i wyrażać dwuznacznie, sącząc w serce Kaina jad nienawiści i rozpaczy. Byron bynajmniéj nie pragnął bezwzględnéj rehabilitacyi złego ducha, przeciwnie, chciał on zrobić Lucyfera potężnym, ale mimo to rzeczywistym dyabłem, inaczéj bowiem poemat, oparty na tradycyi biblijnéj, straciłby swój istotny charakter. Zresztą i to, co jest sympatycznego w postaci Lucyfera, nie należy do rzeczy nowych.

Przypomnijmy sobie tylko, czém był dyabeł w wiekach średnich? Duchem zła. Ale co było złém według pojęć ówczesnych? Otóż, najpierw wszystko to, co dotąd złém nazywamy, a więc: bóle, dolegliwości fizyczne, klęski, choroby, następnie fałsz, obłuda, kłamstwo, zbrodnie, występki szkodliwe dla bliźnich i społeczeństwa i t. d.

Ta litania jednak nie wyczerpuje wszystkich właściwości szatańskich, fanatycy wieków ubiegłych bowiem uważali za zło i to także, co dzisiaj wszyscy, bez wyjątku, uznają za dobre, a zatém: rozum,

naukę, miłość i t. d. [1]). Że tak krańcowo przeciwne sobie cechy nie mogły się w żaden sposób pomieścić w jednéj i téj saméj istocie, zaznaczaliśmy już kilkakrotnie. Dopóki więc poezya podlegała różnym wpływom nie zdołała stworzyć jednolitego typu szatana, dopiéro kiedy wzięli się do tego pisarze, dla których celem była czysta sztuka, nie jakieś względy uboczne, postać dyabła, rozpadłszy się na pierwiastki składowe, nabrała charakteru i wyrazistości. Nastąpił tu proces, podobny do tego, jaki się odbywa często w przyrodzie. Jeden gatunek, typ, rozdzielił się pod wpływem pewnych czynników na dwa różne, nie mające nic wspólnego, prócz nazwy i pochodzenia. Cechy, istniejące w formie pierwotnéj, wyodrębniły się: w każdéj z nowopowstałych odmian zanikły pewne właściwości, a natomiast wzmocniły się i wykształciły inne. Tym sposobem, jakeśmy już wspominali uprzednio, powstały dwa skończone zupełnie i niepodobne do siebie typy szatana: jeden komiczny, oparty na pierwiastkach negatywnych, drugi zaś poważny, zbudowany z żywiołów pozytywnych, szlachetnych: Pierwsza z tych odmian dosięgnęła szczytu w Mefistofelesie Goethego, kraniec drugiéj przedstawia byronowski Lucyfer, którego zarodek legendarny odnajdziemy w dyable Sabbatu, w owym rzekomym pocieszycielu i orędowniku niezadowolonych, nauczycielu mędrców i filozofów, owym — jak go nazywali sekciarze wieków średnich — „wielkim pokrzywdzonym“ przedstawicielem natury i nauki. Tutaj poetyczna ewolucya typów szatańskich dobiegła kresu. Drżący Inferus Nikodema, przemienił się w nieugiętego Lucyfera, głupowaty zaś a śmieszny namiestnik i powiernik króla ciemności — w dowcipnego sceptyka i szydercę, Mefistofelesa. Pośrednie ogniwa téj stopniowéj subtylizacyi przesunęły się kolejno na kartach niniejszego studyum, tworząc rodzaj dwoistego łańcucha, którego obie części, biegnące w pierwszych wiekach naszéj ery równolegle prawie, oddalały się, pod wpływem różnych czynników, coraz bardziéj od siebie. Jednym z ważniejszych etapów tego różniczkowania się zasadniczego typu były odrodzenie i reformacya, drugim zaś — wielki przewrót w umysłach, zakończony rewolucyą francuską.

Jak w szatanach Marlowe'a i Miltona, tak i w dyabłach Goethego i Byrona widnieje wpływ epok, które im życie dały: Mefistofeles reprezentuje zjadliwy i palący krytycyzm francuskiéj filo-

---

[1]) Tertulian mówił: „Zło — to myśl! Potępieniec, heretyk, oraz owo wspaniałe bydlę“ (*Gloriae animal*), zwane filozofem — to jedno i to samo.“

zofii t. zw. oświecenia, Lucyfer zaś jéj ślepą i optymistyczną wiarę we wszechpotęgę rozumu ludzkiego.

Biorąc rzecz symbolicznie, t. j. uważając Fausta i Kaina za arcytypy ludzkości, musielibyśmy uznać Mefistofelesa, oraz Lucyfera za ich refleksy i dopełnienia. W pierwszym ogniskowałyby się wszystkie brutalne żądze i namiętności nasze, w drugim zaś — wyższe, idealne pragnienia i aspiracye umysłu, pożyteczne w skutkach dla ogółu, zgubne jednak często dla poddających im się jednostek....

Ignacy Matuszewski.

DANTE ALIGHIERI.

Czyściec.

Pieśń VI.

Kiedy się ruszy od gry szajka graczy,
Pobity chwilę zostawszy u stoła,
Kostki wyrzuca to tak, to inaczéj.
A z drugim gawiedź odchodzi wesoła:
Ten bieży naprzód, a ten z tyłu goni,
Ten mu zabiega z boku, a ten z czoła.
On idąc, temu i temu się skłoni;
Komu da rękę, już go nie naciska,
I tak od ciżby natrętnéj się broni.
Tak szedłem, a tłum następował zbliska;
Więc tu witając, a tam ruchem głowy
Kinąc, prułem się pośród zbiegowiska.
Był tam Aretin [1]), któremu z surowéj
Ręki śmierć zadał Ghin Tacco zuchwały
Drugi [2]) utonął, idący na łowy,
Tam ręce w górę wzniósł, błagalny cały

---

[1]) Benincassa, sędzia aretyński, którego zabił w sali sądowéj Ghin de Tacco, brat skazanego przedtem na śmierć bandyty.

[2]) Guccio Tarlati di Pietramala.

Frydryk Novello, z nim Pizańczyk [1]) czwarty,
Co Marrukowéj stał się sprawcą chwały [2])
Widziałem Orsę [3]) i ów duch wydarty
Ciału, — jak mówił sam, z cudzéj potwarzy,
Nie z własnéj winy, pokarania wartéj.
Pierre de la Brosse [4]) to był; a niechże zważy
Brabantka, póki ziemski byt ją cieszy,
Aby nie zaszła między brzydsze twarzy. —
— Gdym z owéj duchów otrząsnął się rzeszy,
Co wszystkie proszą, by za nie słać modły,
Tusząc, że to ich zbawienie przyśpieszy,
Zacząłem: Światło me, czyżby mię zwiodły
Słowa, w twéj księdze uważane bacznie:
„Dekretów nieba prośby nie przewiodły?“ [5])
A oto-ć lud ten błaga; czyżby płacz nie
Ważył? nadzieja ich była jałowa?
Lub czym wyrazy te pojął opacznie?
Więc mistrz tak do mnie: Jasne moje słowa,
Ni te proszące nadzieja omyli,
Jeśli me pismo myśl wyłoży zdrowa.
Bowiem szczyt sądu jeszcze się nie chyli,
Że czego oni wyczekują w kaźni,
Ogień miłości zmyje w jednéj chwili.
Gdziem o tych rzeczach rozprawiał wyraźniéj,
Téj mieć nie mogła modlitwa krzepkości,
Gdyż módlca z Bogiem trwał zbyt w nieprzyjaźni. [6])
O tak doniosłych prawdach wątpliwości
Nie żyw, aż przyjdzie ta, co-ć światłem progi
Między rozumem a prawdą umości.
O Beatryczy mówię; pośród drogi
Ku wierzchołkowi zaznasz jéj widoku;
Tam żywot wiedzie radosny i błogi.
A ja: Wodzu mój, przyśpieszajmy-ż kroku:

---

1) Farinata degli Scornigiani.

2) Gdyż Marucco, ojciec zabitego Farinaty, dał przykład pokory, przebaczywszy zabójcy.

3) Hr. Orso degli Alberti, zabity od towarzyszy.

4) Sekretarz króla franc. Filipa III, nienawistny królowéj Maryi Brabanckiej, oskarżony o zdradę i powieszony.

5) „Desine fata deum flecti sperare precando“ (Verg. Eneid. VI).

6) Jako poganin.

Już-ci znużenia jak wprzód nie doznaję,
A coraz szerzéj pada cień od stoku.
Pójdziemy,—odrzekł—póki słońca staje
I póki ścieżek noc nam nie zacieni,
Choć z tém inaczéj rzecz, niż ci się zdaje.
Nim szczytu dojdziesz, jeszcze się zrumieni
Niebo od tego, co właśnie się chyli
Tak, że już jego nie łamiesz promieni.
Lecz owo duszę spostrzegam w téj chwili,
Poglądającą, jakby nas czekała:
Jéj nas przewództwo pewno nie omyli.
Przyszliśmy bliżéj. Jak byłaś wspaniała
Lombardzka dumna duszo, śmiercią blada,
W toczeniu źrenic taka opieszała!...
Do przechodzących słowem nie zagada,
Puszczając mimo; tylko okiem śledzi
I patrzy nakształt lwa, co się pokłada.
Mistrz przystąpiwszy, prośbą ją uprzedzi,
By objaśniła nam drogę nieznaną.
Mara nie raczy dać wprost odpowiedzi,
Ale o kraj nasz zapyta i miano.
Więc wódz mój: „Mantua“—zaczął. Na dźwięk ony,
Duch jakby nagle w połu go złamano
Rzucił się, cały ku nam wychylony:
„Jam Sordel [1]), Mantua wspólna nam rodzica!...“
I objął jeden drugiego ramiony.
Biedna Italia, bólu gościnnica,
Śród wielkiéj burzy bez sternika nawa,
O, już nie pani krajów, — nierządnica!
Uczcić rodaka, patrz, jak była żwawa
Na same ziemi rodzinnéj odgłosy
Pełne słodyczy, jedna dusza prawa.
A twoi żywi wzajemnymi ciosy
Gubią się i żrą nieustannym bojem
W obrębie muru jednego i fosy!
Spojrzyj nieszczęsna po wybrzeżu twojém,
Po murach, — potém spojrzyj na swe łono:
Jest-że kąt, coby cieszył się pokojem?
Cóż stąd, że uzdę na kark przykrojoną

---

1) Sordello, prowancko-włoski trubadur XIII w.

Dał ci Justynian [1]), kiedy łęk dziś pusty?
Mniejby ci wstydu bez tego zrządzono.
    Ludu [2]), coś winien czcić boże dopusty:
Było-ć utrzymać na siodle cesarza,
Pomnisz-li, co rzekł Bóg Chrystusa usty [3]):
    Patrz, jak się krnąbrna stała bestya wraża
Odkąd ująłeś ręką za jéj wodze,
Ale jéj w lędźwie nikt kolca nie wraża.
    Albercie Niemcze [4]), teraz mści się srodze,
Żeś o niekarnym zapomniał biegunie
I boku jego nie poddał ostrodze.
    Sąd sprawiedliwy z gwiazd niech rychło runie
Na krew twą; kary nowość niech zasłynie;
Bądź twym dziedzicom grozą, jeszcze w trunie.
    Twojéj i ojca przypisać to winie,
W swój kraj zarytym chciwcom, z duszą kretów,
Że sad cesarstwa zamienion w pustynię.
    Patrz na Montekich, patrz na Kapuletów,
Monaldich, Filipesków, — gnuśny człecze!
Ci już zdławieni, tamtym strach sztyletów.
    Spójrz, jakie grożą szlachcie twojéj miecze:
Wygój ich rany i utul rozpacze;
Spójrz, jak o siebie Santafior ma pieczę.
    Przyjdź i posłuchaj, jak twa Roma płacze;
Z pustego łoża biada głos jéj wdowi:
Cezarze ty mój, kiedyż cię obaczę?...
    Patrz braci, jak się zabijać gotowi,
A jeśli nie dbasz o krew, co się toczy,
Sromaj się hańby, co twe imię słowi.
    Boski Jowiszu, coś cierpiał ochoczy
Na krzyżu; przebacz grzeszne me pytanie:
Czyś zwrócił indziéj sprawiedliwe oczy?
    Lub to jest próba, jaką tu z otchłanie
Twéj rady ślesz dla dobroczynnych planów,
Których dalekie jest ludzkie poznanie?
    Ziemie Italii są pełne tyranów,

---

[1]) Mowa o kodeksie Justyniańskim.
[2]) Apostrofa do Gwelfów, zwłaszcza Kuryi rzymskiéj.
[3]) „...co cesarskiego cesarzowi, a co Boskiego Bogu."
[4]) Albrecht, syn cesarza Rudolfa, wybrany cesarzem 1298 r.

A każdy mieszczuch zmienia się w Marcela [1]),
Zaledwie wejdzie między partyzanów.
Florencyo moja, ty nie trać wesela:
Ciebie wycieczka moja nie dotyka,
Dzięki ludowi, co mój sąd podziela.
Rozum lada kto ma, lecz go zamyka,
Aby z cięciwy nie wypadł nie w porę;
— Twój lud go nosi na końcu języka.
Nie wszystkie barki urząd dźwigać skore,
— Twój lud się za to nieproszony zrywa:
Ciężar podajcie sam!... na się go biorę!
Ot, szczęścia przyczyn dość; bądź-że szczęśliwa;
Zamożna, pokój masz i masz rozsądek;
Że prawdę mówię, w skutkach się wykrywa.
Ateny, Sparta, co dały porządek
Prawom, tak światłe, nie dbały, czy będzie
Z nich korzyść; lecz ty podobna do prządek,
Które tak mają pożytek na względzie,
I tak roztropnie czynią, że rozkręci
Listopad to, co październik uprzędzie.
Ileż to razy za ludzkiéj pamięci
Jużeśmy zmianę ustaw twych widzieli
I twych urzędów, monet i pieczęci!
A jeśli-ć światło ze wspomnień wystrzeli,
Poznasz, żeś jako złożona niemocą
Niewiasta, co się wije na pościeli,
By ulżyć bólom niedospaną nocą.

Pieśń VII.

Gdy powtórzyli zacni dwaj rodacy
Ramion ujęcia i krzyki radości,
Sordel się cofnął i rzekł: „kto wy tacy?"
— „Zanim posłano ku téj wysokości
Dusze, co Bożéj godne są gościny,
Oktawian pogrześć kazał moje kości.
Jestem Wergiliusz, a nie z innéj winy,
Jak, że się we mnie nie ozwała wiara,
Straciłem niebo, — rzekł wódz mój jedyny.

---

[1]) t. j. w możnowładcę.

Jak kiedy kto rzecz rozpoznać się stara,
Co go zaskoczy nieoczekiwana,
Wierzy i znów nie, mówiąc: Sen czy mara, —
— Tak stanął i wraz, jak sługa do pana,
Oczy zakryte powieką nieśmiało
Spuściwszy, giął się, ująć za kolana.
O czci Latynów, w któréj się poznało,
Ile to nasza zacna mowa zdoła,
Ojczyzny mojéj nieśmiertelna chwało,
Czy cię zasługa, czy łaska tu woła?
Godnym-li słyszéć głosu twego brzmienie:
Czy idziesz z piekeł? i z którego koła?
Przez wszystkie kraju boleści pierścienie —
Odrzekł, — musiałem przejść, nim tu przybyłem.
Moc mię niebieska przez te pchnęła cienie.
Nie, iżbym czynił, lecz że nie czyniłem [1]),
Zaszło mi słońce, które tobie wstanie,
A którego blask zapóźno odkryłem.
Są dołu smutne nie męką otchłanie,
Ale ciemnością jeno, gdzie lamenty
Brzmią nie jak jęki, ale jak wzdychanie.
Tam mieszkam z rzeszą niewinną zamknięty:
Zęby je śmierci stargały o czasie,
Gdy z nich brud ziemski nie był jeszcze zdjęty.
Tam mieszkam z tymi, co nie wzięli na się
Trójcy cnót świętych, chociaż inne znali
I bez obłudy chodzili w ich krasie.
— A ty jeśli wiész i wolno-ć nam daléj
Pomódz, to ukaż, byśmy stopą żwawą
Do właściwego czyśca się dostali.
Rzekł: „Wszystką chodzić wolno nam dzierżawą:
Po góry stoku i po jéj obwodzie;
Wodzem posłużę wam, dokąd mi prawo.
Ale oto już słońce jest w zachodzie,
A próżno drogi téj kusić o zmrokn;
Radzić więc trzeba o dobréj gospodzie.
W prawo tu dusze mieszkają na boku:
Jeśli przystaniesz, do nich zaprowadzę,
Uciechy pewno zaznasz z ich widoku.

---

[1]) t. j. zgrzeszyłem przez zaniedbanie poznania prawdziwéj wiary.

— „Jakto?“—powiada—„gdyby ktoś odwadze
Zwierzywszy stopy, chciał wyjść z tych bezdroży,
Będzie wstrzymany, lub sam straci władzę?“
Więc Sordel palcem w piasku znak wydroży;
„Patrz: za tę linię ni jednego cala
Nie przejdziesz, ledwie słońce się położy.
Nie inna cię moc trzymać będzie zdala,
Jeno mrok, który stopy ci uplące,
On tutaj chęci niemocą zniewala.
Możeby trzeba znowu zejść ku łące
I po wybrzeżu błąkać się aż do dnia,
Póki horyzont kryje nisko słońce.“
Więc wódz dziwiąc się: „Niechże nas przewodnia
Ręka twa dzierży i wiedzie ku stołu,
Gdzie taka radość czeka na przychodnia.“
Kilka odeszliśmy kroków pospołu,
Gdym zauważył, że była włamana
Góra na sposób ziemskiego wądołu.
— „Tam pójdziem — rzekł cień, — kędy góry ściana
Stworzyła z siebie łono, w łuk wygięta
I tam nowego będziem czekać rana.“
Ponad przepaścią ścieżka poszła kręta
I ta nas wiodła, gdzie krawędź urwiska
Na pół konała, do równia przycięta.
Szkarłat, biel, srebro i złoto, gdy błyska,
Indygo lśniące i jaśniejsze zorzy
I szmaragd świeży, gdy brzegiem odpryska,
Niech się je przy téj zieleni położy
I kwieciu, zblednie, ani się obroni,
Jako, że mniejsze przed większém się korzy.
Nie same barwy natura tam roni:
Zapach mię doszedł, w którym się kojarzy
Tysiąc nieznanych, nieujętych woni.
„*Salve Regina*“ — z owych wirydarzy
Siedząc śpiewała dusz gromada ona;
Dopiéro teraz dojrzałem ich twarzy.
— „Nim się ugnieździ słonecznego łona
Rąbek — tak Sordel odezwie się ninie, —
„Nie chciejcie, bym was powiódł do ich grona.
Stąd wam ruch żaden ani gest nie zginie

I lepiéj wszystkich poznacie zdaleka,
Niżeli stojąc tuż blisko, w kotlinie.
Ten, co najwyżéj siedzi, z twarzą człeka,
Który się czuje opieszalstwa winny,
I końca pieśni z niemą wargą czeka,
To cesarz Rudolf, co żmudził bezczynny,
Mogąc Italią ratować w jéj kresie;
Dziś martwą léczyć próżno chce kto inny.
Ten, w czyją patrząc twarz, pocieszyć chce się,
Panował w kraju onéj wody, co ją
Moldawa w Elbę, Elba w morze niesie,
Ottokar: tenci miał pieluchę swoją
Lepszą, niż Wacław słuszny wiek brodaty [1]),
Gdyż go rozpusta i lenistwo poją.
Ów krótkonosy [2]), co się trzyma szaty
Tego, który mu posłuchu nie broni,
Zginął w ucieczce, hańbiąc lilii kwiaty.
Patrz, jak się kaja i w pierś pięścią dzwoni.
Tamten znów łono westchnieniem mozoli,
Wezgłowie licu uczyniwszy z dłoni.
To ojciec i syn francuskiéj niedoli [3]);
Widzą kraj wstydu pełen i brzydoty
Stąd na nich skacze żałość, co tak boli.
Ów gruboczłonki [4]), co zgodnemi nóty
Z tym męzkonosnym [5]) śle pieśń po dolinie
Opasywał się sznurem wszelkiéj cnoty.
I gdyby po nim zdano tron chłopczynie [6]),
Który tam siedzi za jego plecyma,
Dzielność-by przeszła z naczynia w naczynie.
Wreszcie dziedziców téj zacności niéma:
Frydryk z Jakóbem wzięli w spadku trony,
Lecz schedy, jak ta, żaden nie otrzyma.
Jako w konaru latorośli młodéj

---

1) t. j. jako dziecko lepszym był władcą, niż Wacław jako mąż dojrzały.
2) Filip III, król francuski.
3) Filip III był ojcem, a Henryk III zięciem Filipa Pięknego, zwanego tu *mal di Francia.*
4) Piotr III Aragoński.
5) Karol I, hrabia Prowancyi i Apulii.
6) Alfons, syn Piotra III, zmarły w młodym wieku.

Cnota się ojca w synach nie utrwala:
Ów, co udziela jéj, chce być proszony.
Przygana moja dotyczy Nosala
I Piotra, tego, co z nim zgodnie śpiewa:
Pulia się na nich z Prowancyą użala.
Nasienie tyle gorsze jest od drzewa,
Ile Margoty mąż, lub Beatryczy,
Mniéj niż Konstantyn czci na żonę zlewa.
Patrzcie, z innymi jak siedziéć nie życzy
Henryk Angielski, król pełen prostoty;
Zacniejsze pędy jego konar liczy.
A ten, co niżéj siedząc, wzrok w namioty
Wbił nieba, Wilhelm margrabia ma miano:
Przezeń okrutnéj Aleksandryi groty
Nad Monferratem się pastwią i Kaną."

Pieśń VIII.

Była godzina, kiedy żeglarzowi
Wraca tęsknota, zaledwie uśpiona,
W dniu, gdy ostatnie wyrzekł: Bądźcie zdrowi!
Nowym pielgrzymom serce rwie się z łona,
Kiedy usłyszą za wiatru podmuchem
Dzwon, który zda się płacze dnia, co kona.
Nagle przestawszy dźwięki łowić uchem.
Ku duszy oczy obracałem swoje,
Która o ciszę prosi dłoni ruchem.
Podeszła, w górę rąk podniosła dwoje,
Oczy we wschodnie wbiła kołowroty,
By rzekąc Bogu: O resztę nie stoję.
„*Te lucis ante*" — nabożnymi wzloty
Z ust jéj wionęło tak słodkimi tony,
Że myśl się rwała z méj człeczéj istoty.
Za nią chór cały korny i natchniony
Wtórował pieśni nabożnie i ładnie,
Oczy w niebieskich kół posławszy strony.
Słuchaczu, teraz naostrz wzrok dokładnie:
Skroś przezroczystszéj zasłony [1]) bez zdrady

[1]) Alegorya jest tak przejrzysta, że ją łatwo pojąć można; inni tłómaczą: Alegorya jest tak subtelna, że dokładnie trzeba się wpatrzéć, by jéj nie przeoczyć.

I bez mozołu na wylot przepadnie.
Jakby w czekaniu zejścia bożéj rady
Ujrzałem kornie stojące zastępy,
W niebo wpatrzony tłum, cichy i blady.
I zlatującą potém przez chmur strzępy
Parę aniołów, których miecz ogniście
Gorzał, złamany jednak był i tępy [1]).
Jako więc świéżo rozpowite liście
Były ich szaty; zielonemi pióry
Trącane, wiały w ślad ich powłóczyście.
Nad nami jeden stanął tuż u góry,
Drugi na przeciwległym spłynął stoku:
Tak między siebie wzięli duchów chóry.
Jasne ich głowy lśniały na widoku,
Lecz jak moc niższa w wyższéj się wysili,
W blaskach tych omdlał hart naszego wzroku.
— „Oba tu z łona Maryi przybyli“ —
Rzecze Sordello, — „aby strzedz doliny
Przeciw wężowi, co wpełźnie téj chwili.“
Więc ja nieświadom, skąd czekać gadziny,
Wzrok toczę w koło i skronią się kładę
U wiernych ramion zakrzepły i siny.
Rzekł Sordel: — „Teraz pod góry posadę
Zejdźmy zaczepić słowem wielkie cienie;
Wiem, że przybyciu twemu będą rade.“
Trzema krokami góry pochylenie
Przebyłem; a wtém jeden kształt bez ciała
Coraz badawcze rzucał mi spojrzenie.
Już właśnie ciemność w powietrzu się słała,
Lecz niedość gęsta, by mi niewyraźniéj
Miała jawić to, co wprzód zasłaniała.
Raźno podeszła i jam podszedł raźniéj.
Jakże-ż, gdym poznał, że mię wzrok nie mami,
Rad byłem, Nino, żeś nie cierpiał kaźni!
Żadnych nie brakło witań między nami.
Potém zapytał: „Skroś szerokiéj strugi [2])
Kiedy przyszedłeś?“ — „O!“ rzekłem — „drogami

---

1) Na znak, że sprawiedliwość Boża łagodzona jest dobrotliwością.
2) t. j. przez morze, którém przybywają dusze do Czyśca.

Pełnemi smutku, przez krew i szarugi
Przybyłem dzisiaj, pierwszém życiem żywy,
Wędrówką żywot wysługując drugi.
Gdy te słów moich usłyszeli dziwy,
Sordel i tamten nagle odrzucone
Głowy przegięli w tył, jak lud płochliwy.
Sordel do mistrza, drugi w inną stronę
Obracając się, krzyknął: Patrz Konradzie
Na dziwo, łaską bożą dopuszczone.
A do mnie: — „Przez tę łaskę, co cię kładzie
Między wybrane, a tak pilnie strzeże
Pierwszego czemu, że go nikt w swym ładzie
Nie przejrzy, — skoro na tamto wybrzeże
Wrócisz, Joanny proś, niech za mną biada
Tam, kędy dzieci prośba posłuch bierze.
Matka jéj [1]) pewno za mną nie zagada,
Odkąd się w białe bindy nie ubiéra,
Które nieszczęsna znowu kłaśćby rada.
Na niéj się widzi, jak prędko umiéra
Miłość w kobiécie z płochéj swéj natury,
Jeśli jéj oko, lub uścisk nie wspiéra.
Nie da jéj pewno truny ni purpury
Wojewodząca Milańczykom Żmija [2]),
Jakby ją uczcił niemi Kur z Gallury."
Tak rzekł, a w twarzy znak mu się wybija
Pieczętny owéj żarliwości młotem,
Która statecznie w serce ślad swój wpija.
W niebo wzrok chciwy obracałem potem,
Tam, kędy droga gwiazd jest opieszała,
Gdyż bliższym osi biegą kołowrotem.
A wódz mój: „Synu, przecz w niebieskie ciała
Poglądasz?" A ja: — „Tę gwiazd trójcę płową
Śledzę, od któréj cały biegun pała." —
On na to: — „Gwiazdy, któreś miał nad głową
Dziś rano, teraz są pod nieboskłonem;
Jutro swe miejsca zamienią na nowo." —

---

[1]) Beatrycze, margrabina d'Este, która wyszła po raz drugi za Galeazza Viscontiego. Wdowy nosiły czarną suknię i białe bindy na znak żałoby.

[2]) Żmija, herb Viscontich Medyolańskich, kur, herb Viscontich z Gallury.

Wtém Sordel wściągnął go i dotknął łonem
Mówiąc: — „Oto wróg wszelkiéj bożéj sprawy.“
I ostrzegał mię palcem wyciągnionym.
Z jaru, gdzie z lewym brzeg stykał się prawy
Dolinę w ciasną zamieniając puszczę,
Pełzał wąż, dawca pierwszéj gorzkiéj strawy.
Pomiędzy kwiaty sunął gad i bluszcze,
Łeb obracając i po lśniącym grzbiecie
Liżąc językiem jak zwierz, co się muszcze.
Nie uważałem, — jeśli wierzyć chcecie, —
Przylotu boskich sokołów, lecz potem
Odlot obudwu dobrze-m widział przecie.
Zielonych skrzydeł spłoszona łopotem
Uszła gadzina i wnet za granicę
Wzroku anieli równym zbiegli lotem.
Cień, co do sędzi szat przytulał lice
Podczas owego aniołów ataku,
U mojéj twarzy wciąż wiązał źrenice.
— „Skoro ta świéca, co po świętym szlaku
Wiedzie cię, tyle ma wosku z twéj woli;
Że go wystarczy, aż do niebios laku [1]), —
Jeśli wiész może o najświeższéj doli
Tych, których Magry ogląda dolina,
Mów, — jam był panem niegdyś na téj roli.
Zwałem się wtedy Konrad Malaspina;
Nie ów prastary, — lecz zeń ród mój płynie.
Zbytnia ku swoim miłość, — to przyczyna
Mojego czyśca.“ — Rzekłem: „W twéj krainie
Nigdy nie byłem, lecz gdzie jest dzielnica,
Gdzieby nie znano, jak wysoce słynie?
Ta sama sława, co twój ród zaszczyca,
Głosi o panach i głosi o kraju,
Że choć kto nie był, przecież się zachwyca.
A ja przysięgam, jak chcę wejść do raju,
Że szczep twój zacny i mieniem i szpadą
Cześć ma od wieka w swoim obyczaju.
Zwyczaj z naturą to mu piętno kładą,

[1]) insino al sommo smalto.

Że chociaż złe wódz rady światu szepce,
On gardzi drogą krzywą, prawéj świadom.“ —
Odrzekł: — „Idź zatem, a nim w téj kolébce
Siedmkroć się słońce ułoży na spanie,
Którą nogami czterma baran depce, [1])
Takie o rodzie moim grzeczne zdanie
Utkwi ci w głowie silniejszymi ćwieki,
Niźli to moje słabe dziękowanie,
Jeśli bieg sądu nie będzie kaleki.“

Edward Porębowicz.

[1]) Nim siedm lat minie, dom Malaspina da przytułek wygnańcowi.

URZĄDZENIA KOLEJOWE W AMERYCE

Koleje żelazne w ustroju gospodarczych stosunków tegoczesnych społeczeństw posiadają tak szeroką doniosłość, że nie można zbyt często zwracać uwagi na stopień już osiągniętych i dających się jeszcze osiągnąć udogodnień, choćby tylko ze względów współubiegania się w walce o byt, tak w łonie danego społeczeństwa, jak i w sferze międzynarodowych stosunków.

Gdybyśmy pragęli szukać wskazówek najdzielniejszego zużytkowania całego aparatu kolejowego, celem wyzyskania możliwie najobfitszego zysku bez względu na niższą lub wyższą skalę usług społeczeństwu oddawanych, to udalibyśmy się do Niemiec. Tam państwo jest, z małemi wyjątkami, właścicielem wszystkich linii dróg żelaznych, tam znakomicie funkcyjonująca maszyna biurokratyczna, przy niejakiéj autonomii prowincyonalnéj w rzeczach taryfowych, wyłącznie prawie interes państwa ma na względzie.

Nawiasowo wspomnimy, że w ostatnich jednak czasach coraz częściéj słychać zarzuty, iż rozrost owego biurokratyzmu na kolejach państwowych Niemiec utrudnia postęp a mnogość przepisów, regulaminów, cyrkularzy, odbiéra swobodę inicyatywy, w wielu wypadkach pożądaną.

Natomiast, jeśli zobaczyć chcemy, jak daleko sięgnąć mogą korzyści z urządzeń kolejowych, jakie udogodnienia dać może przewóz towarów po relsach, udać się powinniśmy do klasycznego kraju wynalazków, do kraju, posiadającego, względnie do zaludnienia, najpotęż-

niejszą sieć kolei, — do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej [1]).

Ponieważ chodzi nam właśnie o wskazanie, na czém polega owa wyższość usług oddawanych przez koleje ogółowi, — w porównaniu z tém, co posiadamy, przeto spojrzyjmy na sprawozdanie finansowe drogi Pensylvania R. R. C°. za rok 1891. Cała sieć dróg, przez powyższe towarzystwo zarządzanych, dzieli się na dwie części, starą, — na wschód od Pittsburga i młodszą na zachód od tego miasta; pierwsza posiadała w 1889 roku 2456 mil ang. (3929 wiorst), zatem prawie cztery razy wziętą długość drogi z Warszawy do Petersburga, druga — 3406 mil ang. (6449 wiorst) czyli 6 ½ razy odległość od Warszawy do Petersburga, razem około 9855 wiorst, czyli prawie ⅓ długości całéj sieci dróg Rosyi.

Dochody *brutto* dały na pierwszéj części dol. 90,044,328, na drugiéj 44,210,288, razem 134,254,616 dol., po kursie rs. 1,50 za dolar — rs. 201,381,918, gdy cały dochód sieci kolejowéj w Rossyi za rok 1891 dał rs. 285,397,145.

Dochód czysty z obudwu części: 41,518,277 dolarów (rs. 62,277,305).

Gdyby dochód czysty z sieci dróg żel. Rosyi otrzymywany był w tym samym stosunku, wyniósłby 186,831,915 rubli.

Przewieziono w 1890 r.	na mniejszéj części	92,884,362 tonn	=	5,665,964,082 pud.
„ „	na większéj „	37,566,084 „	=	2,291,531,124 „
				7,957,495,206 pud.
„ w 1891 r.	razem	129,992,599 tonn		

Cyfry te stają się wypuklejsze, gdy przypomnimy, że całość dróg Rosyi dała w 1891 r. pudów 3,510,874.

Cyfra ogólnego przewozu kolejami na sieci dróg ruskich w rzeczywistości nawet jest mniejsza, bo w statystyce ministeryum komunikacyi nie sumują się cyfry przewozowe, wykazane przez poszczególne drogi, lecz z cyfr tych wyjęte zostają dane, stosujące się do przewozów tranzytowych, jako już podane w raportach dróg załadowania owych przewozów. Stąd dane min. kom. są *netto*. Zatem rezultat ostateczny jest mniejszy znacznie, bo ładunki przebiegające po

---

[1]) Dotąd o upaństwowaniu dróg tam nie ma mowy a stan towarzystwa kolejowego przedstawia niezwykłą rozmaitość, poczynając od takich, które, jak Pensylvania R. R. C° i New York Central, posiadających na części swéj sieci po cztery tory, dających stałe znaczne dochody, do takich, które w drodze subhastacyjnéj przez wierzycieli obligacyi wystawiane są na sprzedaż publiczną.

kilku kolejach raz jeden tylko są uwzględniane, gdy organ ministeryum finansów tylko cyfry *brutto* podaje.

Ponieważ jednak nie mieliśmy wskazówki, w jaki sposób sumowane są tonny na drogach amerykańskich, woleliśmy więc porównywać tamtejsze dane z tutejszemi zestawianemi *brutto*.

Ruch pasaż.	na mniejszéj	części dr. P. R. R. C.	w r. 1890 dał	66,199,752	84,112,460
„	na większéj	„	„	17,912,708	
„	na mniejszéj	„	w r. 1891 dał	18,250,484	86,934,517
„	na większéj	„	„	68,684,033	

Gdyby ruch pasażerski w Rosyi znajdował się na równi z liczbą pasażerów mniejszéj połowy sieci Pensylwanii, t. j. długości cztery razy wziętéj drogi Warsz.-Petersburskiéj, przedstawiałby się w cyfrze 462,000,000 zamiast niepełnych 40 milionów obecnie.

Pragniemy wierzyć, że projektowana zmiana w opłatach za przewóz pasażerów, wpłynie na zbliżenie się liczby pasażerów na drogach Rosyi do cyfr powyżej przytoczonych.

Zapewne, na wzmagający się nieustannie ruch pasażerski i wzrost przewozu towarów mogą mieć wpływ i inne okoliczności oprócz wysokości opłat tak w jednéj jak i w drugiéj kategoryi przewozów; że jednak opłaty nie małą grają rolę, tego dowodem jest właśnie historya rozwoju kolejnictwa w Stanach Zjednoczonych.

Rozpatrując średnie opłaty w Stanach Unii od tonny i mili ang. za okres czasu między 1882 i 1889 rokiem włącznie, opłata średnia z $1^{236}/_{1000}$ od tonny i mili spadła na 0,976. Opłata od pasażera i mili spadła z $2^{514}/_{1000}$ do $2^{176}/_{1000}$.

Gdyby opłaty za przewóz towarów na całéj sieci dróg Unii od 1882 roku obowiązywały bez zmiany do r. 1889 włącznie, to drogi żelazne za peryod 7-io letni otrzymałyby o 734,000,000 dol. więcéj.

Innemi słowy: koleje żelazne dały zarobić na samém zniżeniu opłat przewozowych od towarów obywatelom Unii około 105,000,000 dol. rocznie.

Ponieważ mógłby powstać zarzut, że nie wolno porównywać przeciętnych eksploatacyi całéj sieci kolejowéj wszystkich Stanów Unii, jako tyle kroć razy dłuższą od sieci kolejowéj ruskiéj, przeto i co do wpływu obniżek taryfowych w Ameryce na dochód *brutto*

z przewozu towarów, pozwolimy sobie zanotować wyniki zniżki opłat na mniejszéj części sieci Towarzystwa Pensylvania R. R. C°.

Otóż w r. 1865 średnia opłata za tonnę i milę wyniosła 2 $^{715}/_{1000}$ centa. Gdyby ta sama opłata obowiązywała w 1889 r., to dochód *brutto* z przewozu towarów wyniósłby 167,529,554 dolarów, zamiast uzyskanego 42,302,176 dol., różnica 125 przeszło milionów dolarów na zniżce opłat towarowych na drodze tylko cztery razy dłuższéj jak z Petersburga do Warszawy, może poniekąd dać wyobrażenie, jaka nastąpić musiała ewolucya w pojęciach o tém, co jest drogi a co jest tani przewóz na drogach amerykańskich.

Nie zapuszczając się tak daleko w porównania, biorąc przeszłość względnie daleko świeższą, bo rok 1883, widzimy, że wtedy opłata średnia od tonno-mili wynosiła 0,881 centa a stosując ją do przewiezionéj ilości towarów w r. 1889, widzimy, że dochód z przewozu towarów wyniósłby w r. 1889 — 54,362,228, zamiast 42,302,176, — różnica na korzyść interesantów 12,000,000 dolarów. Różnica bardzo pokaźna.

Żałujemy, że nie możemy na danych z eksploatacyi drogi Pensylvania R. R. C° i za r. 1891 przeprowadzić rachunku porównawczego, ponieważ w sprawozdaniu, jakie do rąk naszych doszło, dochód z przewozu towarów i pasażerów podany jest w jednéj sumie za obadwa działy.

Jednym z czynników wzrostu ruchu na danéj sieci jest mnóstwo bocznic zasilających główne arterye, i tak: główna linia Pensylvania Railroad Division ma długości 1404 mile; na téj długości pojedynczego toru jest 1404 mile, podwójnego 458 mil, potrójnego 185, poczwórnego 82 mile. Bocznic, własnością towarzystwa będących 669 mil, bocznic prywatnych 209 mil.

Istnienie bocznic umożliwiło zaprowadzenie najrozmaitszych przemysłów i fabryk, dla których dowóz surogatów i odstawa fabrykatów inaczéj nie dałyby się korzystnie wykonać.

Drugim, może najważniejszym, czynnikiem wzrostu ilości przewożonych osób i towarów jest sposób urządzania stacyj kolejowych w miastach. Amerykanie nie ograniczają się na pobudowaniu stacyi, gdzieś po za miastem, na tworzeniu na téj stacyi punktu chwilowego postoju dla przywożonych towarów, na znaglaniu, za pomocą wysokich opłat składowego do jaknajśpieszniejszego zabierania towarów; nie — oni nie poprzestają w stosunku do danego, przez kolej obsługiwanego miasta, nie ograniczają się na roli biernéj, na pobudowaniu jednéj stacyi — rolę czynną uważają za stosowną, więc usiłują wejść do środka,

przeciąć miasto w kilku kierunkach, olbrzymim pierścieniem stalowym opasać je, zamiast jednéj ciasnéj i niewygodnéj stacyi, robią stacyi mnogość; w śródmieściu i na przedmieściach, tak, aby cały ruch towarowy z warsztatów i do warsztatów musiał odbywać się tylko wagonami.

Droga Pensylwania R. R. C° posiada w Filadelfii nap. 30 stacyi, droga Baltimore-Ohio posiada w Baltimore aż 36 stacyi. Kto przypomni w jakiém położeniu znajdują się tutejsze fabryki na Solcu np., do których węgiel, drzewo, żelazo etc. etc. dostawiane być musi furmankami a cała produkcya furmankami zabieraną, zrozumié, jaką przewagę nad temi fabrykami posiadać muszą podobne zakłady w Filadelfii.

Przejdziemy pobieżnie znaczniejsze stacye Filadelfii, poczynając od stacyi na Broad-street. Wychodzi z téj stacyi dziennie 246 a przybywa 240 pociągów osobowych z ruchem dziennym około 50,000 osób. Stacya towarowa na zbiegu Markel i Jones-street posiada 8 magazynów, 5 piętr wysokich, 200 st. długich, używanych głównie dla mąki i artykułów miejscowego spożycia. Objętość magazynów = 125,000 beczek mąki: beczka mąki waży 196 ang. f., zatem objętość tych magazynów, w środku miasta położonych, posiadających automatyczne windy (*lift*), wyraża cyfrę przeszło 1000 naszych 610-pudowych wagonów.

Tuż nad rzeką Shuylkill jest stacya dla magazynowania zboża przeznaczonego na miejscowe spożycie, stoi tam elewator dla 750,000 buszli i plac dla wyładowania 200 wagonów obok magazynu murowanego długości 300 stóp., szer. 50 stóp.

Na 32 ulicy jest stacya dla siana, — dwa składy żelazne mogą pomieścić ładunek, 150 wagonów siana, to jest około 450 naszych wagonów.

Na północném przedmieściu jest stacya dla bydła na rzeź dostarczanego: 4 bydłobójnie mogą załatwić dziennie 3000 wieprzy i 1000 sztuk wołów. Stąd normalnie tygodniowo 800 sztuk wołów odpływa do Europy. Place téj stacyi zajmują 10 akrów powierzchni a w ciągu 1891 roku wydano z téj stacyi 600,000 wieprzy i owiec, oraz około 300,000 sztuk wołów. Na południe od powyższéj stacyi znajdują się halle targowe, które również obsługiwane są wagonami kolei, — jest tam halla 300×40 stóp mieszcząca objętość 150 wagonów różnéj żywności. W bliskości znajduje się główny skład wagonów i plac dla ranżowania pociągów, długi na 4—5 mil, a szeroki 1—5 kwartałów miejskich. Klasyfikacya wagonów odbywa się bez pomocy lokomotyw na zasadzie równi pochyłéj 35 stóp na milę wynoszącéj.

Robota klasyfikacyi trwa dzień i noc, najwięcéj rozklasyfikowa-

no w październiku 1891 r., bo 99779 wagonów w ciągu 31 dni po 24 godzin.

Prócz powyższego podwórca wagonowego znajdują się jeszcze dla ładunków na wschód skierowanych:

Place:	przy ulicy Czterdziestéj	dla	285	wagonów.
	„ Girard	„	800	„
	„ Trzydziestéj siódméj	„	150	„
	„ Trzydziestéj trzeciéj	„	500	„
	„ Południowéj	„	200	„

Dla ładunków skierowanych na zachód, mieścić się może

na podwórzu Hamburskiém	400	wagonów	
„ Girard Point	500	„	
„ Greenwich Point	1500	„	głównie dla węglarek

w okolicy przystani Washington-Wharf — 800 wagonów.

Po drugiéj stronie rzeki Shuylkill dawny dworzec osobowy kolei zamieniono na towarowy, posiada on 400 stóp długości, 150 szerokości dla towarów przychodzących, a 400×100 stóp dla towarów odchodzących.

Podążając jeszcze milę drogi ku południowi, spotykamy zakłady Standard-Oil Com. na przestrzeni 200 akrów. Tu znajduje swoje ujście naftociąg, czyli rura łącząca studnie naftowe Pensylwanii z brzegiem morza i z wielkiemi rafineryami. Rezerwoary żelazne, umieszczone w olbrzymich dokach, t. j. sztucznie wykopanych dołach, następnie wodą napełnionych, — wody tu bywa do 70 stóp głęboko, — ośm morskich parowców jednocześnie naftą ładować może. Kosztowne roboty wykonano w celu uchronienia nafty od wybuchu w razie uderzenia piorunu, a dla większego bezpieczeństwa, ustawiono na wysokich rusztowaniach szereg piorunochronów.

Przy ujściu Shuylkill do Delawary, Girard-Point (zawsze jeszcze w mieście Filadelfii) znajduje się przystań morska Pen. R. R. C^o^. Tu wznoszą się dwa magazyny-elewatory, jeden na 800,000, drugi na 1,200,000 buszli, każdy z nich może w ciągu 10 godzin roboty przyjąć 125 wagonów zboża i jednocześnie wydać zboża na trzy parowce i dwie barki, to znaczy dziennie przyjąć od kolei 400,000 buszli i wydać tyleż na okręty.

Równolegle z elewatorami leżą dwa magazyny towarowe 500 i 357 stóp długości, które służą głównie dla ciężkich towarów, oddawanych bezpośrednio z okrętów na wagony, jak i dla towarów znajdujących się pod pieczą komory celnéj. Daléj znajduje się przystań

1000 stóp długa w wodzie 25 stóp głębokiéj, wyłącznie dla wyładunku rudy żelaznéj służąca.

Jednocześnie z trzech parowców można wyładować rudę z Hiszpanii i Kuby pochodzącą a przeznaczoną dla wielkich pieców Pittsburga.

Przejdziemy teraz do stacyi węglowéj. Pięć wielkich grobli na 500 do 650 stóp długości wchodzi w rzekę; po każdéj takiéj grobli biegną szyny kolejowe, 25 statków morskich od małych skunnerów do 4-romasztowców zabiéra stąd węgiel jednocześnie.

W r. 1891 wydano na okręty około 2,100,000 tonn węgla i około 100,000 tonn antracytu, t. j. przeszło 134,000,000 pudów. (Cała produkcya kopalni węgla w Król. Polsk. w r. 1891 wyniosła okrągłe 159,000,000). Stacya ta ma frontu na rzece okrągłą milę ang. czyli 1,6 wiorsty. Groble wznoszą się 20 do 25 stóp nad poziomem wody, stąd ładowanie węgla na okręty odbywa się automatycznie przez wysypywanie całych wagonów na mostki pochyłe.

Najbliższa stacya (wciąż nad brzegiem Delawary) 3 mile na północ od stacyi węglowéj, posiada elewatorowy magazyn na zboże objętości 500,000 buszli i przystanie 12 różnych kompanii morskich parowców, dwie przystanie wyłącznie obsługują handel z Zachodn., Indyami a jedną udzielono dla parowców nieregularnych (*tramps*) zwanych włóczęgami: Są to statki nienależące do wielkich kompanii, jak Red Star, Allan lub podobnych.

Daléj idą przystanie kilkunastu towarzystw żeglugi nadbrzeżnéj. Stacya kolejowa posiada tu nieprzerwanego frontu nad rzeką 2800 stóp.

Stacya ta znajduje się w rewirze rafineryi cukru i połączona jest obocznicami z wszystkiemi temi zakładami. Produkcya dzienna znaczniejszych rafineryi wynosi: Franklina 6000, Spreckelsa 4000, Knighta 2000 skrzyń. Cyfra ładunków załatwionych w tym rewirze wyniosła w r. 1868 — 68,000 tonn, w r. 1888 1,250,000 tonn, a w roku 1891—1,800,000 czyli 100,000,000 pudów. Pracuje tu 65 oficyalistów i około 1300 robotników.

(Kolej Wiedeńska w r. 1891 przewiozła niespełna 100,000,000).

Warto zauważyć, że droga Pnesylvania R. R. C° w téj okolicy nie posiada monopolu, dzielić się musi ładunkami z koleją Baltimore-Ohio, toteż współzawodnictwo o ładunki spowodowało szereg coraz znaczniejszych udogodnień dla publiczności przez koleje obsługiwanéj.

Podążając brzegiem Delawary, zatrzymujemy się na stacyi przy ulicy Walnut i Dock street, przeznaczonéj głównie dla towarów ulegających zepsuciu: jarzyny, owoce, masło, ryby etc. etc. mają tu skład

600 stóp długi, 2-u piętrowy. Cztery wielkie przystanie wbiegają w rzekę, stacya ma rzecznego frontu 900 stóp. Około 125,000,000 pudów drobnych posyłek tu się załatwia przy pomocy 200 oficyalistów i 260 posługaczy. Tu się znajduje magazyn dla konserwowania w sztucznie ochłodzoném powietrzu, 2 piętra wysoki, zajmuje cały kwartał uliczny.

Daléj ku północy jest stacya Vine-street, załatwia rocznie około 75,000 tonn ładunków, posiada przeszło 900 stóp rzecznego frontu. Eksport jabłek tu się koncentruje.

Po drugiéj stronie rzeki stacya Camden posiada magazyn towarowy 400×65 stóp.

Pomijamy cały szereg drobniejszych stacyi, aby rzucić okiem na magazyn prywatny Stevensona, gmach ten 200×200 stóp, ma 6 piętr, dla towarów wszelkiego rodzaju, magazyn Bella mączny, przez który przechodzi rocznie około 240,000 beczek mąki; naturalnie, połączone są one relsami z główną linią.

Nie zatrzymamy się w parku Williama Penna, który to Penn należał do pierwszych osadników Filadelfii i miastu darował swą siedzibę, bo poznać trzeba stacyę Kensington. Tu załadowano w roku 1891 67,940 pakunków dywanów, półmiliona funtów przędzy, 3948 wagon. drzewa, 1526 wagonów odpadków naftowych do opalania kotłów i 15521 wagonów węgla. Dokoła leżą wielkie fabryki dywanów Dolana, Bromleya, te ostatnie zajmują 5 akrów powierzchni. Niedalako leży stacya Ridge-avenue, gdzie są znaczne składy drzewa (jeden z tych składów zapłacił w 1890 roku 150,000 dolarów kolejowego frachtu), a daléj na wschód stacya Diamoud, obsługuje 30 browarów, z których jeden w 1891 roku zapłacił 117,000 dolarów frachtu od własnych wagonów:

Na tem kończymy powierzchowny przegląd kilku z 34 stacyi towarowych Towarzystwa P. R. R. C° w Filadelfii, stacye na odległych przedmieściach nie liczone. Zatrudniają one około 7500 pracowników na wszelkich posadach. Długość linii miejskich przeszło 30 mil ang.

Urządzenie straży ogniowych na stacyach jest niemałą chlubą dla towarzystwa. Przy ulicy Mantua 40 ludzi stróżuje przy pompach i aparatach we dnie i w nocy, na Dock i Walnut 30 ludzi — 30 ruchomych sikawek ma bezpośrednie połączenie z hydrantami miejskiemi lub kolejowemi.

Nawiasem wspomnimy, że fundusz assek. towarzystwa wynosi 2,750,000 dol., który 60% ładunków ubezpiecza, resztę oddaje się na ryzyko towarzystwom obcym.

Towarzystwo kolei żel. Filadelfia et Riding, posiada w Filadelfii

34 stacye towarowe,—nie mamy o tych stacyach szczegółów kompletnych, powiemy tylko, że są na nich elewatory dla zboża 1 miliona buszli objętości, porty dla ładowania węgli kamiennych, ekspedyujące rocznie przeszło 2,000,000 tonn węgla. Stacye tego towarzystwa dostarczyły miastu w 1891 roku przeszło 8,300,000 buszli zboża, mąki 1,203,000 worków i 629,188 beczek, węgla kamiennego 3,442,000 tonn (przeszło 200,000,000 pudów).

Towarzystwo kolei Lehigh Vally posiada także kilkanaście stacyi i przystani. Do Filadelfii przybywa dziennie do 2,500 wagonów.

Udogodnienia powyższe nie są bynajmniéj uważane za wystarczające.

Ponieważ miasto pobudowane jest w widłach ujścia dwóch rzek Delaware'y i Shuylkill do morza, i, jak już wspomnieliśmy, dwa towarzystwa kolejowe w kilkunastu punktach posiadają więcéj niż na wiorstę długie przystanie portowe, grono przemysłowców miejscowych zapragnęło uwolnić się od monopolu tych towarzystw i pozyskać taką komunikacyę szynami, któraby, stanowiąc własność miasta, dostarczała *maximum* dogodności dla interesowanych.

Petycye do municypalności o budowę drogi żelaznéj obwodowéj, prowadzonéj wzdłuż brzegów rzek,—18 mil ang. długiéj (30 wiorst)—podpisało 2550 wybitniejszych kupców i przemysłowców, 12 korporacyi handlowych, 28 związków robotniczych i obecnie droga ta jest na ukończeniu, współcześnie z nowym centralnym gmachem giełdy. Mieszkańcy Filadelfii z uzasadnioną dumą mówić mogą o tym pałacu 400×160 stóp ang., 9 piętr wysokim, siódme i ósme piętro ogromnego gmachu w całości przeznaczone są na wystawę prób i wzorów miejscowego przemysłu.

Mimowolnie nasuwają się porównania z techniką tutejszych urządzeń stacyjnych kolejowych. *B. Werner.*

W KLESZCZACH.

NOWELA.

(Dokończenie) *).

V.

Na szarą godzinę panie z wizyt wróciły do domu.

Naczelnik półurzędownie wezwał żonę do siebie.

— Co się stało—spytała chłodno — znudzona półoficyalnemi posiedzeniami i dyplomacyą.

— Na pozór nic — odparł mąż — lecz w gruncie rzecz poważna i wielkiéj doniosłości.

— Do rzeczy, mój drogi, zaledwo mam parę minut czasu. Wiész przecie, że idziemy na wieczór do Cwałusińskiéj.

— Dyrektor od czasu, gdy ja poskoczyłem w awansie o dwa stopnie, a on siedzi na miejscu od lat piętnasu znienawidził mnie.

— Więc cóż cię to obchodzi?

— Nicby mnie nie obchodziło, gdyby jego syn nie był narzeczonym naszéj córki.

Naczelnikowa wzruszyła ramionami.

— Przeczuwam, że chcąc odsunąć Gustawa od Basi, każe mu jechać do Heidelberga słuchać filozofii.

— Kiedy jedzie?—przerwała naczelnikowa.

---

*) Ob. „Ateneum" zesz. lutowy r. b., str. 326.

— Nie wiem.

— Jeśli ma jechać, niech jedzie jaknajprędzéj.

— A jak pojedzie i nie wróci?

— Cóż tak drżysz o jednego chłopaka bez pozycyi? U siebie w biurze masz ich dziesięciu na jego miejsce... Młody Cwałusiński ma trzydzieści pięć lat, ładną wioskę i maniery wielkiego pana... Basi ślicznie jest wieczór w kolorze Nilu!... Cwałusińska zachwycała się jéj pięknością, dobrocią, wyglądaniem i gospodarnością... W teatrze młody Cwałusiński ciągle ją lornetował. Imieniny, jakie mi sprawiasz, są dla Cwałusińskiego. Jeżeli się więc pytam, kiedy ten uczony student wyjeżdża, to dlatego, że wolałabym, aby go nie było na imieninach. Basia byłaby swobodniejsza i śmielsza.

— Wyglądał — odparł naczelnik — jak gdyby miał ochotę jechać jutro.

— Nie trzeba go zatrzymywać.

— Nigdy—zawołał z mocą naczelnik—nigdy. Wiész, że ja nikogo nie ciągnę do mych córek.

Raptem zniżył ton głosu.

— Wandziu, a jeżeli ten Cwałusiński?!... Szlachta ma teraz delikatny węch.

— O tém potém.

— A tymczasem Gustaw...

— Do widzenia!

Wyszła, zamknęła drzwi i przez zamknięte dodała:

— Wypada, żebyś się u Cwałusińskiéj pokazał choć na kwadrans. Pochlebi im, gdy dygnitarz będzie u nich.

— Przyjdę z pewnością! Wandziu, pomyśl.

— Myśléć i radzić będzie twoja dyplomacya.

— Wszystko moja dyplomacya! Metternichem przecież nie jestem.

Zatarł ręce z radości.

— Mimo że nim nie jestem, skruszyłem serce chłopaka. Rozumié, że cofnąć się byłoby zbrodnią względem Boga, społeczeństwa, kraju i rodziny méj! Nikczemnicy są zbrodniarzami, a raczéj zbrodrze są nikczemnikami.

Matka przywołała Basię do swego pokoju, drzwi zamknęła na klucz i szepcąc obie radziły.

Odgłos dzwonka przerwał narady.

— Gustaw—zawołała matka—chodźmy.

— Panie już wiecie od ojca — odezwał się narzeczony nieśmiało po przywitaniu.

— Wiemy — odpowiedziała poważnie, z odcieniem smutku, naczelnikowa.

— Jakiż wyrok?

Basia westchnąwszy spuściła oczy, naczelnikowa zabrała głos.

— Moja córka zna swe obowiązki. Wychowałam ją gotową do ofiar. Nie myśli stawać ci na drodze. Jeżeli ojciec twój wysyła cię zagranicę i widzi w tém postanowieniu szczęście dla ciebie, zapewnienie ci losu, to Basia głowę schyla przed tym wyrokiem, a ja cię błogosławię.

Gustaw pochwycił tłustą rękę naczelnikowéj i całował.

Wdzięczność i radość tamowały mu mowę. Zaledwo mógł się zdobyć na dwa wyrazy.

— Mamo—Basiu.

Puścił ręce matki, pochwycił Basi. Dziewczyna kokieteryjnie położyła głowę na jego piersiach.

— Pozwalacie mi skąpać się w promieniach najszczytniejszéj wiedzy—filozofii.

— Musimy—rzekła Basia — gdyż to jest dla twego dobra i dla twéj przyszłéj sławy, z któréj i ja choć troszkę korzystać będę.

— Posądzać was o egoizm byłoby zbrodnią.

Basia się uśmiechnęła, jak ofiara poświęcenia.

— A nie kochać—drugą...

— W miłość twoją wierzę--szepnęła dziewczyna.

Przed oczami duszy młodzieńca przesunęła się Marynia z podniesionemi w górę rękoma, wiążąca w węzeł ciemne włosy. Wlepiała w niego wzrok smutny, pytający.

Zadrżał pod siłą tego wzroku. Basia odczuła drżenie i wzięła je na karb miłości dla siebie.

— Jedź, pracuj, pisuj listy, kochaj.

— Dwa razy na tydzień—zawołał Gustaw.

— Pisz dwa razy na miesiąc, byleby regularnie, to i tak będzie dosyć. Po co czas tracić? My kobiéty jesteśmy trzeźwiejsze od was.

— Kiedy jedziesz? — spytała matka.

— Za dzień — dwa.

— Im prędzéj, tém lepiéj—dodała Basia.

— Im prędzéj pojedziesz, tém prędzéj wrócisz, mój chłopcze — mówiła wesoło naczelnikowa. — A teraz, proszę was, spędźcie oboje chmury z czoła. Rok czasu minie jak jeden dzień.

Zwróciła się do Gustawa.

— Idziemy na wizytę, lecz cię tam nie ciągnę—nudy.

Gustaw rad zgodził się.

Basia wzięła go za rękę.

— Chodź, pokażę ci coś ładnego i ciekawego.

Idąc, prowadziła go za sobą.

— Powiedziałeś mi, że salon bez obrazów jest pusty i dziki, a ja ci powiem, że kuchnia bez rądli jest pusta i uboga.

Otworzyła drzwi.

— Patrz — dodała, wskazując ręką na szereg błyszczących rądli.—Mamy ośm, a moich cztery—dwanaście. Gdy się młode małżeństwo sprowadzi, służące z całéj kamienicy zlatują się do ich kuchni i po rądlach sądzą o zamożności. Przykroby mi było, gdyby opowiadały swym paniom o naszéj nędzy. Oszczędności moje umieściłam w rądlach i za rok, gdy wrócisz z Heidelberga, zobaczysz o cztery sztuki więcéj. Ośm wystarczy na początek—nieprawdaż?

— Wystarczy—poświadczył Gustaw,—albowiem ośmiu potraw nie będziemy jadać.

— Dziecko jesteś i o tych kwestyach nie masz pojęcia. Zaczekaj, ubiorę się w nową sukienkę, popatrzysz na mnie i odprowadzisz.

Gustaw został sam w jadalnym pokoju. Radby gwałtem polecieć do przyjaciela, rzucić mu się na szyję i zawołać wielkim głosem: zwycięstwo!

Atmosfera mieszkania naczelników zaczynała go przygniatać. Wszystko jak trzeba, wszystko jak gdzieindziéj, pospolita symetrya drażniła go. Chodził wzdłuż stołu i niecierpliwił się.

— Jutro wieczór wyjadę—powtarzał—a już najpóźniéj pojutrze rano. I żadne mnie moce nie zatrzymają—żadne!

Przed oczami jego duszy stanęła Marynia.

— Żadne — powtórzył z siłą, jakby tém zaklęciem chciał odegnać od siebie widziadło.

— Ciekawy jestem, jak Basi będzie w nowéj sukience? — zagłuszał się.

Basię w nowéj sukience zasłoniła niespodzianie Marynia.

— Co to znaczy? — zapytał się siebie. Wzruszył ramionami i zaczął nucić półgłosem wesołą piosnkę, jakby chciał koniecznie nastroić się na radosną nutę. — Wszystko się to skończy za cztery dni. Zanurzę się w wielkiéj nauce, wpadnę w objęcia téj boskiéj kochanki i w jéj uściskach zmężnieję, spoważnieję i nareszcie zrozumnieję.

Zdawało mu się, że jakiś psotnik szepnął mu do ucha:

— Nie skończy się, a raczéj dopiéro się zacznie kochanku.

Otworzyły się cicho drzwi, wbiegła Basia w popielatéj, jasnéj sukience, wyciętéj w kwadrat, obszytéj niebieską wstążeczkę.

— Jakże mnie znajdujesz?

— Zachwycającą—zawołał.

— Na pożegnanie pocałuj—powiedziała cicho.

Na chłopca buchnęły ognie.

— Boisz się — szepnęła figlarnie. — Czyż nie jesteś moim, a ja twoją?

Objął ją w pół, pochylił się i pił rozkosz z jéj ust.

— Dosyć, dosyć—idą...

Odsunął się blady z roziskrzonemi oczyma.

— To na zadatek — powiedziała — będziesz wiedział, za czém masz tęsknić i do czego się śpieszyć.

Gustaw ciężko oddychał i milczał, w głowie mu szumiało, serce biło.

Weszła naczelnikowa z Krysią i Justyną. Były już ubrane.

— Jeszcześ nie gotowa—zawołała niecierpliwie Krysia.

— Narzeczeni zawsze się muszą spóźniać, to ich przywiléj — tłómaczyła Basię matka.—Guciu, ubierz i otul twoją przyszłą kobiecinę i chodźcie żywo. Cwałusińska pedantka w punktualności.

Cwałusińska mieszkała naprzeciw Skarbkowskiego teatru, Gucio prowadził naprzód Basię, był tak wzruszony, że prawie mówić nie mógł, tylko rękę Basi przyciskał nerwowo.

— Jestem o ciebie spokojna — mówiła dziewczyna — wiem, że mnie kochasz, wierzę, że nie zdradzisz, nie opuścisz, nie wątpię, że będę twoją.

Weszły do bramy, zatrzymując się na schodach.

— Do widzenia, przychodź jutro pożegnać się.

— Przyjdę—odpowiedział—wybiegł na ulicę, stanął i odetchnął całą piersią.

— Zwycięstwo—zawołał — zwycięstwo na całéj linii. Jestem wolny jak ptak, pod stopami mam Europę, a w objęciach naukę.

Oprzytomniał.

— Przed chwilą miałem w objęciach Basię i całowałem ją. Pocałunki te palą mnie, targają nerwy, sprawiają zawrót głowy.

Zaczął biedz, jakby chciał uciec przed czarami palącemi mu krew.

Zmęczony biegiem, spotkał jednokonkę, wskoczył, każąc się wieść na Zielone.

Drzwi nie były zamknięte, wbiegł do pokoju Edwarda.

— Zwycięstwo, wielkie, stanowcze—padł w objęcia przyjaciela.

— Edziu, to twoje dzieło. Ty od jednego zamachu wyprowadziłeś mnie z powszedniości na wyżyny, o których zaledwo ukradkowo marzyć śmiałem.

Zwabiona wesołym głosem Gucia, weszła Marynia.

— Basia pozwoliła — zapytała, wyciągając rękę na przywitanie.

Zapomniał o wrażeniach wczorajszego dnia. Spojrzał, oniemiał. Stała przed nim młodziutka, zaledwo rozwinięty pączek róży — dziewczyna wikwintna, o szlachetnych rysach, wielkopańskim uśmiechu, ubrana skromnie, lecz ze smakiem.

— Panie Gustawie, masz minę, jak gdybyś mnie pierwszy raz zobaczył.

— Prawda — szepnął — nie mogę się przyzwyczaić i oswoić z widokiem pani i gdy cię zobaczę raptownie, jesteś dla mnie zjawiskiem.

— Przerażającém?

— Świetlaném—odpowiedział cicho.

— Pierwszy komplement, jaki usłyszałam od doktora praw. Wracam do Basi—pozwoliła?

— Naczelnik powiedział: od czegóż jest poświęcenie. Basia powtórzyła za ojcem, dodając, że z aureoli méj sławy parę promyków i na nią spadnie.

— Ładnie powiedziała i teraz już stanowczo utrzymuję, że jest warta pana.

— Kiedy jedziesz?—przerwał rozmowę młodych Edward.

— Jutro wieczór.

— Nie będziesz na imieninach matki Basi?

— Ani matka, ani córka nie zapraszały mnie.

— Raczéj nie zatrzymywały, aby panu nie zabiérać drogiego czasu.

— Niezawodnie, są to osoby nadzwyczaj subtelne w przewidywaniach i uczuciach—dodał Edward.

Marynia odczuła w głosie brata odcień ironii.

— Dzieci--zawołał wesoło—przychodzi mi świetna myśl.

— Słuchamy, albowiem twoje świetne myśli są cudowne — dokończyło dziewczę.

We drzwiach ukazała się matka.

— Jutrzejszy dzień poświęcamy naszemu przyjacielowi, a memu przyszłemu koledze, na pamiątkę zmiany jego losu i zaręczyn z filozofią.

Marynia chciała mówić, Edward ruchem ręki zatrzymał ją.

— A ponieważ—ciągnął dalej—jesień jest najpiękniejszą u nas porą, jutro więc w góry i lasy i na cały dzień, zachwycać się bladém słońcem i niebieskawym kolorytem.

— Wybornie! mamusiu, zgoda?—prosiła Marynia.

— Jeżeli tym sposobem zrobimy przyjemność naszemu młodemu przyjacielowi.

— Będzie to dla mnie najmilsza chwila, błogosławieństwo na drogę, rozkosz.

— A jeżeli zapomniałeś pan o poezyi, będziemy jéj szukać.

— Obrażona nie wróci—powiedział smutno Gucio.

— Wróci—rzekł Edward—wróci, gdy zaczniesz tęsknić. Tęsknota i samotność są najsilniejszym magnesem poezyi.

— Wróci—poświadczyła Marynia.—Musi wrócić, jeżeli początki były tak świetne.

Zaczęła deklamować:

„Ja ciebie kocham, a tyś jeszcze dzieckiem,
O beznamiętnéj i niewinnéj twarzy,
Na twém obliczu wyrzeźbioném, greckiém,
Żaden gorętszy płomień się nie żarzy...

— Pani pamięta—zawołał rozpłomieniony autor.

— Nauczyła się na pamięć cała pensya, deklamowałyśmy przy każdéj sposobności. Najwięcéj nam się podobał ostatni dwuwiersz:

Płynie melodya tak cichą i rzewną,
Że zdajesz mi się dawnéj Psychy krewną...

— Zapomniałem o tém porównaniu.

— Dlatego — zrobił uwagę Edward — że Basia przestała być dawnéj Psychy krewną, zmieniając się w siostrę Prozerpiny, lub nimfy leśnéj o Rubensowskim pokroju.

— Edziu!—szepnęła matka.

— Ależ mamo, ja i Gucio jesteśmy zwolennikami Rubensowskiego pokroju. Rubens wielki artysta, mistrz! Nieprawdaż Guciu?

— Znam tylko kopie Rubensa—odparł Gustaw.

— Zatrzymaj się parę dni w Berlinie. Dam ci list do Bolka, mego serdecznego przyjaciela. Pracuje nad historyą sztuki. Marzyciel, poeta, *Schöngeist*, jak mówią Niemcy. Pokaże ci wszystkie arcydzieła, a co najważniejsze, nauczy cię patrzéć.

— Czy ja powinienem narzekać na los, gdy Bóg mi dał takiego przyjaciela!

— I ojca,—dodała Marynia, który pana kocha, i piękną narze-

czoną, teścia naczelnika, przyrzekającego protekcyę. I do tego wszystkiego młodość i zapał do nauki.

— Wszystko mi dałeś, co dać mogłeś Panie — dokończył Edward—zobaczymy, co z tych darów zrobi, lub kto z nich skorzysta?

— Filozofia czy Basia?—dokończyła filuternie dziewczyna.

— Nie łącz tych dwóch terminów—odezwał się Edward.

— Błagam panią nie łącz filozofii z moją narzeczoną — prosił Gustaw.

— W dwadzieścia cztery godzin, usunięte wszelkie przeszkody. Czyś pan, idąc wczoraj do nas, pomyślał, że za dwa dni pojedziesz do Heidelberga?—zwróciła rozmowę matka.

— A więc jedziemy żegnać kraj w prześlicznéj jesieni... Poeto twoje panowanie—deklamowało dziewczę.

— Mało znam naturę, zaledwo ją przeczuwam i odgaduję.

— Nie będzie to natura Zakopanego, lecz dla umiejącego patrzéć oka! Prawda, mamusiu.

— Słyszysz Guciu, przed czterema miesiącami nie zdobyłaby się na podobny frazes—zrobił uwagę Edward.

— Tybyś może chciał, żebym była wiecznie dzieckiem?

— Broń Boże, pozwól mi zachwycać się twoją pełnoletnością, rozumem i twoją pięknością—boska Maryo!

— Mamo, żartuje sobie ze mnie i dokucza mi!...

Z zadąsaną miną dziecka tuliła się do matki.

— Edziu, nie dokuczaj!

Gustaw przesuwał wzrok z tulącego się pieszczotliwie dziewczęcia na matkę, pełną dobroci i dystynkcyi.

Powoli odczuwał różnicę tego małego światka od świata, w którym królowała Basia, naczelnikowa, a on przepędzał dzieciństwo i cząstkę swéj młodości...

Smutek go opanowywał i nieśmiałość. Tracił dawną swobodę wobec dystynkcyi kobiét i szlachetnéj, wielkopańskiéj swobody Edwarda, które dopiéro teraz zaczynał pojmować.

Zamyślony, zgnębiony i rozstrojony zerwał się.

— Nie zostaniesz?...

— Muszę zobaczyć kolegów, pomówić z ojcem.

— Do widzenia, jutro rano o siódméj na dworcu kolei, pamiętaj pan—upominała Marynia.

— Nie spóźnię się, choćbym nie spał całą noc.

Wracał żywo wśród pustych ulic.

— Ktoby się spodziéwał przed czterema miesiącami, że ja wo-

bec tych kobiét stracę swobodę, zrobię się nieśmiałym, niezgrabnym, zalęknionym.

Czuł utajony żal i gniéwał się na siebie.

— Cóż poradzę i co zrobię ze swojém biédném usposobieniem. Ciągle mi się zdaje, że te wielkie damy rażę swoją niezgrabnością i staję się śmiesznym w ich oczach. To mnie jeszcze więcéj onieśmiela.

Dawniéj nie odczuwałem wielkiéj dystynkcyi w Maryni.

Zaśmiał się.

— Dlatego, że wszystkie dzieci podobne są do siebie. Marynia wczoraj dziecko, dziś dama, księżniczka. Moja poczciwa Basia wobec niéj tak wygląda, jak naczelnik wobec Edwarda.

Uśmiechnął się z porównania.

— Wielkie to państwo traktuje mnie bardzo serdecznie, lecz czuję w ich zachowaniu protekcyę i życzliwość wyższych dla mnie małego.

Mieszczanin w nim się odzywał i bódł go dumą swą.

— Może oni sami o tém nie wiedzą i tego nie czują, lecz ja rozumiem.

Stanął raptownie.

— Za kogo téż Marynia pójdzie za mąż?

Skąd mi przyszło to pytanie? Pójdzie za zbankrutowanego, jak i ona, szlachcica... Dla mnie wystarczy poczciwa moja Basia.

Dlaczego Basia ma być tylko poczciwą? Cóżto za duma, ambicya, arystokracya zaczynają we mnie grać? Zazdroszczę szlachectwa Maryni, piękności, dobrego wychowania i gotów jestem ją znienawidzić!

— Znienawidzieć za co? Za co mieszczaninie chcesz znienawidzieć szlachciankę? Czy za to, że przygarnęli do siebie sierotę i pokochali jak syna i brata.

Edwardowi będę zawdzięczał przyszłość moją. Jest on moim duchowym ojcem.

Zamyślił się.

Wszystko to prawda, lecz dlaczegóż zamiast wdzięczności w mojém sercu sączy się żal, smutek, przygnębienie, zazdrość?

Dziś przed dwoma godzinami byłem tak szczęśliwy, leciałem na skrzydłach radości do tych ludzi, a wracam smutny i zgnębiony.

Przyśpieszył kroku.

Nie ma rady, chyba rzucić się w objęcia téj jedynéj kochanki, która nie zdradza. Przez nią zostać wielkim, sławnym, nieśmiertelnym. Wtedy ich dopiéro upokorzę.

Za co ich mam upokarzać, gdy kochać powinienem. To oni mnie upokarzają swoją szlachetnością, rozumem, arystokratycznym tonem, dystynkcyą.

— Głupcze — zawołał — w tobie gra mieszczańska ambicya i mieszczańska zazdrość. Nie możesz im darować wyższości i dlatego chcesz się mścić na nich!

Był oburzony na siebie, na cały świat, na swój ród, na mieszczańskie pochodzenie.

— W domu Basi jest pospolitość, lecz ja się tam czuję jak u siebie, wygodnie mi. Do domu Maryni ciągnie mnie jakaś nieprzeparta siła, a jednak gdy przyjdę, czuję ciężar tłoczący mi serce i mózg. W domu Basi nikt mi nie imponuje, a tu imponują mi wszyscy.

Mimo to, ja tam u Basi nudzę się, a do nich na Zielone lecę i lgnę. Otóż, nie pójdę już, nie pojadę na wycieczkę, jutro rano o szóstéj napiszę, że nie mogę. Ja się muszę wyrwać z tego koła, które czaruje i zarazem upokarza.

— Muszę, muszę—powtarzał, przyśpieszając kroku.

Zmęczony stanął.

— Dlaczego chcesz usuwać się od szlachetnych ludzi, a serdecznych twych przyjaciół? Pojedziesz do Heidelberga na całe dwa lata i oko cię ludzkie nie ujrzy!

— Ucieknę na całe życie, utonę w nauce i...

— A Basia, narzeczona, obowiązki?

Pierwszy raz na wspomnienie narzeczonéj dreszcz go przeszedł.

— Utonę—zawołał.

— Nie utoniesz, wrócisz, musisz wrócić, lecz jako sławny i znany!... A kto wié, może ja będę wielkim poetą?

Zaczął deklamować:

Płynie melodya tak cichą i rzewną,
Że zdajesz mi się dawnéj Psychy krewną.

— Przecież to jest ładne—powiedział.

Gdy w obcém miejscu, zdaleka od kraju, będę sam, zacznę tęsknić... Tęsknota jest mistrzynią poetów. Będę tęsknił, lecz za kim?

Uczuł w sercu ból, jak gdyby je ktoś zatargał.

— Basia, spokojna Basia serca mi nie targa. Więc kto?

Zarumienił się i biegł coraz szybcéj. Wpadł do swego pokoju, zapalił lampę i aby gwałtem bieg myśli zwrócić w inną stronę, zaczął deklamować.

— Moje poczciwe ściany, powiernice mych marzeń i skarg, że-

gnam was. Żal mi was będzie, jak więźniowi, gdy po wielu latach opuszcza swoją celę.

Pochwycił ołówek i chciał napisać parę wierszy pożegnania, nie mógł skleić dwóch, rzucił ołówek—zmęczony zasnął.

O w pół do siódméj z rana w wielkim przedsionku dworca kolejowego chodził nerwowo, wyglądając, czy nie zjawi się Edward z paniami.

Pierwsze dzwonienie minęło, nie przyjeżdżali.

Zrozpaczony wybiegł na plac po za kamienne słupy, patrzał wytężając wzrok, przytém co chwila spoglądał na zégarek.

— Jeszcze dziesięć minut, ośm, siedm — szeptał rozgorączkowany, zapominając o wczorajszych deklamacyach i wykrzyknikach.

W żelazną bramę wjechał powóz, dostrzegł przez okno Edwarda.

— Jadą — zawołał uszczęśliwiony, pobiegł do kasy, kupił trzy bilety do Zimnéj wody i dopadł, gdy powóz zatrzymał się w portyku.

— Bójcie się państwo Boga, tylko cztery minuty. Bilety mam, chodźmy żywo.

Wyciągnął rękę, pozwalając kobiétom wysiąść.

W milczeniu przebiegli wielką sień, stanęli na peronie, gdy się rozległo drugie dzwonienie.

Konduktor otworzył drzwi, zgorączkowani, zmęczeni usiedli.

— Gotów!... pociąg ruszył. Pierwszy oprzytomniał Edward.

— Podziękuj Maryni—odezwał się do Gustawa.—Jak się zaczęła stroić, czesać, fryzować.

— Fryzować?—powtórzyła Marynia z oburzeniem. — Moja mamo, fryzować na wycieczkę?!

— Strzeż się—mówił daléj Edward do Gucia—młode kotki wyrastają prędko na pantery.

— Cóż to za porównanie—przerwała Marynia—nie lubię kotów. Spojrzyj pan na mnie, czy dużo mam w sobie z pantery.

Gucio spojrzał.

Dziewczę ubrane w jasną sukienkę, wyglądało świéżo, powabnie, dla niego uroczo.

— Dziś podobna—pochwycił Edward—do kotki z pochowanemi pazurami, wygrzewającéj się na słońcu, mruczącéj pacierze, lecz gdy wrócisz z Heidelberga zobaczysz panterę.

— Nie wrócę tak prędko — odpowiedział — pragnę tam zostać choćby dziesięć lat.

— Więc pan chcesz, żeby Basia do pana przyjechała?

— Zimnawoda! Zimnawoda!

Konduktor otworzył drzwi wagonu.

— Wobec natury i jéj uroków nie ma kocic, panter, Baś, nikogo! Jesteśmy żywą cząstką natury, pochłaniający ją i nic. Słyszycie taki rozkaz dnia, takie na dziś hasło—wygłosił Edward, podając ramię matce. Gucio podał rękę Maryni.

— Edziu, powiédz, jak mamy pochłaniać naturę — odezwała się dziewczyna.

— Patrzéć, głośno wypowiadać swe zachwyty i nic—nic.

— A więc główną rolę oddajesz panu Gustawowi, jako poecie.

— I tobie—dokończył Edward.—Na wymowie ci nie brak. Wykrzyknikami zachwytów rzucasz wysoko, jak wolantem.

Gustaw milczał poważnie. Sam nie wiedział, dlaczego czuł się szczęśliwym, prowadząc pod rękę młode dziewczę.

Ścieżkami przez las szli wolno. Nie zachwycali się głośno pięknościami natury, każde z nich zamknięte w sobie pracowało myślą. Gustaw patrzał w przestrzeń, matka i syn układali plany. Marynia nie śmiała pierwsza ogólnéj zadumy przerywać.

— Cóż tak idziemy w milczeniu, jak tyralierzy awangardy wobec nieprzyjaciela—odezwał się Edward.

— Spełniamy rozkaz — odpowiedziało dziewczę i odetchnęło głęboko. — Cisza i powaga przygniatały ją. W tym brzozowo-sosnowym lasku nie ma się czém tak nadzwyczajnie zachwycać, nieprawdaż panie Gustawie?

— Trzeba być wielkim artystą, ażeby z tak mało efektownego krajobrazu zrobić arcydzieło. Jedynie wymowa pani, panno Maryo, mogłaby podołać trudnemu zadaniu.

— Moja?—powtórzyła—skąd pan znasz moją wymowę.

— Przeczuwam—odpowiedział.

— Przeczucia mylą, ostrzegam pana.

— Mamo, baczność, tyralierski ogień rozpoczął się na froncie.

Edward powiedział to tak poważnie, że wywołał głośny śmiech Maryni, matki i Gustawa.

Wesołość zapanowała, lasek rzednął i ginął; przed oczyma idących roztaczało się płaskowzgórze, z którego widny był Wysoki zamek, św. Jur i Lwów schowany w wielkiéj kotlinie. Słońce z po za niedojrzanych, a zaledwo przeczutych obsłon, niewyraźnie świeciło, osrebrzając przędzę babskiego lata. Czuć było w powietrzu i naturze ostatnie błyski, jak wspomnienia jasnych dni światła i ciepła.

— Ach, jak tu pięknie, mamo—zawołała, zapominając się pierwsza Marynia.

— Guciu, na ciebie koléj—dorzucił Edward i zmroził na ustach młodzieńca frazes poetyczny.

— Uciekajmy od tego szydercy — zawołało dziewczę i podawszy Gustawowi rękę, pociągnęło go za sobą po łagodnym spadku wzgórza.

— Mamo, powiédz, czy ta para dzieci nie dla siebie stworzona? Dostrzegła mama, że Marynia zaczyna go kokietować?

— I to zaczyna mię martwić.

— A mnie bawić i cieszyć. Młodość ma swoje prawa.

— A jeżeli się dziewczyna zakocha?

— On musi za nią najprzód szaléć, cierpiéć i grozić, że sobie w łeb palnie. Do tego jeszcze daleko. Pragnę tylko, aby odjechał nieco z przestrzeloném sercem.

— Układasz intrygę przeciw biednéj Basi, a to się nie godzi i nie jest, przepraszam cię, szlachetne.

— Mama ma usposobienie brać wszystko bezwzględnie i nie uznawać żadnych łagodzących okoliczności. Śmierć lub życie, absolutne złe lub dobre.

— Trudno mi łagodzącemi okolicznościami stopniować.

— Ja tylko pragnę odrobić to złe, które temu biednemu chłopcu wyrządzono. Względnie szczęśliwym może być tylko jako mąż Maryni, a ona miałaby idealnego męża. Inaczéj, w innych warunkach życiowych, poetyczna natura chłopca, niebawem filozofa, zmarnieje, znuży się w walce i padnie. My jedni możemy go odchować i odchowanego oddać na usługi społeczeństwa. Lecz czy nam na to pozwolą: los, naczelnik, naczelnikowa, Basia? To już takie nasze szczęście w walce z głupotą padać.

— Chodźcie tu państwo do nas — zaszczebiotała głośno Marynia.—Co za śliczny jar, zaczyna się u naszych stóp, tajemniczy, cichy, chwyta za serce i ciągnie ku sobie.

— Słyszy mama, ona przy swéj żywości odczuwa piękno, rozumié poezyą życia. Ona jedna potrafi być żoną poety-filozofa. Przygotowywałem ją do téj w życiu roli, a w tém pierwsza lepsza tłuścioch a odbiéra rolę Maryni i bierze w swe łapy, aby ją „p o ł o ż y ć.“

— Kogo?

— Rolę, mamusiu!... Jestto gwara aktorska, a znaczy zaprzepaścić przez złe odegranie roli—sztukę! Za co moją sztukę ma kłaść Basia, a przedewszystkiém biednego chłopca, gdy na rolę żony jednego ze stu auskultantów, adjunktów lub oficyałów, byłaby jedyna.

— Chodźże nudziarzu — nalegała na brata Marynia. — Dosyć państwo będzieciecie mieli czasu do wygadania się w domu. Mamusiu,

przybywaj! Za jarem wśród zielonéj łąki, jak srebrna wstęga na szmaragdowym dywanie, połyskuje rzeczka. Zdaleka widać pastuszków, bydło i białe, małe domki. Nie ma nic nadzwyczajnego, mówi pan Gustaw, lecz jest coś, co chwyta za serce. Jeżeli chcecie być pochwyceni za serce, śpieszcie się. Słońce schowa się niedługo za chmurę i wszystko przepadnie. Mamusiu, na prawo ścieżką, tędy, dobrze. Panie Guciu za mną, biegnijmy pomódz mamie.

Dziewczyna rozbawiona, ożywiona, śmiała się, z oczu jéj biła niezwykła radość. Za to Gustaw stawał się nieśmiałym, niezgrabnym, zamyślonym.

Edward z matką zamienili spojrzenia.

— Obejdziemy wydeptaną ścieżką jar—mówił. — Za tym wzgórzem na południowéj pochyłości, nad brzegiem bukowego lasu stoi chata leśnego. Pani leśna zgotuje nam obiad.

— Daleko?—spytała matka.

— Dwie godziny drogi, lecz prześlicznéj. Co sto kroków niespodzianka.

— Przepadam za niespodziankami—zawołało dziewczę — radabym w życiu mieć same niespodzianki. A pan? — zwróciła się do Gustawa.

— Ja, ja ich się boję—odpowiedział cicho.

— A ja je wyzywam, niech przychodzą! Muszę je pierwsza spotkać! Edziu, gdy ścieżka się skończy, którędy daléj?

— Ciągle na prawo.

Pobiegła żywo naprzód, za nią jak niewolnik pociągany nieznaną mu siłą—Gustaw.

Edward z matką szli wolno w milczeniu.

— Edziu, ja się zaczynam bać.

— Czego, mamusiu, praw natury? Jestto despotka, jéj kodeks nieugięty, zabija przestępców.

— O jakich mówisz prawach?

— O tych, mamusiu, że młody chłopiec, chowając się razem z młodą dziewczynką, przyzwyczajony patrzéć na świat jéj oczami, myślami swemi gonić jéj myśli, gdy oboje dorosną, muszą się pokochać i podług kodeksu pobrać, aby przeżyć życie, o ile można, dobrze i użytecznie.

— A jeżeli tego nie mogą zrobić?

— Natura wydaje wyrok i milczy. Zwykle skazuje na ścięcie łba i uduszenie z tym fatalnym dodatkiem, że torturuje powoli. Czasem pastwi się miesiącami, a czasem rozkłada męczarnie na lata.

— A więc wyrok ten grozi Guciowi i Maryni?

— Niezawodnie, lecz odwrócić biegu wypadków nie można. Tylko dziewczyna jak dziewczyna, natura rezolutna, kokietka, wrażliwa... Miłość jéj poczęta w szesnastym roku życia, gdy nie jest podsycona gaśnie, lub usycha w ośmastym. Co innego Gustaw.

— Zmiłuj się, pocóż doprowadzasz do tak rozpaczliwéj i niebezpiecznéj gry tego szlachetnego chłopca?

— Czyż mogłem przeczuć, że rodzina Wiewiórkowskich stanie mi w drodze, połamie szyki. Bronię młodzieńca przeznaczonego do innych celów, aby go nie zagrzebano w rozkoszach małżeńskich z jedną z Wiewiórkowskich.

— To samo wyrażenie można powtórzyć o Maryni.

— Nie można — odparł Edward stanowczo. — Mąż Maryni może być znakomitością na każdém polu, może pracować dla wielkich ideałów, dla nauki, gdy mąż Wiewiórkowskiéj Barbary, może być tylko mężem Barbary i pracować dla niéj. W tém tkwi ta wielka różnica. Wiewiórkowski spłatał mi, a może i społeczeństwu figla. Nie pragnę się mścić, lecz bronić od zemsty...

— Czyjéj?

— Natury mamo, która dając Guciowi mózg taki, jaki ma, każe mu iść tam, gdzie ona chce, a nie gdzie się podoba Wiewiórkowskiemu.

— Dziecko jesteś — rzekła matka łagodnie.

— Przekona się mama, że to nie jest tak dziecinne, jak się z pozoru wydaje.

Rozmawiając, zostawili na lewo wielki jar i ścieżką, wznoszącą się horyzontalnie szli daléj.

Raptownie zatrzymali się.

Na szczycie spadzistéj góry stała pochylona Marynia, podając drapiącemu się Gustawowi parasolkę.

— Mamusiu patrz, to rola Maryni żony Gucia. Jest ona tyle wykształconą, szlachetną i ambitną, że potrafi swego męża cignąć na wyżyny.

Chłopiec przy pomocy dziewczęcia dostał się na szczyt, zdjął kapelusz, ukląkł na jedno kolano, ujął rękę towarzyszki i dziękując, przycisnął do ust.

— On jéj tak samo będzie dziękował po dwudziestu latach, za niezmarnowane życie.

— I ja w to wierzę — szepnęła matka — gdyby został jéj mężem.

— Pracujmy mamo!

— Tego nie potrafię. Odbierać narzeczonego biednéj dziewczynie...

— Odbierać filozofa i poetę tłuściosze, któréj nie jest potrzebny: ani filozof, ani poeta, tylko jedynie mąż — auskultant, sędzia lub komisarz.

— Określaj jak chcesz, w moich oczach jest nieszlachetnie i cieszę się, że jutro jedzie, a Marynia wielkie jeszcze dziecko.

Edward zamilkł. Szanował zdanie matki, korzył się przed jéj delikatnością uczuć. Zrozumiał, że walka była niemożliwą. Pocieszał się jednak tém, że Wiewiórkowska znajdzie męża, nim Gustaw wróci z Heidelberga. Imieniny bez udziału narzeczonego kazały mu domyślać się pewnych kombinacyi ze strony naczelników.

Marynia zobaczyła idących.

— Mamo, Edziu, jaki ztąd przepyszny widok!.. Tylko jeżeli chcecie się do nas dostać, musicie górę obejść dokoła. Co innego ja— sławna taterniczka.

— Wyprowadziłaś na szczyt poetę.

— Nie sławy, — lecz tego wzgórza.

— Pomyśl i o niéj — zawołał Edward.

— Edziu! — szepnęła matka.

— To obowiązek przyjaźni — dokończył głośno.

— Zadowolona mama — spytał cicho.

— Złagodziłeś wrażenie.

— Mamusiu, Gucio naiwny jak dziecko, a Marynia prawdziwe dziecko.

Zwrócił się do młodych.

— Przyznajcie, że niezły na wycieczkę teren wybrałem.

— Świetny, boski, znakomity. Nie pamiętam, czy kiedy byłem tyle upojony naturą i czy kiedykolwiek kochałem cię więcéj niż dziś, w téj chwili!..

Marynia pod pozorem wyszukania bezpiecznego wejścia na górę dla matki, odwróciła się szybko.

— Tędy mamusiu, obok téj choinki, lecę na pomoc.

Zbiegła wprost w objęcia matki.

— Jesteś niezwykle ożywiona.

— Ale bo téż niezwykle przyjemna dziś wycieczka. Bawię się wybornie, używam świata i swobody jak nigdy, jak nigdy!

— A może i mnie kochasz jak nigdy, — spytał Edward.

— Dziś bardzo cię lubię.

— Za cóż?

— Jesteś poważny, spokojny, przestałeś mi dokuczać.

Usiedli we czworo na szczycie wzgórza.

Marynia położyła głowę na kolanach matki, Gustaw siadł przy Edwardzie.

— Nie mogę się pogodzić z myślą, że już jutro będę na drodze do Berlina.

— A za dwa dni nad pięknym Nekarem. Bystra, górska rzeka, ujęta w karby silnemi wałami.

— Okolice Heidelberga podobno są bardzo ładne? — odezwała się Marynia.

— Prześliczne.

— Opisz je nam. Przyjemnie będzie pomyśléć, gdzie w któréj porze dnia przebywa pan Gustaw.

— I Heidelberg ma swój Wysoki zamek, znacznie wyższy od Lwowskiego! Widok z niego czarujący.

— Panie Gustawie, w niedzielę, o godzinie piątéj, bądź pan na szczycie góry zamkowéj i pomyśl o nas. Punkt o piątéj, a i my również pomyślimy o panu. Myśli nasze skrzyżują się ponad Krakowem.

— Ja nieustannie będę myślał — pochwycił Gustaw, a szeptem dodał — i tęsknił.

Szept ten usłyszeli Edward i Marynia.

Dziewczę nie wyobrażało sobie, aby można myśléć o kimś sympatycznym i nie tęsknić.

— Galopada uczucia w tych młodych głowach leci wichrem — rzekł w duchu Edward.

Zamyślił się i on. Usiłował odgadnąć przyszłość dwojga dzieci, a wyobrażał sobie, że będzie promienistą. Bał się jednak śnić jasnych obrazów. Basia swoją tuszą zasłaniała je i zaciemniała.

— Zaczynam pierwszy raz w życiu grać hazardownie. Lecz cóż mnie obchodzi hazard wobec szczęścia Maryni i tego chłopca, którego przyzwyczaiłem się kochać jak młodszego brata.

— Do dzieła, do dzieła, — zawołał.

— Do jakiego dzieła? — zapytała Marynia, przebudzona z głębokiéj zadumy.

— Do dzieła odrodzenia u nas filozofii!

— Rozumiem—rzekło dziewczę,—odrodzicielami będą w pierwszym rzędzie panowie Edward i Gustaw.

— I moce piekielne nie przemogą nas — dodał z zapałem Edward.

Gustaw patrzał na przyjaciela i zaczął rozmyślać, jakiego rodzaju piekielna moc mogłaby go przemódz.

Ponad kotliną Lwowa zobaczył zbitą w gromadkę rodzinę Wiewiórkowskich. Leciała do niego jakby do szturmu. Zamknął oczy ze strachu.

— Pan Gustaw z upojenia radości, aż oczy zamknął — odezwała się Marynia.

— Chciałem sobie — tłómaczył się — uprzytomnić w umyśle krajobraz, na który patrzę — i aby go lepiéj wbić w pamięć, zmrużyłem oczy.

— Obraz jako ramy, w którym ci przepowiadano przodownictwo w odrodzeniu filozofii — rzekł Edward. — Nie zapomnij go!

— Tymczasem chodźmy na obiad, a radzę wam pobiegnijcie naprzód uprosić leśniczynę, aby usmarzyła jajecznicy i upiekła parę kurcząt. Będzie bal!

— Będzie bal — powtórzyła Marynia.

Zbliżyła się do matki, pocałowała ją i szepnęła:

— Jestem dziś troszkę szczęśliwa i bardzo wesoła.

Zwróciła się do Gucia:

— Dziś taki nam los przypadł, że musimy być nieustannie w awangardzie.

— Pod rozkazami tak dzielnego wodza przyjemnie iść naprzód.

— Mamo, to już trzeci komplement jaki usłyszałam. Jak na przyszłego filozofa to wcale nieźle. Edziu wskaż dokładnie drogę.

— Gdy ścieżką obejdziecie górę stanie przed waszemi oczyma biały dworek, otoczony sztachetami.

— Dziękuję ci. Marsz, marsz, naprzód, ostrożnie, pocichu a odważnie. Edziu, czy dobrze idziemy?

— Wybornie.

Zbiegła na dół, za nią Gustaw. Za chwilę znikli na załamie wzgórza.

— Widzisz u dziewczątka mego głowa płonie, oczy się fosforycznie świecą.

— Moja mamo, nie lepiejże to dla Gucia, niż gdyby dla pierwszego lepszego g o g a, albo jeszcze gorzéj przystojnego głupca. Szesnaście lat ma swoje prawa i swoje fatalizmy... Więcéj mi żal Gucia.

— Żałujesz go, a to ty przecie zgotowałeś mu ten los.

— Żałuję, ale nie płaczę. Dlatego, że zrobił będąc dzieckiem niewinne głupstwo, ma cierpieć całe życie! Bądźmy sprawiedliwi i nareszcie miejmy litość nad nim i brońmy go.

— Cieszę się, że jutro odjeżdża — powtórzyła cicho matka.

Szli oboje zamyśleni nad losem dwojga dzieci, dla których oddaliby wiele a może wszystko.

Poza wyniosłością góry, na tle ciemnéj zieleni, rzucił im się w oczy biały dworek i w téj chwili rozległ się świéży, silny głos Gucia:

— Hop, hop — idą — hop, hop!

Po zaraportowaniu przybiegł do idących.

— Panna Marya kazała mi stać na czatach i gdy państwa zobaczę, zaalarmować. Będzie to hasło, aby jaja wbijać gwałtownie do roztopionego masła.

— Chodźmy żywo — pochwycił Edward — bo zanim przyjdziemy, jajecznica zrobi się twardą jak kamień. Bohatérki zwykle są złemi kucharkami.

Spojrzał na zegarek.

— Dopiéro dwunasta a jestem głodny jak wilk. A ty Guciu?

— Ja zapomniałem, że człowiek jeść potrzebuje.

— To się tylko dzieje w wielkich wypadkach życia. Nie widzę ich na dzisiejszéj wycieczce.

Gustaw nic nie odpowiedział.

— Mamusiu proszę iść wolno, my pobiegniemy naprzód, aby jeśli się da, wstrzymać kuchenny zapał twéj córki.

Wysunęli się rączo. Edward silniejszy, wyższy, dobry gimnastyk, przeskakiwał parowy lekko i zgrabnie.

— Maryś — wołał — Maryś, stój, czekaj z jajecznicą, nie galopuj.

We drzwiach dworku ukazała się leśna, rumiana w białym fartuchu.

— Do jajecznicy jeszcze daleko — zawołała i znikła.

Młodzieńcy zatrzymali się.

— Jesteśmy uratowani, wracajmy do mamy — oświadczył Edward, ciężko robiąc płucami.

Ujął przyjaciela pod ramię. Szli wolno.

— No powiédz sam mój Guciu, że nieźle ci z nami. I dziś przynajmniéj tak dobrze, jak przez sześć lat naszéj przyjaźni.

— Lepiéj, — odpowiedział Gustaw — dlatego, że dziś umiem was lepiéj ocenić i więcéj kochać.

— A my postaramy się, aby przyjaźń nasza mimo oddalenia nic nie straciła na swéj świéżości i sile.

Wzruszony młodzieniec uścisnął serdecznie dłoń przyjaciela.

— Mama wié o losie jajecznicy — spytał Edward.

— Słyszałam doniosły głos leśnéj. Panowie ściskaliście sobie serdecznie dłonie, czy na utrwalenie przyjaźni?

— Mam słabość do tego chłopca; do jego idealizmu połączonego z naiwnością, do jego skromności, połączonéj z wielkiemi zdolnościami, do jego miękkości i słabości, opartéj na dobrém sercu — i do jego zapału, czci dla nauki i wytrwałości w pracy.

— Same połączenia, — szepnął wzruszony pochwałami Gustaw.

— Mój drogi, cóż chcesz, człowiek odlany z bronzu, byłby również połączeniem.

— Bądź pan spokojny — odezwała się z uśmiechem matka — Edzio ma bez porównania więcéj połączeń.

— I dla tego mamusiu jestem interesującą postacią dla psychologa i dla kobiét. Te pojedyńcze, proste natury wykute z kamienia nie są zbyt ciekawe.

Biały fartuch leśnéj błysnął we drzwiach.

— Proszę państwa, panienka bije jaja.

— Oddycham, przyjdziemy w samą porę, lecz śpieszyć się trzeba.

Podał rękę matce.

W gościnnym pokoju pani leśnéj, zastali stół przykryty różową serwetą z rozstawionemi na nim talerzami. Otwarte drzwi odsłaniały kuchnię. Przed kominem stała Marynia opasana fartuchem, różowa od ognia.

— Panie Guciu, bierz łyżkę, mieszaj wolno w jedną stronę. Ogień pali, że już dłużéj nie mogę wytrzymać.

Po zaimprowizowanym obiedzie poszli we trójkę w las do źródełka napić się wody i przynieść jéj dla matki.

Gucio po raz dziś trzeci odzyskiwał swobodę. Promieniał radością i szczęściem.

Marynia zeszła z drogi, szukając paproci.

— Jedziesz dziś — rzucił pytanie Edward.

— W nocy. Zabawię dzień w Krakowie, kupię nieco książek, odwiedzę kolegów i daléj do Berlina.

— Pragniesz rzucić się w otchłań wiedzy.

— W to morze — szepnął — i pić, pić, pić.

— Im więcéj się pije, tém większą staje się żądza.

— Kiedy wrócimy do Lwowa?

— O piątéj. Dużo masz spraw?

— Rzeczy spakować, widziéć się z ojcem, być u naczelników, pożegnać się.

Zarumienił się mocno i urwał.

Edward udał, że nie widzi rumieńców.

— A potém -- zapytał?

— Koledzy wyprawią mi pożegnalną bibkę i odprowadzą na koléj.

— Kochają cię?

— Lubią — nie jestem próżny i podstępny.

Wróciła Marynia, niosąc kilka uzbiéranych paproci.

Młodą i zieloną podała Gustawowi.

— Na pamiątkę naszéj wycieczki. Proszę ją zabrać do Heidelberga. A gdy wyjdzie pierwszy tom pańskich poezyi, niechaj okładka będzie zdobna w tajemniczą paproć, o któréj mówią, że gdy zostanie pochwycona na okwicie, da szczęście.

— Zgrabnie, zręcznie a głęboko — dokończył Edward.

Wzruszony Gucio nie odpowiedział. Z pewną czcią rozłożył jéj listki na papiérze, wyprostował i schował.

Marynia stała się poważną i zamyśloną.

Napróżno Edward żartował, a nawet przy źródełku, aby ją ocucić i rozgniewać, bryzgał na nią wodą.

Nic nie pomogło, dziewczę pozostało zamyślone, smutne.

Przed samym dworkiem leśniczówki powiedziała cicho do Gucia:

— Nie wyobrażam sobie Lwowa bez pana. Osieracasz nas.

— A ze mną co? — szepnął. — Nie mógł daléj mówić.

Odpoczęli, słuchając opowiadań pani leśnéj, o kłopotach gospodarskich i uciążliwości służby.

Przy pożegnaniu wskazała im bliższą drogę przez las do Zimnéj-wody. Poszli w uroczystym nastroju. Edward opowiadał o pięknych i bogatych brzegach Menu i Nekaru.

Pociąg zawiózł ich do Lwowa.

Na dworcu Gucio pożegnał się szybko, nerwowo, wskoczył do jednokonki i odjechał.

W domu zastał przez starą sługę spakowane rzeczy, pobiegł do klubu do ojca.

Szczęśliwie trafił. Dyrektor na tę chwilę był wychodzącym.

— Drogi ojcze, jadę.

— Dziś?

— Dziś w nocy.

— Pożegnałeś się z naczelnikami, cóż mówili?

— Naczelnik z początku był rozgniéwany, lecz powiedział: od czegóż poświęcenie?

— I w imię poświęcenia pozwolili ci jechać. A Basia? cóż Basia? płakała?

— Nie miała czasu.

— Co to znaczy?

— Szła z matką na wizytę.

— Do Cwałosińskich?

— Podobno.

— Nie zatrzymali cię na imieniny?

— Byli tyle dobrzy.

— Znam ja ich dobroć — pomyślał dyrektor, wyjmując portmonetkę.

— Oto dla ciebie przygotowana stówka na drogę, a druga jako pensya miesięczna. Na początku będziesz miał różne wydatki.

Gustaw pocałował ojca w ramię.

— Napisz, czego słuchasz, co robisz, jakie masz projekta.

Dyrektor się zatrzymał. Widać było na jego twarzy wzruszenie, głos zniżył, mówiąc daléj:

— Jestem zapracowany, jak widzisz. Cały dzień w jarzmie, ciebie mam jednego na świecie i dziś mogę ci powiedzieć, że cię kocham.

Objął głowę syna i pocałował.

— Gdyby ci zabrakło kiedy pieniędzy, pisz. Nie mam kapitału, lecz dochodami podzielę się z tobą zawsze.

— Na dyrektora koléj — zawołano z drugiego pokoju.

— Niech cię Bóg prowadzi, wracaj zdrów, piękny i uczony. Będziesz u naczelników?

— Muszę!

— Niekoniecznie. Za dużo się poświęcają.

— Na dyrektora koléj! — wołano coraz głośniéj. — Czekamy.

Dyrektor raz jeszcze pocałował syna w czoło i poszedł.

— Gotowi mi zmarnować chłopaka — mruczał pod nosem. — Ale jeszcze nie wygrali! Ocuci się zagranicą i wytrzeźwieje.

Siadł zirytowany, przejrzał karty — i gniewnie zawołał: — ręka!

Gustaw zbiegł na ulicę, przesadzając po cztery odrazu schody. Spojrzał na zegarek.

— Za dziesięć minut siódma. O siódméj czekają koledzy.

Wskoczył do jednokonki, kazał pędzić do mieszkania naczelników, zadzwonił, wpadł.

Naczelnika nie było, matka i Basia po wczorajszym wieczorku spały.

Chciał odejść.

— Nie, nie, — wołały Krysia i Justyna. — Basia kazała się zbudzić, gdy przyjdziesz.

Zaspana, w negliżu, przeciérając oczy, ukazała się.

— Jedziesz już — spytała, siląc się na czułość.

— Za godzinę — odpowiedział Gustaw.

Wydała mu się jakaś pospolita i nieładna. Pospolitość w porównaniu z wdziękiem Maryni, raziła go.

— Bądź drowa — szepnął.

— Już?

— Koledzy żegnają mnie...

— Gdzie?

— Pod „gruszką“ czekają, o siódméj zebranie.

— Szkoda, że jutro nie możesz przyjść, opowiedzieć szczegółów. Pewno będzie wesoło.

— Jutro o tym czasie będę dojeżdżał do Berlina. Bądź zdrowa — powtórzył — pożegnaj matkę, ojca...

— Listy co dwa tygodnie, pamiętaj i kochaj twoją Basię.

— Pamiętaj i kochaj — powtórzyły Krysia i Justyna. Basi będzie smutno...

Wybiegł, zły na siebie, zmrożony. Szczęściem nie miał czasu na refleksye. Kazał się wieść na Krakowskie „pod gruszkę.“

Tłumy ludzi, oświecone sklepy, płonące latarnie, wrzawa uliczna, przesuwały się przed jego oczyma dziwnie, wrażliwie.

— Żegnam cię mój kochany Lwowie, moje rodzinne miejsce, żegnam cię moje dzieciństwo i młodości moja.

Jednokonka stanęła przed ciemną sienią kamienicy, nad którą wznosiła się wielka, złota gruszka.

Wpadł do sali.

— Pan do zamkniętego kółka? Tam, w te drzwi.

Kilkunastu kolegów, obciążonych powagą doktorską, przyjęli go szmerem radości i sympatycznych wykrzykników.

Zaczęła się uczta z początku z doktorskiém namaszczeniem. Lecz po wniesieniu dziesięciu butelek dobrego węgrzyna, birety z głów wyparowały, zostali młodzi ludzie weseli, przed którymi życie stoi otworem i ciągnie ich do siebie.

Za godzinę w małym pokoiku było gwarno, duszno, dymno i bardzo wesoło.

Wznoszono toasty, rozprawiano o nauce, rwano się do wiedzy, wygłaszano wielkie hasła, wyzywano do walki cały świat.

O dziesiątéj, sześć jednokonek wyjechało z „pod gruszki“ na

dworzec kolei, siedziało w nich dwunastu młodych ludzi, patrząc z pogardą i dumą na motłoch uliczny, z pobłażaniem na gwiazdy, a protekcyonalnie na księżyc, tego starego ćwika, uśmiéchającego się do nich.

Na dworcu czekał Edward z listem do Bolka *Shöngeist'a* w Berlinie.

— Zajedź wprost do niego. Pokochasz go, zapewniam cię, artystyczna nawskroś natura, miękka i poetyczna.

— Edziu — szepnął Gucio z błyszczącemi oczyma. — Kocham cię!

— Byłeś u naczelników?

— Wyobraź sobie, Basia spała — narzeczona w chwili mego wyjazdu chrapała! Jeżeli wszystkie narzeczone chrapią w chwilach wyjazdu kochanków...

Zadzwoniono.

— W głowie mi szumi, wesołe myśli latają jak wichry a serce ściska żal i ból — przejmujący ból. Zostawiam tu „przędzę mych myśli i mych uczuć kwiaty.“

— Siadać, siadać, drugie dzwonienie — wołali konduktorzy.

— Nic nie zostawiaj, zabierz wszystko a najwięcéj przędzy!

Koledzy otoczyli ukochanego towarzysza.

Konduktor otworzył drzwi, Gustaw wskoczył, stanął w oknie. Pociąg zaczął powoli i cicho sunąć.

— Żegnajcie, dziękuję wam, bądźcie zdrowi. Edziu pamiętaj, to ty mnie wyprawiasz.

Zdjął kapelusz i powiewał nim.

IV.

Heidelberg — listopad.

Drogi, kochany Edziu!

Kursa w całéj pełni! Jakże ci jestem wdzięczny, żeś mnie tu wysłał! W zakątku tym, w téj poważnéj ciszy rozwijają się przedemną głębie nowych idei, roztwiéra tajemnicze swe wrota przeszłość. Wstępuję w nią z zapaloną pochodnią moich przewodników.

Uczułem się bardzo malutkim ze swoim doktoratem. We Lwowie opakowałem się do zawrotu głowy kilkoma tysiącami paragrafów prawa — i zdawało mi się, że rozumem moim podbiłem świat. Czuję, że tam była nauka dla chleba, tu jest nauka dla wiedzy.

Drżę na samą myśl, abym wiedzy méj nie musiał mléć żarnami

praktyczności, na mąkę powszedniego chleba! Brrr. — Boże, Boże uchowaj mnie od téj katuszy życia.

Tutejsi profesorowie są na pozór pedanci, jednostronnie zasklepieni w swym przedmiocie, lecz dlatego znają go dobrze — i co również ważne — kochają. Katedra dla nich nie jest szczeblem do wielkich karyer politycznych, wejścia w świat, lub bogatego ożenienia. Wiedzą, wierzą i czują, że to ostatni szczebel w ich karyerze, również wielkiéj i szczytnéj, i na nim chcą jaśniéć sławą, uznaniem uczniów i społeczeństwa.

Praca pod takimi kierownikami zmienia się w rozkosz. Edziu, za tę rozkosz mego życia bądź pochwalony.

Słucham wszystkich i wszelkich filozofii i historyi filozofii prawa, historyi filozofii i saméj historyi. Dziennie trzy lub cztery godzin! Notatki moje rosną, a może i do biédnego łba coś tam przecieka, ustala się i zostaje.

Mam tu przyjaciela, kolegę Polaka, słuchamy wykładów razem, pracujemy razem i razem zwykle robimy wycieczki wzdłuż Nekaru. Monotonny szum wody łagodzi nasze tęsknoty, kołysze fantazyą. Idziemy daleko zamyśleni, rozmarzeni.

Pierwsze słowa najczęściéj rzuca Staś. Jest to iskra wzniecająca pożary. Rozgorączkowani rozprawiamy, ciskając błyskawice naszych często niedorzecznych myśli, często dziecinnych projektów, lecz pochlebiam sobie, zawsze uczciwych i dobrych.

O nauko, wiedzo — kochanko wiecznie młoda.

Pamiętasz, deklamowałeś z zapałem!.. Prawda, wiecznie młoda to pani, lecz i wielka egoistka. Pochłania nasze życie, myśli, pragnienia tylko dla siebie. Pali mózg żądzą zdobyczy, pali pod stopami, aby lecieć do niéj, w jéj objęcia.

Wracamy wieczorem, zapalamy lampy i daléj do pracy.

Edziu, gdyby nie ty, byłbym bardzo nieszczęśliwy. Tyś jeden rozbudził we mnie śpiące namiętności i wskazał cel życia.

W oznaczonym dniu byłem na szczycie góry zamkowéj Heidelberga i w umówionéj minucie godziny, słałem wam gorące wyrazy przywiązania i wdzięczności... Zdawało mi się, że mateczka wasza błogosławi mi, panna Marynia wyciąga do mnie ręce, a ty mój Edziu roztwierasz ramiona. Uczułem się szczęśliwym i zrozumiałem, że nie jestem sierotą. Z wami płynęłoby mi życie w cichéj pracy i pochodzie do wielkich ideałów.

Twój zawsze wdzięczny

Gustaw.

Edward z serdeczném wzruszeniem i radością odczytał list matce.

— Gdybyśmy go nie znali, z tego jednego listu możnaby zrozumiéć i ocenić charakter tego sympatycznego chłopca. Jego idealizm, pragnienia, skromność do przesady i naiwność dziecka! Jak tu mamusiu droga nie pomagać mu, nie opiekować się nim i nie kochać go?

— Dobrze, wszystko to dobrze moje dziecko — odpowiedziała matka — lecz z obawy, aby się również jak ty nie zakochała Marynia, proszę cię, nie pokazuj jéj tego listu. Dziewczyna wrażliwa na szlachetne objawy duszy ludzkiéj, mogłaby cierpiéć całe życie. Z rozkoszą oddałabym mu moją dzieweczkę, lecz Wiewiórkowscy będą się upominać o swe prawa.

— Mówią, że jakiś czerwony, barczysty szlachcic Cwałosiński, z żółtawym, zamaszystym wąsem a ruchami parobczaka wiejskiego, śmiejący się wesoło, gadający głośno... Mama zna ten rodzaj?

— Znam, więc cóż?

— Kręci się koło Basi.

— Naczelnikowie?

— Radzi mu. Naczelnikowa go ciągnie. Lecz niestety szlachcic podrujnowany.

— Chce posagu?

— Nie wie czy go dostanie, a więc myszkuje, kręci się, słucha, patrzy...

— Dowie się prędko i cofnie.

— Rodzina i przyjaciele Wiewiórkowskich pracują a ja pomagam im jak mogę. Poznałem się umyślnie z kolegą szkolnym Cwałosińskiego i nieznacznie napomknąłem mu, że naczelnik ma gotówkę, a ciotki każda po trzydzieści tysięcy.

— Intrygujesz chłopcze.

— W imię dobra i piękna.

— Intryga jest intrygą.

— Niezawodnie, tak jak mama uosobieniem cnót.

— Dopóki jednak Cwałosiński się nie oświadczy, a Basia nie odeśle pierścionka Guciowi, dopóty nie mów o nim Maryni i listów jego nie pokazuj.

— Oddaje je mamie do schowania. Zrobisz z niemi, co ci się żywnie podoba.

— Tak najlepiéj. My matki odczuwamy serca naszych córek.

— I jedynie macie do nich prawa.

* * *

W miesiącu lipcu kuryer pędzący z Frankfurtu do Karlsruhe, zatrzymał się w Heidelbergu. Wyskoczył z niego młody człowiek, rzeczy odesłał do hotelu, sam poszedł do miasta. Znał je dobrze, mijał ulicę po ulicy, skracał drogę przecznicami. Stanął, spojrzał na numer szaréj, wysokiéj kamienicy, u pani Knechtowéj zapytał się o Gustawa.

Chuda niemka odpowiedziała, że go nie ma w domu, lecz zwyczajem heidelberskim, spytała, czy nie żąda klucza, podając go z uprzejmością niemek nadreńskich.

Młody człowiek wywindował się na trzecie piętro, otworzył drzwi, obejrzał pokój, wyjrzał oknem, uśmiechnął się do siebie i rzucił się na sofę.

Dwie noce nie spał. Sen zamknął mu powieki, przeciął myśli, wspomnienia zagłuszył i radość, nurtującą jego serce.

Po godzinie, drzwi pchnięte silną ręką otworzyły się z trzaskiem.

— Edziu!

Śpiący otworzył oczy i zerwał się. Przyjaciele padli sobie w objęcia.

— Co za niespodzianka, co za radość, co za szczęście. Nie mogę mówić, ale wyobrażasz sobie co czuję. Siadaj, rozgość się, nie puszczę cię z mego mieszkanka, oddaję ci łóżko, sam będę spał na sofie! Mów, opowiadaj. Mama twoja... panna Marya...

Przy wyrazie Marya — zamilkł zmieszany.

— Najprzód proszę cię — odezwał się Edward wesoło — zadaj mi pytanie zkąd się tu wziąłem.

— Prawda, zapomniałem. Mów, mój drogi, na ciebie koléj.

— Na mnie koléj — powtórzył — ujął Gustawa za ręce i podprowadził do okna.

Rozrosłeś się, ale i przymizerniałeś. Kochanka nasza męczy i oczy podbija podkowami. Mimo to wszystko, wypiękniałeś, to znaczy, wyszlachetniałeś mój chłopcze.

— Zdaje mi się, że zdziczałem.

— Chwilowo! W dwa dni odzyskasz równowagę towarzyską. Wiész, że zostałem zastępcą profesora filozofii w Krakowie, który za drugimi pojechał politykować do Wiednia.

— Cieszę się i winszuję z całego serca.

— Przenieśliśmy się do Krakowa.

— To było do przewidzenia — poświadczył smutno.

— Z oszczędności moich postanowiłem przelecieć kawałek Europy, a ciebie zabrać do Szwajcaryi. Potrzebujesz odpoczynku, towa-

rzystwa, przyjaciela, ruchu, swobody. Z Zurychu do Genewy pójdziemy piechotą.

— No cóż, nie odpowiadasz?

— Nie mogę — szepnął cicho Gustaw.

— Domyślam się, lecz kwestya ta załatwiona. Widziałem się z twym poczciwym ojcem. Na wycieczkę do Szwajcaryi posyła ci dwieście pięćdziesiąt guldenów co znaczy pięćset franków. Oto od niego list i w liście pieniądze.

Wyjął list i oddał go przyjacielowi.

— Mój poczciwy ojciec — szeptał Gustaw, przebiegając pismo oczyma, pragnie abym się rozerwał, użył świata, widział coś przecie. Każe mi się bawić, bałamucić piękne kobiéty, romansować.

— Trudnych wymaga od ciebie rzeczy.

— Niepodobnych! A więc Edziu, ja z tobą, przy twym boku, przelecę Szwajcaryę. Co za radość! Czyż ja zasłużyłem na tyle z twéj strony przyjaźni.

— Jakie miałeś plany podczas wakacyi — przerwał Edward!

— Gdyby ojciec przysłał na drogę, leciałbym do was, do kraju. Tęskniłem... Lecz ponieważ ty przyjechałeś, zdaje mi się, że połowa jest ze mną.

— Druga połowa znajdzie się — odparł Edward wesoło.

— Mów o twoich, o znajomych, o Lwowie. Jak wygląda mój ojciec?

— Świetnie, zdaje się odmłodniał. Kocha cię bardzo. On to sam zaproponował, abyś nie wracał i prosił mnie... Ale prosić nie potrzebował.

Roztworzył ramiona, uścisnęli się serdecznie.

— Nagadamy się mój chłopcze. Dzięki twemu spóźnieniu, wyspałem się, odpocząłem, a teraz zaczynam być głodny: Chodźmy na heidelberskie piwo i chude bifsteki. Przypomną mi się studenckie czasy.

Stanął raptem.

— Zmieniam projekt. Dobijamy do najbliższéj stacyi Renu, siadamy na statek parowy i płyniemy w górę, dokąd się da, choćby do saméj Szafuzy, a potem daléj koleją, piechotą, jak wypadnie! Taką robiłem pierwszy raz wycieczkę w świat z Heidelberga.

— Niechże będzie taka sama i moja — zawołał Gustaw. — Wiész, zdaje mi się, że ja znowu przez twoją przyjaźń i twą tu obecność, zaczynam być szczęśliwy.

— Radbym przedłużać ten błogi stan przez całe twe życie.

Przyjaciele rozpromienieni, zadowoleni z siebie, filozofy z nauki,

a w życiu naiwni, cieszący się młodością i zdrowiem, poszli na heidelberskie piwo i chude bifsteki.

* * *

Po dwóch miesiącach długich marszów w górach, niebezpieczeństw i zachwytów, wesołych przygód, zbliżania się do ludu, żyjącego z ciężkiéj pracy rąk a walczącego z potężną i nieubłaganą naturą, opaleni, wychudzeni, lecz o żelaznych muskułach, uśmiechnięci radością, dumni ze zdobytéj energii wrócili.

Pożegnali się w Frankfurcie krótko, serdecznie.

— Edziu, ja jestem wasz na całe życie, te były ostatnie słowa młodego filozofa.

V.

Minął rok drugi na skrzydłach marzeń, nieokreślonéj tęsknoty i ciężkiéj pracy.

Młody filozof zyskiwał uznanie profesorów i sympatyę kolegów. Oprócz wybitnych zdolności, posiadał wytrwałość i fantazyę, ten wielki dar nieba i miłość nauki.

— Zostań tu z nami jeszcze lat parę, a możesz być apostołem filozofii w swym kraju. Nauka ta, o ile słyszałem, jest zaniedbaną w Galicyi, a nawet na wszystkich uniwersytetach w Austryi.

Zdanie znakomitego profesora, powiedziane do Gustawa, po długich z nim dysputach, w obecności młodzieży, podniosło go o całą głowę nawet wpośród Niemców.

Kilku bogatych uczniów prosiło go o udzielanie im prywatnych wykładów ofiarując wysokie honorarya. Pokazywano go sobie wzrokiem i szeptano gdy przechodził.

Gustaw mimo skromności, zaczął nabierać wiary w siebie i téj pewności jaką daje uznanie.

Być apostołem w swym kraju téj nauki nauk, téj wiedzy wiedz ludzkich!.. Myśl ta upajała go. Być kolegą Edwarda, razem z nim pracować. Być...

Fale gorącéj krwi oblewały mu twarz. Bał się marzyć o takiém szczęściu. Marynia w jasnéj sukience podająca mu liść tajemniczéj paproci, stawała przed jego oczyma. Zamykał je — stała. Uciekał nad brzegi Nekaru — stała. A odchodziła dopiéro wtedy, gdy zwracał się do ubóstwianéj, wiernéj kochanki.

Do Basi pisywał coraz rzadziéj, brakło mu materyału, lecz od pół roku coraz częstsze odbiérał od niéj listy.

Skarżyła się na tęsknotę, nurtującą jéj serce, na miłość, pożérającą jéj duszę. Listy bywały komiczne przez swoją górnolotność.

Bał się tych skarg, tych nurtów tęsknoty i ognia miłości. Po każdym odebranym liście rozdrażniony i zdenerwowany, nie mogąc pracować, uciekał nad brzegi Nekaru.

Na falach szumiących wód stawała Marynia w jasnéj sukience.

Wyciągał do niéj ręce, błagając pomocy.

Uśmiechała się wesoło, podając mu przez fale rzeki, szarawe mgły i zielone łąki, tajemniczy liść paproci.

Na parę tygodni przed wakacyami, otrzymał list od naczelnika, ojca Basi.

Kochany panie zięciu!

Sądzę, że dosyć téj filozofii. Będąc doktorem praw, przez dwa lata można było zjeść wszystkie filozofie na świecie.

Mógłbyś je zjadać choćby jeszcze dziesięć, gdybyś był sam, gdybyś nie dźwigał świętych obowiązków, gdybyś nie był kochany i gdyby nie czekały na ciebie miłość oblubienicy—inaczéj przyszłéj żony — dom i rodzina.

Z naszéj strony nawet w myśli nie egzystuje sprzeniewierzenie. Kazałeś czekać rok, czekaliśmy, czekała Basia. Kazałeś czekać dwa, czekaliśmy dwa... Lecz czekać w nieskończoność dla dziewczyny, niepodobna! Mam nadzieję, że i tybyś nie chciał staréj panny za żonę. Ty, od sześciu lat zaręczony! Cóż dopiéro mówić o innych, obcych. Powiédz sam, ktoby ją wtedy chciał?

Opinia ludzi uczciwych zaczyna się dziwić. Boję się o ciebie, albowiem wyroki jéj są sprawiedliwe, lecz nieubłagane i straszne.

A więc chłopcze nie ma rady, zbiéraj manatki (książki radzi Basia wysłać frachtem, bo trzy razy taniéj) i przyjeżdżaj. Czeka cię jedno gorące serce, bijące dla ciebie, tylko dla ciebie i rodzina kochająca cię jak syna i brata.

Nie zwlekaj długo z odpowiedzią.

Twój kochający cię teść
Radca dworu *Hipolit Wiewiórkowski.*
c. k. naczelnik sądu wyższego.

List rozłożony leżał na stole, Gustaw chodził po pokoju blady, zamyślony. Z ruchów czuć było, że jest zdenerwowany i zrozpaczony.

— I czegóż jestem zły i ogłupiały wieścią, która musiała przyjść, powinna przyjść i przyszła.

Mogła przyjść w szlachetniejszéj formie, lecz tu nie o formę idzie i o jéj szlachetność, lecz o prawdę.

Prawdą jest, że od sześciu lat jestem narzeczony Basi, że nie dostrzegłem cienia z jéj strony zdrady, że była i jest mi wierną, że zbrodniąby było robić z niéj starą pannę.

To wszystko wiedziałem i dlaczego list jéj ojca, jest dla mnie piorunem z pogodnego nieba? Dlaczego? dlaczego? filozofie?

Zatrzymał się przed stolikiem, pochwycił książkę i rzucił ją z całéj siły o stół.

Zostałem pochwycony w kleszcze! sam w nie wlazłem, poddałem kark pod jarzmo i zmarnowałem życie, szczęście, przyszłość.

Zanurzył palce we włosach i zatargał.

— Dobrze mi tak, nie należało bawić się w sentymentalną sielankę, lecz trzeźwo patrzéć na świat. Przyjaciel ostrzegał, oburzał się, uciekałem... Dziś chcę uciec przed samym sobą.

— Co ja teraz pocznę Boże, Boże!

Załamał ręce, szukając deski zbawienia. Wszędzie szare morze powszedniości i obowiązek, mus, który go chwytał za gardło, i topił w tém morzu.

Straciłem spokój, sen, możność pracy, istotę moich marzeń i pragnień. Czémże ja dziś jestem? Niedouczonym filozofem, a czém będę? Zjadaczem chleba i rzemieślnikiem chleba, a to wszystko dlatego, że będąc dzieckiem, zabawiłem się w zaręczynową sielankę. I za to zostaję przykuty do taczki na całe życie.

— Ja jéj nie kocham — zawołał i rzucił się na łóżko, kryjąc z bólu i upokorzenia twarz w poduszki.

Pierwszy raz powiedział głośno przed samym sobą, że nie kocha swéj narzeczonéj, boi się zostać jéj mężem, drży przed powszednością pożycia z nią małżeńskiego.

Zerwał się.

— Cóż zbuduję rozpaczą? Pojadę i jeszcze uproszę jeden rok... Jeden rok w życiu młodych ludzi, cóż to znaczy?

A może dobry Bóg...

Wzniósł oczy w niebo i westchnął.

Rozumiał, że tylko szczęśliwy traf może go wybawić z objęć rodziny Wiewiórkowskich i uścisków Basi.

— Idźmy „*von Fall zu Fall*,“ od wypadku do wypadku, nie ma innéj rady! Austryacka polityka kroczy temi samemi szlakami i jak dotąd nieźle jéj się powodzi!

Wyszedł pokrzepiony na duchu.

— Opinia poczciwych ludzi patrzy, słucha, skora do pochwycenia kamienia na biédaka takiego jak ja... Uczciwi, uczciwieby mnie zamordowali i uczciwie pogrzebali, za to, że jak mówi znakomity niemiecki filozof, mogę w kraju mym być apostołem nauki, nauk ludzkich... Poczciwi ludziska, ukamienowalibyście apostoła, jak żydzi jerozolimscy Św. Szczepana!.. Wielużeście już ukamienowali swą konwencyonalną uczciwością.

Wszedł do biura telegraficznego, napisał depeszę do radcy dworu Wiewiórkowskiego z jednego wyrazu:

„przyjeżdżam.“

— Jechać muszę, zatrzymam się w Krakowie, naradzę z Edziem, zobaczę!

— Zobaczę Marynię i jéj matkę — umyślnie zawołał głośno, aby ucieleśnić tę myśl i spojrzéć jéj śmiało w oczy.

Uczuł ognie na twarzy.

— Czyż ja ich dawniéj nie kochałem? Czyż ich nie kocham od chwili pierwszego poznania?

— Inaczéj, inaczéj — wydobywało się z głębi serca dojmującym a jednak rozkosznym bólem.

— To wielka pani o piękném nazwisku, pewno i posag będzie miéć. Dziś już dorosła panna, dystyngowana, bywająca w wykwintnych towarzystwach — nie spojrzy na nieśmiałego, ubogiego chłopca. Dla mnie dosyć Basia.

Westchnął i zaczął marzyć na temat wyżyn, na które postawił Marynię, niedościgłych dla niego.

Smutno mu było, tęsko, żałośnie.

— Byle rok uratować. Wiedzo, kochanko moja, ty na każde wezwanie przychodzisz, stajesz przy mym boku. Ty, wielka pani, nie gardzisz i najbiedniejszym, zawsze tajemnicza, uśmiechnięta, niepokalana. Ty jedna mi zostaniesz, gdybym tylko mógł wytrwać i być ci wiernym!

Poszedł do profesora mistrza swego pożegnać się. Zastał go w gabinecie, zasłanym książkami przy pracy.

Po przyjacielskiéj pogawędce na pożegnanie odezwał się stary filozof.

— Wrócisz przecie mój ukochany uczniu. Tém więcéj powinieneś wrócić, że należysz do narodu, posiadającego wiele osobników zdol-

nych, lecz mało wytrwałych. Mógłbym wyliczyć najmniéj dziesięciu twych rodaków, odznaczających się wielkiemi zdolnościami, na tutejszym uniwersytecie. Mimo to, nauka nie ma z nich żadnéj pociechy. Jedni pędzą wódkę i woły pasą, drudzy ludzi kłócą, mówiąc, że ich bronią... Trzeci nie pamiętam co robią — i co mnie to obchodzi. Ty jeden, mam nadzieję, wytrwasz. Zatém, kochamy, młody mój kolego, do widzenia, wracaj z nowym zapasem sił żywotnych i energii. Chcąc wytrwać, trzeba ukochać naukę. Ty ją kochasz, a więc wrócisz.

Podał mu serdecznie rękę. Gustaw wzruszony i wdzięczny pocałował mistrza w ramię.

— Nazwał mnie kolegą—szeptał idąc do domu,—wierzy, że wrócę, że kocham naukę. Wrócę, żebym miał paść, a opinia uczciwych ludzi całego Lwowa miała mnie kamienować. Ucieknę przed pociskami i schowam się tu. Przyrzekam ci, stary mój mistrzu, i tobie, ukochana filozofio...

VI.

O godzinie ósméj wieczór przyjechał do Krakowa.

Na stacyi, uprzedzony telegramem, przywitał go Edward.

— Nie czekałeś na mnie w Heidelbergu?

— Otrzymałem rozkaz powrotu od ojca.

Skłamał, bojąc się powiedzieć prawdy.

— Od ojca — powtórzył zdziwiony Edward — od ojca? Nie pojmuję dlaczego, jedna chyba słabość.

— Nie pisze o słabości — pochwycił Gustaw.

— Być może, że zatęsknił za jedynakiem. I to najprędzéj. Chodź, rzeczy odeślij do mego mieszkania, a sami do kobiét. Czekają na plantach.

— Z podróży, w tym stroju?

— Wyglądasz bardzo interesująco, dochowałeś się młodéj, rzadkiéj brody romantyka. Chodź, chodź, kobieciny moje pragną cię zobaczyć jaknajprędzéj. Dwa lata, to dwa wieki dla rosnącéj na drożdżach młodości.

Ujął Gustawa i sprowadził po kamiennych schodach na chodnik krakowskiego bruku.

— Podaj mi rękę, poprowadzę cię jak tryumfatora, lub raczéj nieśmiałego filozofa, wystraszonego wirem życia naszego miasteczka.

— Nie masz pojęcia, jak pragnę zamieszkać w tém miasteczku obok ciebie — szepnął wzruszony Gustaw.

— Kraków chociaż ma wielkie wady partykularza, ciągnie do siebie ludzi nauki.

— Ja bo nic nie pragnę od świata, tylko aby mi było wolno pracować w ciszy i spokoju.

— Zdaje się na pozór, że to nic — odpowiedział Edward wesoło — a jednak są to wielkie wymagania. Zobaczymy co będzie, bylebyś się nie dał i w walce wytrwał. Cieszę się, że cię widzę, że znów jak dawniéj zagościsz wśród nas i że nareszcie udało mi się utrwalić cię na drodze jedynie dla ciebie użytecznéj. Teraz jestem już pewny, że z niéj nie zejdziesz, dlatego dzień dzisiejszy, jest dniem mego tryumfu.

Gustaw zgnębiony milczał.

— Otóż i moje kobieciny — zawołał Edward. — Mamusi włosy zaczynają się srebrzéć na skroniach. Za to Marynia, patrz, już nie pensyonarka, ani podlotek.

Kobiéty, zobaczywszy zbliżających się, powstały.

Marynia, rozwinięta w pełni i sile młodości, szła jak królowa.

Gustaw zadrżał, zmieszał się.

Nie była to ani pensyonarka, którą całował w twarz, ani podlotek na górach Zimnéj-wody, lecz kobiéta w majestacie swych czarów.

— Nareszcie stęskniony za krajem wracasz pan do nas.

Młody filozof oniemiał. Stała przed nim kobiéta, o któréj marzył, widział ją na falach wód Nekaru w swych snach, lecz jakaś inna.

— Nie poznajesz mnie pan — zawołało dziewczę wesoło.

— Dajże mu przyjść do siebie, oprzytomniéć, otrząść się z zachwytu — odparł za Gustawa Edward.

— Niepoprawny, nieprawdaż — mówiła uśmiechając się Marynia.

— Edzio mnie onieśmiela i w kłopot wprowadza.

— Nawet filozofów — spytała.

Nadeszła matka.

— Cóż za zmiana, zaledwobym pana poznała.

— Z młodziutkiego doktora lwowskiego, filozof heidelberski poważny, nieco uroczysty, patrzący na nas, jeśli nie z politowaniem, to z konwenansową łaskawością.

— Przekonywam się, że siostra w pewnym kierunku przewyższyła brata — rzekł Gustaw, całując w rękę matkę.

— Druga edycya...

— Czy poprawna Mamusiu?

— W ozdobném wydaniu! — dodał Gustaw.

— Jak na filozofa, zręcznie i zgrabnie — dokończył Edward. — Ceremonie powitania skończone, lody prysły i już swobodnie, jak starzy przyjaciele, chodźmy do domu na herbatę.

Gustaw ochłonął i odetchnął.

— Chodź pan wśród nas, Edzio pójdzie naprzód, tymczasem wyspowiadasz się z całych dwóch lat.

— Dwa lata minęły jak sen — odparł, prowadząc matkę, gdy Marynia szła obok niego.

Kobiéty milczały.

— Ten Kraków, ten Kraków — zawołał — ze swą zielenią, staremi murami... Przyczajone pamiątki wyglądają z każdego załamu... Jakiż to ma urok dla mnie.

— A ponieważ pan w nim zamieszkasz — rzekło poważnie dziewczę — i razem z Edziem będziesz rozsiewał światła wiedzy, powinieneś być uradowany.

— Szczęśliwy! gdyby się to stało, gdyby się stać mogło.

— Ależ to jedynie od pańskiéj woli zależy. Inaczéj nacóżby się przydały lata ciężkiéj pracy? Czy masz zamiar rzucić filozofię?

— Nie, nigdy — zaprzeczył z entuzyazmem. To jedyna, wielka nauka nauk.

— A zatem?

Gustaw milczał.

— Nie indaguj — zwróciła Maryni uwagę matka.

— Przepraszam — rzekło dziewczę.

— Ależ ja nie mam tajemnic, panna Marya nie indaguje! Zapytuje tylko, ma prawo pytać. Lecz panie wiecie, że nie jestem sam. Obowiązki, ojciec — Lwów...

— Największym obowiązkiem jest spełnić zadanie życia, iść do obranego celu — dodała poważnie dziewczyna.

— Prawda, niezawodnie — zawołał. — Spełniać zadanie życia, to rozkosz... lecz...

Urwał i nie śmiejąc spojrzéć na kobiéty, patrzał w przestrzeń.

Kobiéty zamilkły, powaga zapanowała.

— Byłam pewna — odezwała się po chwili Marynia — że tyle będziemy mieli sobie do powiedzenia, że i tydzień nie wystarczy, że każde z nas będzie chciało miéć nieustannie głos.

— Nie należało rozmowy sprowadzać na drogę indagacyi — oświadczyła matka.

— Każda prawie rozmowa staje się indagacyą. Filozofie broń mnie.

— Niezawodnie, tylko, że ja zanurzony przez dwa lata w samych abstrakcyach i dociekaniach, wpadłszy w wir praktycznego życia, jestem poprostu dziki.

Powiedział to z tak komicznym patosem naiwności, że kobiéty rozśmiały się. Rozśmiał się i Gustaw.

— Mnie się zdaje, że dopiéro teraz lody prysły — rzekła matka.

— I popłynęły — dodała Marynia. — Wracając, wstępowałeś pan do Berlina?

— Musiałem. Mamy tam z Edziem przyjaciela Bolka *Shöngeist'a*, jak mówią Niemcy. Prawdziwy *Shöngeist*, dusza i natura na wskroś artystyczne. Wesoły, szlachetny, kocha sztukę, rozumié ją, odczuwa. Odżyłem przy nim. Chodziliśmy po galeryach i rozprawiali, łącząc filozofię ze sztuką. Bolek wybornie się do tego rodzaju dysput nadaje.

— Wesoły? — spytała Marynia.

— „Jak dziecko."

— „Jak zbójca krwi chciwy" — dokończyła z uśmiechem.

— To nic, lecz śmiały, serdeczny, przychlebny — kobiéty za nim przepadają! Poznacie go panie, wybiéra się do Krakowa.

I znowu niewiadomo dlaczego raptownie zamilkli zamyśleni.

— Patrz pan, oto kamienica, a na drugiém piętrze nasze mieszkanie.

W oknie ukazał się Edward.

— Chodźcie, jestem stęskniony za moim młodym kolegą.

Mieszkanie znalazł Gustaw urządzone skromnie, lecz z artystycznym wykwintem. Czuć w niém było smak i poczucie piękna jego mieszkanek.

Marynia zaprowadziła go do okna. Kopiec zielony, spiczasty, otoczony czerwonym murem i daleko siniejące wzgórza. Widok szeroki, rozległy, chwytający za serce.

— Gdybym ja mógł miéć kiedy w życiu podobne, z podobnym widokiem mieszkanko!

Westchnął i zamyślony dodał.

— Pojmuję dlaczego ludzie, mieszkający długo w Krakowie, nie mogą już nigdzie indziéj mieszkać.

— O i ja — pochwyciła Marynia — jużbym za żadną cenę nie wróciła do Lwowa.

— Kochasz Kraków, mieszkaj w nim — oświadczył spokojnie Edward, zwracając się do młodego kolegi.

Gustaw był smutny i zgnębiony. Spoglądał ukradkowo na Marynię, powtarzając w duchu:

— To nie ta, nie ta z Zimnéj-wody, dająca mi liść tajemniczéj paproci. Dziś wielka dama, pani, królowa.

Edward odczuł zakłopotanie przyjaciela i nieznacznie przy herbacie, starał się wprowadzić go w ukochany jego świat.

Wpadli na Grecyę, do źródeł ducha ludzkiego, do zarodków filozofii i ucieleśnienia przeczuć piękna.

Gustaw powoli się ożywiał i zapalał. Wymowa jego rosła, myśli się grupowały w porywające obrazy, wiedza rozlewała przy blaskach natchnienia i głębokiéj erudycyi.

Kobiéty zasłuchane, zapatrzone, milczały, porwane wymową i wspaniałemi obrazami.

— Ta Grecya, ten cud historyi, narodziny rozumu i wolności, przy których człowiek spokojnie zaczął się przypatrywać swemu przeznaczeniu. Grecyo starożytna, cywilizacyo na pięćset lat przed Chrystusem, ubóstwianie życia, wołanie poetyczne młodzieńczéj duszy zmienione w kult... Grecyo, ja ciebie kocham, podziwiam, czczę.

— Do Grecyi, do Aten, na Akropol — zawołał upojony Edward — jedźmy tam jutro!

Tym serdecznym wykrzyknikiem zbudził się filozof-poeta i zamilkł.

Kobiéty również przytomniały, cofając zwolna swe duchy z błękitnych mórz, lazurowego nieba i białych marmurów Akropolu. Ocucone, odetchnęły głęboko. Gustaw w ich oczach urósł na wielkość. Mimowoli zaczęły się korzyć i podziwiać go w głębokim zachwycie milczenia. Nastrój był uroczysty.

— Tak, tak moje panie, to już nie Gucio, lecz mąż o potężnéj, szerokiéj inteligencyi, pełen głębokiéj nauki i promienistego natchnienia.

Gustaw milczał. Wrodzona jego skromność i nieśmiałość, wystąpiły.

— Nie onieśmielaj mnie jeszcze więcéj — szepnął.

— A do tego dodajcie — mówił daléj Edward — tę naiwną nieświadomość swoich sił i płynącą z niéj skromność. Czary te najwięcéj mnie ku niemu pociągają.

Gustaw nie odpowiadał, Edward położył mu rękę na ramieniu.

— Chodź, przebiegniemy rynek, spojrzysz na wieżę Panny Maryi, oblaną srebrnemi blaskami księżyca, na kopułę Św. Piotra, Wawel, Wisłę. Potrzebujesz po dwóch latach nieobecności wykąpać się w rodzinném powietrzu. Guciu, odgaduję twoje myśli.

Palcami odgarniał włosy z jego czoła.

— Profesor będzie z ciebie świetny, masz jasność, zapał i czary poezyi. Temi przymiotami zdobywa się i przykuwa słuchaczy... Chodź! chodź!

Gustaw się zerwał.

— Do widzenia, jutro przy herbacie — powiedziała serdecznie matka.

Pocałował ją w milczeniu w rękę.

Gdy mu Marynia podała swoją, zapytał nieśmiało:

— Czy wolno?

— Ależ proszę, będzie to dla mnie zaszczyt.

— Gdzie się to podziały te czasy, kiedy byłem dla pani Guciem — szepnął smutno.

— Gucio zmienił się w Gustawa — rzekł Edward. — Tylko, kochana ty głowo, nie chodź z gałęzią cyprysową.

— Jestem spokojny, romantyczny Gustaw padł, a ożył filozof.

Rozśmiali się wesoło.

— Czasy romantyzmu jak drapnęły przed dwudziestu laty, tak wciąż drapią w wieczność.

Wyszli razem.

— Coś go dręczy — pierwsza odezwała się matka.

— Wygląda, jak gdyby był skazany na dożywotnie więzienie — dorzuciła Marynia.

Wyjrzały oknem, młodzi ludzie mknęli, zajęci sobą, ku rynkowi.

Księżyc rzucał nieśmiałe przypomnienia tęczy na białe chmurki posuwające się cicho, leniwie, po szarawo-niebieskawém sklepieniu. Rynek był pusty, wieżyczki i korona Panny Maryi sennie i tajemniczo kąpały się w srebrném świetle. Odgłosy kroków ich powtarzały przyczajone echa.

Szli w milczeniu. Edward nie śmiał się rozpytywać, badać; czekał na zwierzenia. Gustaw rad, że może milczéć, milczał.

Przez Wiślną dostali się na planty. Okazały gmach gotycki, o czerwonéj cegle, przecinał im drogę.

— Nasza „*Alma Mater*“—rzekł Edward.

Stanęli. Gustaw patrzał ciekawie.

— Za rok musisz tu mieć pierwszą prelekcyę. Będzie tłok, już ja się o to postaram.

Gustaw ujął pod ramię przyjaciela i tulił się do niego, jak gdyby wzywał jego pomocy i obrony.

Pomknęli daléj, obeszli dokoła ufortyfikowaną górę Wawelu, zatrzymując się nad brzegiem Wisły.

Płynące wody, osrebrzone księżycowém światłem, zcicha szemrały.

— Tu mi dobrze—zawołał Gustaw—siadajmy.

Usiedli na kłodzie drzewa, podparli głowy. Woda cicho szemrała i skarżyła się Bogu.

— Guciu, ty cierpisz?

— Ja się boję—odpowiedział rzewnie Gustaw.

— Czego?

— Życia, losu, ludzi...

Zamilkł, Edward nie śmiał pytać.

Przed wschodem słońca, gdy gwiazdy blask swój traciły, wrócili do domu.

Gustaw padł na łóżko. Zmęczony drogą, bezsennością, walką wewnętrzną, usnął.

Śniła mu się Marynia, jako królowa, na niedostępnych wyżynach. Mógł zaledwo patrzéć na nią, lecz zbliżyć się nie było mu wolno.

W dwie godziny zerwał się i zaczął cicho wybierać do drogi.

O szóstéj rano zbudził przyjaciela.

— Edziu, jadę—muszę. Pożegnaj panie.

— Koniecznie?—spytał ździwiony Edward.

— Rozstrojone nerwy szarpią mną.

— Daj mi słowo, że wrócisz spokojny, uśmiechnięty, wesoły... Taki sam, jak przed rokiem w Heidelbergu.

— Gdybym mógł, gdybym tylko mógł, połowę życia bym oddał.

— Zaczekaj, ubiorę się i odprowadzę cię.

— Dziękuję ci, nie ma już czasu, odpocznij...

VII.

Przed samym wieczorem zajechał do mieszkania ojca. Przyjęła go stara służąca ze łzami radości.

— Gdzie ojciec—pytał żywo.

— Cóżto panicz nie wié? Tam gdzie zawsze, na zawsze.

— Zdrów?

— Jak ryba, cóżby mu brakowało? Ucieszy się... Nic nie mówił, ale poznałam po jego oczach, że tęskni za paniczem.

Gustaw odetchnął głęboko.

— Cóż więcéj u was słychać?

— Nic, zawsze to samo. Sługa od naczelników codzień się o panicza dopytuje. Widocznie, musi ją panna Basia posyłać. I nie dziwota, biédaczka czeka długo, a już wielki czas, żeby się zamąż wydała.

Drzwi od kuchni odchyliły się, stara sługa wybiegła i za chwilę wróciła.

— Znowu służąca od naczelników chce się z paniczem widzieć.

— Powiédz, że zaraz przyjdę.

Zaczął się nerwowo, myć, ubiérać.

Wyszedł na ulicę. Twarze obce, obojętne i frasobliwe patrzały na niego szklanemi oczyma. Lwów po Krakowie wydał mu się smutnym, pospolitym.

Pomknął żywo naprzód.

— Niech robią, co chcą, lecz muszą mi dać jeszcze rok czasu! Rok czasu, a potém niech mnie ukrzyżują.

Z tém mocném postanowieniem zadzwonił.

Drzwi uroczyście się otworzyły.

Wszedł; na środku pokoju czekał na niego naczelnik z miną dyplomatycznie poważną.

— Witaj uczony heidelberczyku, witaj filozofie, a przedewszystkiém witaj, kochany zięciu — ujął głowę Gustawa w swe dłonie i ucałował.

— Kobiéty chodźcie, Basiu twój mąż—matko!...

Wbiegła naczelnikowa, za nią wolno Basia, w czarnéj jedwabnéj sukni, na znak smutku i rozpaczy, a przedewszystkiém, aby swą tuszę zakuć w czarny kolor i zmniejszyć ją. Była blada, zamyślona, poważna.

— Witamy, witamy kochanego zięcia — mówiła wesoło matka, wyciągając ręce.

Gustaw, siląc się na swobodę i pracując nad okazaniem radości poskoczył, ucałował ręce mamy, zbliżył się do narzeczonéj:

— Jesteś, mój drogi—szepnęła Basia cicho, smutnie.

— Jestem—odparł głośno.

— I już cię nie puścimy — dodał naczelnik, klepiąc go po ramieniu.

Gustawa przeszły dreszcze.

— Co nie, to nie, kochanku—dodała matka.—Dosyć się już najeździłeś, nabawiłeś i nacieszyłeś z tą twoją filozofią.

— Wielki czas do pracy i obowiązków—dodał naczelnik.

— I możeby należało coś zrobić dla serca—dodała Basia.

— Wszystko — zawołał Gustaw, i nabiérając odwagi zrozpaczonego dodał błagalną prośbę. — Lecz darujcie mi jeszcze jeden rok mojego życia. Dałem słowo memu profesorowi, że wrócę.

Zrobiła się złowroga cisza. Naczelnik założył po napoleońsku ręce, naczelnikowa przeszywała go wzrokiem, a Basia nerwowo ściągała pierścionek z palca. Ściągnięty położyła przy sobie na stole i zalała się łzami.

— Jedź—rzekł naczelnik poważnie i zimno — ale nasze błogosławieństwa nie będą ci towarzyszyć.

— Co tu długo deklamować—przerwała matka. — Jedź, ale już nie wracaj. Zagrodziłeś memu dziecku los na całe życie, zostanie starą panną, a że nie ma majątku, będzie się poniewierać wśród ludzi. To już lepiéj ją zabij — dodała tragicznie i głośno zaczęła lamentować.

Basia, stojąc tuż przy pierścionku, wciąż cicho płakała.

Naczelnik podjął z emfazą frazes „zabij ją“ i na ten temat mówić zaczął.

— Zabij lepiéj to niewinne dziecko, za to, że ci oddała serce i miłość, a chce przyszłość złożyć w twe ręce.

— Cały Lwów wié—przerwała mu żona—że przyjeżdżasz żenić się; rodzina i przyjaciele czytali telegram twój! Przyjeżdżasz i uciekasz! Co sobie ludzie pomyślą o téj biednéj dziewczynie? Dlaczego uciekł? — będą pytać. Co za straszne przypuszczenia, plotki, potwarze! I to wszystko za to, że czekała cierpliwie całe ośm lat!

— Nagroda zaiste piekielna i piekielnie obmyślana — dodał ponuro naczelnik.

— Ojcze, matko—wołał Gustaw wzruszony.

— Nie jestem twoją matką, a ty nie jesteś synem moim. Jesteś raczéj katem mego dziecka.

Basia, stojąc tuż przy pierścionku, zalewała się łzami i szeptała:

— Boże! Boże! Boże!

Tragiczność doszła do szczytu. Gustaw nie mógł jéj znieść, dławiła go w gardle. Blady, drżący, przy kurczowych bólach serca, a naciągniętych prawie do szaleństwa nerwach—zawołał:

— Zostaję!

Naczelnik roztworzył ramiona, postąpił naprzód, pochwycił Gu-

stawa i tulił do siebie. Basia wzięła pierścionek i szybko go nasunęła na palec. Przez usta matki przemknął uśmiech tryumfu.

— Tém jednem słowem — zawołał naczelnik — uratowałeś życie biédnego dziecka, siwiznę naszą od sromu i własny honor od zagłady.

Z kolei zbliżyła się naczelnikowa i głaszcząc go pocałowała w czoło, Basia, obcierając oczy chusteczką, przyłożyła usta swe do jego ust.

— Patrzaj, jakie to naiwnością swą niewinne i przywiązane — rzekł serdecznie naczelnik. Pochwycił Basię i pocałował. — A teraz kiedy zgoda, bądźmy weseli i szczęśliwi. Siadaj chłopcze. Mateczko, proszę o butelczynę węgrzyna, musimy wypić zdrowie naszych dzieci.

Posadził siłą Gustawa na kanapie. Obok niego siadła Basia, wsunęła mu w dłoń rękę i tryumfująco milczała.

— Ho, ho—rozprawiał promieniejący radością naczelnik. — Kobieciny nasze nie próżnowały!... Wyprawka jest! Jest i mieszkanko, jak klateczka, tylko ptaszków brak!... Przylecą!

Zatarł ręce i zaśmiał się.

— Na początek trzy pokoiki i drugie piętro, ale za to na „Trybunalskiéj“. Mebelki, łóżeczka, pościołka... Biedactwo tęskniąc, sama haftowała.

Pocałował Basię w czoło, Gustaw prawie bezwiednym ruchem poniósł jéj rękę do ust.

— Jest i porcelana na dwanaście osób, kredensik nieszpetny.

Weszła naczelnikowa, a za nią służąca z butelką wina na tacy.

— Najlepiéj będzie, jak sam pójdzie i zobaczy—dodała.

— Pójdziemy razem—szepnęła Basia.

— Wybornie razem i ja pójdę z wami i mamusia — wszyscy pójdziemy.

Naczelnik rozczulony zwycięstwem, zdradzał wyborny humor. Nalał wino, porozdawał kieliszki i przemowił serdecznie. Głos mu drżał.

— Obyście się tak kochali, jak my was kochamy!

Łzy zaszkliły się w jego oczach.

— Trąćcie się, pocałujcie—i duszkiem!...

Basia spełniła rozkaz. Gustaw pod wpływem serdeczności i ciepła naczelnika, pod wpływem pocałunków Basi, pod wpływem mocnego wina, pragnął ze skóry wyskoczyć.

— Guciu, za zdrowie nasze, rodziców i na podziękowanie, żeśmy ci uczciwie wychowali dzieweczkę na żonę—odrazu!...

Po drugim kieliszku ciepło mu się zrobiło.

— Trzeci i ostatni — zawołał naczelnik — zdrowie twego ojca — duszkiem!

Naczelnikowa rozpromieniona mrużyła oczy. Na okrągłéj twarzy Basi malowało się szczęście.

— Skończone, kobieciny moje, w drogę zbierajcie się, a ja tymczasem pogadam z Guciem króciutko, pięć minut. Z ludźmi kochającymi się i honorowymi nie potrzeba długich rozpraw. Chodź!...

Ujął go pod ramię i zaprowadził do swego pokoju.

— Nie chcąc, żebyś się kłopotał, moje kobiéty urządziły mieszkanko, ja postarałem się o pracę i chlebuś... U mecenasa Gagatkiewicza masz gotowe biurko i czterdzieści guldenów miesięcznie na początek. Jestem pewny, że za pół roku lub rok da ci sześćdziesiąt... Gagatkiewicz stary, a więc jak *amen* w pacierzu, ty obejmiesz po nim kancelaryę i klientelę — drugą we Lwowie; rozumiész, co to znaczy?...

Gustaw patrzał, starając się utrzymać w równowadze przytomność.

— Wiele ci ojciec posyłał do Heidelberga?

— Siedmdziesiąt pięć.

— Na miesiąc—dokończył naczelnik.—Niechże ci je teraz daje. My Basi przyrzekamy dwadzieścia pięć i obiady co niedziela dla was obojga, co wyniesie trzydzieści. Sto czterdzieści pięć na miesiąc... — Ależ jesteś magnat w porównaniu ze mną! Gdym się żenił, miałem zaledwo pięćdziesiąt. No, i widzisz, jak się wszystko dobrze składa, a tyś chciał uciekać!... I po co, powiédz teraz sam, po co?...

— Chciałem kończyć filozofię, zostać docentem i starać się o katedrę.

— Guciu, Guciu, jak to dobrze, że masz praktycznego teścia. Któż cię na to namówił? Pewno ten twój przyjaciel, paniczyk, docent, czekający na katedrę lat dziesięć. Jemu wolno, on ma za co czekać... Ale ty przez dziesięć lat karmiłbyś siebie i żonę chyba kamieniami! Filozofia ładna zabawka dla paniczów, którym ciotki zapisują po sto tysięcy guldenów.

— Edwardowi ciotka zapisała?

— Okrągłe sto tysięcy i już je od roku odebrał. Jemu wolno dąć w filozofa, ale nie tobie biédaku. On to zmarnował ci dwa lata, on cię ciągnął po Heidelbergach, on wymęczył uczonościami, które chleba nie dają.

Wpadły Krzysia z Justyną.

— Szwagierku, mama i Basia czekają, chodźmy i ojciec z nami.

Pocałowały się z nim, ja gdyby go widziały zaledwo przed godziną.

— Chodźmy, dziękuję ci, żeś mi rozwiązał zagadkę twego chwilowego uporu.

Naczelnik podał ramię żonie, Basia Gustawowi, naczelnikówny wysunęły się naprzód.

Poszli przez plac Maryacki. Basia starała się pokazać ludziom narzeczonego, który wrócił—i jest przy jéj boku.

Gdy przechodzili obok Grossa, naczelnik poprosił rodzinę na lody. Zasiedli okrągły stół po prawéj stronie z uśmiechem dumy i zadowolenia.

Młodsze siostry lustrowały przechodzącą młodzież, Basia wpatrywała się w narzeczonego wzrokiem pewności i spokoju.

Od Grossa na Trybunalską bliziutko.

Po kamiennych, starych, nieco ciemnych schodach dostali się na drugie piętro. Służąca, przyjęta dla obsługi państwa młodych, otworzyła.

Ciemny przedpokoik oświecały do połowy szklane, matowe drzwi, prowadzące do saloniku. Salonik nie wielki, przystrojony orzechowemi mebelkami, obitemi niebieskim rypsem.

Przy drzwiach rozwieszony na ścianie trzcinowy parawanik, dźwigał fotografie rodziny. Nad nim dwa oleodruki, lampa na stoliku, albumy i oprawna czerwono książka.

— Skromnie, milutko, czyściutko, aż pachnie — rzekł naczelnik, wciągając nozdrzami powietrze.

Basia spojrzała z dumą na Gustawa.

Weszli do drugiego wąziutkiego pokoju, o jedném oknie. Przy ścianie stały dwa łóżka, że ledwie można było przecisnąć się. Przy oknie umieszczono toaletę, z boku biurko Basi.

— A to gniazdeczko dla gołąbków — oświadczył naczelnik pieszczotliwie.

Na widok niebieskich kołder Basia przytuliła się do matki. Młodsze siostry nie wchodziły, zostały w salonie, aby się zadość stało moralności i skromności.

Matka głaskała przytuloną do niéj córkę, a naczelnik pocieszał, szepcąc jéj do ucha.

— Co sakrament, to sakrament, moje dziecko.

Trzeci pokoik przeznaczony na jadalny, odpowiednio był umeblowany.

Przeszli do kuchni.

Ośm rondli, ustawionych na pułce jeden obok drugiego, błyszczało imponująco.

— Pamiętajcie zaprosić nas w pierwszą oktawę ślubu na obiad! Ale-bo ty może nawet nie wiész, szczęśliwcze, kiedy twój ślub? Od jutra za dwa tygodnie, w sam dzień urodzin Basi. Zapowiedź już raz wywołana. Gdyś zatelegrafował, że jedziesz, wszystko ułatwiłem.

-- Łososie z Renu zamówione—dodała z godnością matka.

— A tyś chciał hultaju drapać!...—zawołał naczelnik.—Że wam tu będzie miło, dobrze i wygodnie, zwyczajnie jak u Pana Boga za piecem, na to przysiądz mogę.

Raz jeszcze powtórzyła się ceremonia życzeń, całusów i błogosławieństw i daléj w tym samym porządku pomaszerowano do ogrodu Jezuickiego.

Gucio szepnął Basi, że jeszcze nie widział ojca.

— Puszczę cię—odpowiedziała — ale dopiéro wtedy, gdy przejdziesz ze mną dwa razy ogród. Zaczęto mówić po mieście, że nie wrócisz. Musi więc zobaczyć cię cały Lwów ze mną i przy mnie.

W ogrodzie robiono im miejsce, kapelusze często uchylały się przed naczelnikiem. Kobiéty z zajęciem patrzały na Gustawa, z zazdrością na Basię...

Tryumf rodziny był zupełny. Naczelnik miał prawo być dumnym i powtarzać w duchu o sobie:

— Łeb jest, i kto wié, czyby mi go Metternich w danym wypadku nie pozazdrościł. Wanda po dwóch latach teraz się dopiéro przed mym rozumem ukorzyła... Niech znajdzie lepszego zięcia i lepszéj partyi nad Gucia.

Przed samym gmachem sejmowym uwolniono Gustawa.

Pobiegł jak student do klubu.

Szumiało mu w głowie, pulsa biły na skroniach. Mieszkanko na Trybunalskiéj wydało mu się więzieniem. To znowu płacz Basi, wzruszony, drżący głos naczelnika chwytał go za serce.

— Ja nie chcę zdradzać nauki, nie chcę—powtarzał.—Popełniłbym zbrodnię! Boże, Boże!—ratuj mnie!

Z tym wykrzyknikiem, nurtującym mu pod czaszką, wpadł do ojca.

Dyrektor zerwał się od kart, podprowadził do okna syna, popatrzał nań, pocałował. Wzruszony młodzieniec przytulił się do niego, jak dziecko.

— Zaczekaj—szepnął mu — trzeci rober się kończy. Nie będę już grał, pójdziemy!...

Gustaw usiadł za stołem, przeglądając dzienniki. Litery rozstępowały się i skupiały, waląc się jedne na drugie. Rozpacz zaciemniała mu wzrok i pochłonęła myśli...

Ocucił się, uczuwszy rękę ojca na swém ramieniu.

— Byłeś u naczelników?—zapytał go.

— Byłem — odpowiedział ponuro. — Zapowiedzi wyszły, oglądałem mieszkanie, za dwa tygodnie ślub, mam miejsce dependenta.

— Co?—krzyknął dyrektor—nie prawda.

— Niestety, drogi ojcze, wszystko prawda.

— Złapali cię.

— Zdaje mi się, że ja sam się złapałem.

— A ja, stary osioł, pozwoliłem na to.

— Ojcze!

Dyrektor ujął syna pod ramię, wyszli na ulicę.

— Słuchaj Guciu, musisz się ratować.

— Niepodobna bez utraty honoru.

— Przesadzasz, właśnie że podobna. Wiem wszystko o twéj sławie i uznaniu w Heidelbergu, o zamiarach, nadziejach.

— Któż ojcu mówił?

— Edward umyślnie przyjeżdżał do mnie. Wiem, że kochasz się w Maryni.

— Ojcze!

— Że ona ci sprzyja, że Edward pragnie, matka sobie życzy... Chcą, żebyś był filozofem, chociażbyś na docenturze siedział dziesięć lat. Co ich to obchodzi, gdy po ciotce odziedziczyli sto tysięcy!...

— Bogąta, piękna — mówił Gustaw — stare nazwisko, dystyngowana...

— Co cię to obchodzi, gdy ona ciebie chce, a Edward pragnie zrobić prezent nauce, z potężnéj wiedzy i inteligencyi. To jego wyrażenie.

Stanął, ująwszy syna za ręce.

— Guciu, dziecko moje, patrz, jaki cię czeka los, przyszłość, sława. I nie chcesz się ratować?

Gustaw drżał ze wzruszenia.

— Ale jak, ale jak, bez hańby i sromoty?...

— Trzeba, żeby ci naczelnikowie dali odkosza.

— Nie dadzą—nigdy!...

Poszli daléj, dyrektor się zamyślił, Gustawowi szumiały pod czaszką oderwane zdania.

— Chcą mnie—podarunek nauce, Marynia, matka — stary ród, piękność.

— Mam, znalazłem — wybuchnął dyrektor radośnie. — Jedźmy do domu.

Wskoczyli do przejeżdżającéj karetki.

Stara sługa nie chciała oczom wierzyć, że pan jéj wrócił o ósméj wieczór.

Ojciec z synem zamknęli się w pokoju.

— Mam tu — mówił wzruszony dyrektor — na czarną godzinę uciułane dwa tysiące guldenów. Dam ci z nich pięćset... Mało — daję tysiąc!... Trzeba zrobić skandal, wielki niebotyczny skandal, zatrząść całém miastem!... Biegnij za kulisy i wykradaj pierwszą lepszą ładną i młodą chórzystkę!... Jesteś przystojny, pokaż jéj tylko pieniądze, zgodzi się! Jedźcie razem do Wiednia, dziś w nocy, lub jutro rano. Nic się nie bój o Marynię, sam uprzedzę Edwarda. Ratujmy się, chłopcze, jak można... Pamiętaj, że to raz na całe życie!... Nie miéj wyrzutów sumienia: naczelnik, mądra ryba, znajdzie męża dla Basi w stosie dependentów... Ty filozof, sława Heidelberga, dependentem i mężem nalanéj sadłem dziewczyny... Edward mówi, że to dla ciebie śmierć—ratuj się od śmierci!...

Dziesięć stówek włożył do pugilaresu i schował je w boczną kieszeń surduta syna.

— Guciu, uściskaj mnie i przebacz, jeżelim swoją nieoględnością i roztargnieniem zgotował ci taki los. Lecz któż mógł zgadnąć, czém ty możesz być?...

Dyrektor otarł chustką łzy.

— Ratuj siebie i mnie przed wyrzutami sumienia... Ostro do dzieła! Niech cię Bóg prowadzi. A wybierz najładniejszą. Uciekać z brzydką—śmieszne... Gdybym ja był na twém miejscu!... Mój kochany filozofie, pocałuj mnie i do widzenia. Telegrafuj z Wiednia, przyślę ci rzeczy i sam do ciebie przyjadę... Śpiesz się.

Uścisnęli się—Gustaw wybiegł.

— Jeszcze nie wygrałeś, panie naczelniku—zawołał dyrektor.— Dziecka ci mego nie dam marnować! Jeszcze takiego dziecka, przyszłą sławę kraju.

Wdział kapelusz z fantazyą na głowę.

— Oddycham i czuję, że wielkiego „szlema“ wytnę moim partnerom, grając z dziadkiem, aż się za głowę schwycą.

Zastanowił się.

— Czy tylko Gucio potrafi złowić jaką chórzystkę!... Gdybym to ja był na jego miejscu i miał mniéj o dwadzieścia pięć lat.

Młodość, gorąca krew i chęć ratunku cuda robią.

Skandal kolosalny, piramidalny — ha, ha...

Gustaw z wielkim impetem wpadł do gmachu teatru. Spytał się o drogę za kulisy, wskazano mu szeregi długich kurytarzy.

Miał szkolnego kolegę, który został aktorem i jego szukał.

Wpuszczono go, wszedł, kolegi nie zastał, lecz za to cały chór żeński w trykotach, przebrany po męzku.

Nie umiał się obracać w tém swobodném towarzystwie, przylepił się do kurtyny, stał i patrzał. Nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt go nie zaczepiał. Raz tylko przeszła obok niego zgrabna szatynka i przeszyła go wyzywającém spojrzeniem.

Nie skorzystał z uśmiechu losu, nie przemówił — przepadło!...

Skończył się akt, chór znikł w garderobach, Gustaw smutny i onieśmielony wyszedł.

— Rada ojca niewykonalna dla mnie. Nie jestem zdolny do tego rodzaju awantur. Stanęła mu przed oczyma Marynia.

— Nie śmiałbym jéj spojrzéć w oczy, spaliłbym się ze wstydu!... Nie, to niemożliwe wobec moich pojęć o godności ludzkiéj i mego honoru.

— Wiem, co zrobię — zawołał — pojadę do Edzia, powiem mu wszystko, niech on mnie ratuje!...

Poszedł na dworzec sam, bez młodéj i ładnéj chórzystki. Kuryerem odjechał do Krakowa.

W drodze nie zmrużył oka.

W Krakowie zabrakło mu odwagi spowiadać się przed przyjacielem.

— Co ja mu powiem?... Zaręczyłem się z młodą dziewczyną przed sześciu laty, lecz ponieważ siostra twoja dostała w posagu sto tysięcy, proszę o jéj rękę — a dziewczynę, któréj zmarnowałem młodość, porzucam, ze spokojem egoisty i zimną krwią nikczemnika. — Czyż ja to mogę powiedziéć — mogę to zrobić. Czyż etyka moja i przeszłość całego życia na to pozwolą?...

Zamyślił się, wodząc nieprzytomnie wzrokiem.

— Nie chcę być dependentem, nie mogę — nie potrafię. Mam wstręt do tego rodzaju zajęcia!... Nie, nigdy, raczéj śmierć!...

Odetchnął głęboko!

— Ucieknę, zagrzebię się w nauce i nie pokażę się, jak za dwadzieścia lat.

Chwycił się téj myśli, pobiegł do kasy, kupił bilet do Wiednia, mając zamiar na Moguncyę dobić do Heidelberga.

Z początku ucieszyło go to postanowienie. Uciec, ostatni i jedyny ratunek dla słabych, nie umiejących walczyć charakterów!...

W Wiedniu ochłonął. Wstyd zaczął mu palić twarz. Nie był dzień cały u narzeczonéj... Wieść o jego ucieczce rozbiegła się po mieście... Wyobrażał sobie żal Basi, oburzenie jéj matki, rozpacz naczelnika, wydzierającego sobie włosy z głowy i jego łzy. Łzy te piekły go rozpaloném żelazem. Przekleństwa dochodziły go tu, słyszał je!...

Stał na Grabenie, ludzie go potrącali, mierząc gniewnie wzrokiem. Cofnął się i niespodzianie zobaczył sklep jubilera.

Wszedł, kupił bransoletkę z ametystem za dwieście guldenów.

— Skończyły się moje świetne projekta, czarowne sny, moje nadzieje, moja sława i praca, dla któréj uznawałem cześć. Jak mi ciężko, jak mi smutno!...

— Wracajmy!

Szedł powoli, potrącany przez ludzi, zamyślony, nieprzytomny, w półśnie lunatycznym... Żegnał młodość, czarodziejski świat historyi i filozofii, w którym żył całe dwa lata i kochał go.

— Boże, Boże, odejmij odemnie ten kielich goryczy—powtarzał, gdy ból serca dojmująco nim wstrząsał.

Na dworcu kolei północnéj odpoczął i kuryerem odjechał.

Przy blasku różowéj jutrzenki zobaczył zielony, smutny kopiec i wieże Krakowa.

Pociąg gwałtownie wpadł na dworzec. Nie ruszył się z miejsca, bał się wyjrzéć, siedział jak przykuty. Piętnaście minut przestanku wydały mu się wiekiem tortury...

Nareszcie pociąg ruszył, poskoczył do okna, patrzał.

Smukłe wieżyczki Panny Maryi i na Wesołéj żółty, stary kościołek przytulony do garści drzew, smutno go żegnały, odkrywając zielone wały i czerwone baszty Wawelu.

Pociąg zadudnił na Wiśle.

— Krakowie, przyjacielu, Maryniu... wszystko, co ukochałem w życiu, żegnajcie—żegnajcie na zawsze...

Nie mógł dłużéj wytrzymać, łzy wytrysły mu z oczu, nogi się pod nim ugięły—usiadł.

Skończyło się... Rozkosznie marzyłem, srodze mnie zbudzono.

Wytężył siły, aby zapanować nad sobą.

— Dwa lata szczęścia i swobody w życiu człowieka — może i tyle za dużo.

Zacisnął usta, aby powstrzymać nowy potok łez.

— Daléj w drogę trzeźwego życia—precz z marzeniami...

Zaśmiał się gorzko przez łzy.

Nie chciał już myśléć, gdyż każda nowa myśl była wspomnieniem, krwawiącém mu serce.

— Czém zawiniłem ludziom i światu?...

Nie chciał na to pytanie odpowiadać. Zerwał się, otworzył okno i wzrok zanurzył w tajemniczo siniejące góry na południu.

Marzył o Grecyi, o tym cudzie ludzkości. Stał na Akropolu, patrzał w twarz Jowisza Fidyaszowego, rozmawiał z uczonymi.

Uspokojony przyjechał do Lwowa.

Kazał się wieść wprost do mieszkania naczelnika.

— Guciu, to ty—zawołał ojciec Basi, wyciągając ręce.

Drżały mu i wargi drżały, broda się trzęsła.

— Jesteś!

Rozpłakał się.

— Rozeszła się wieść, żeś uciekł z chórzystką, widziano cię za kulisami. I za cóż takbyś się mścił na nas? Cóżeśmy zawinili? Czy to, że sierotę przygarnęli i ogrzali ciepłem własnego serca?

— Ojcze, zapomniałem o ślubnym prezencie i dlatego wpadłem na parę godzin do Wiednia.

Wyjął safianowe pudełko i podał go naczelnikowi.

— Taki kawał drogi i po co? U naszego Ostrowskiego również są ładne rzeczy.

Otworzył.

— Prześliczna, ametyst wspaniały... Idę do kobiét. One jedne nie wierzyły. Basia stanowczo powiedziała:

— Gucio nie jest podły i zamknęła wszystkim usta.

— Już to nasze kobiéty znają naszych mężczyzn. Chodź, rozpaczałem, a teraz serce z radości chce mi wyskoczyć! Wiész, z czego się najwięcéj teraz cieszę, że mam za zięcia szlachetnego człowieka.

— Jestem tak zmęczony — rzekł Gustaw — że ledwo się mogę utrzymać na nogach. Pozwól mi pojechać do siebie odpocząć.

— Zapomniałem, nie spałeś dwie noce! I po co? W imieniu Basi daję ci urlop do jutra.

Pocałował go w czoło, uścisnął serdecznie, pochwycił pudełko— Gustaw wyszedł.

W domu rozebrał się i położył. Stara sługa pobiegła po dyrektora, wiedziała, gdzie go szukać...

Wszedł po cichu, Gustaw w gorączce drzémał, zbliżył się na palcach do łóżka, kładąc rękę na czole syna.

Przebudził się, ujął rękę ojca i przycisnął do ust.

— Wszystko stracone—szepnął—prócz uczciwości.

W tydzień późniéj odebrał Edward list od Gustawa, zawiadamiający go o swym ślubie.

Był napisany spokojnie, lecz w każdém zdaniu czuć było tragiczną grozę, ból wstrząsający nerwy, wywołujący współczucie.

Edward z listem w ręku wszedł do pokoju matki.

— Przegraliśmy!—zawołał smutno.—Ja tracę przyjaciela i kolegę, Marynia męża, nauka olbrzymią siłę.

Zrozpaczony chodził po pokoju.

— Moje dziecko, to było do przewidzenia—odpowiedziała matka, skończywszy czytać podany list. — Gdyby postąpił inaczéj, nie byłby tém, czém jest. Ty miałbyś kolegę, nauka siłę, ale Marynia nie miałaby za męża uczciwego człowieka—gdy Bolek?!...

— Ależ Bolek przyjemny, serdeczny, sympatyczny, *Schöngeist*, prawdziwy *Schöngeist*... Kobiéty go psują, bałamut, urodzony kokiet... wszystko, co mama chce, lecz nie ma téj głębokości, szerokich poglądów wielkiéj wiedzy, oryginalności i fantazyi. Mamo, Gucio—to zmarnowana potęga!... Taka to już nasza dola.

Braciejowa, 20 grudnia 1892 roku.

Sewer.

OŚWIATA I WIEDZA PRZYRODNICZA.

Oświatą nazywamy ten potężny prąd w historyi myśli ludzkiéj, który od XVI-go stulecia ogarnął wszystkie ucywilizowane społeczeństwa Europy, który wytworzył typ nowożytnéj umysłowości, który, zacząwszy od przekształcenia poglądów na budowę świata, wycisnąwszy piętno swoje na wszystkich zakresach myśli i czynu, skończył na przeistoczeniu całéj organizacyi społecznéj.

Objawami prądu oświaty w rozmaitych dziedzinach były: niezależność badania naukowego i odrzucenie powagi w zakresie myśli naukowéj; wyzwolenie z pod ucisku form pseudo-klasycznych i stworzenie nowéj, czysto ludzkiéj sztuki, któréj przedstawicielami w poezyi są Lessing, Goethe i Schiller, a najbliższym dziedzicem romantyzm XIX w. w sztuce.

Dlatego téż nie możemy lepiéj scharakteryzować prądu jak następującém, przez Kanta podaném określeniem:

„Oświata, jestto wyjście człowieka z niedojrzałości przez własną winę spowodowanéj. Niedojrzałością jest niezdolność posługiwania się własnym rozumem bez przewodnictwa innych; z winy własnéj płynie ta niedojrzałość, gdy przyczyną jéj nie jest brak pojęcia, lecz brak odwagi i postanowienia iść za głosem własnego pojęcia. *Sapere aude!* Miéj odwagę polegać na własnym umyśle! — to jest hasło oświaty."

To zwrócenie się myśli od powagi tradycyi, od dogmatycznie narzuconych jéj poglądów do samodzielnego badania, do uzasadnienia wszystkiego co ma być przyjęte, jest właśnie cechą oświaty. Dlatego téż oświata zaczyna się od zwątpienia, od krytyki tradycyi, od negacyi, kończy się na pracy pozytywnéj, syntetycznéj, na stworzeniu

nowego poglądu na świat, który zastępuje miejsce tradycyjnego. Cechą więc wszystkich nowożytnych poglądów na rzeczy, wypływających z prądu oświaty jest racyonalizm: poglądy te opierają się na danych rozumu.

Nie znaczy to, aby oświata koniecznie burzyła wszystkie wierzenia dawne; przeciwnie wiele z tego, co było poprzednio przedmiotem wiary, wraca napowrót, ale już krytycznie uzasadnione, osnute na rozumie. Oświata nie jest utworem wyłącznym cywilizacyi nowożytnéj; w starożytności klasycznéj spotykamy się również z podobnym przełomem myśli, który słusznie nosi miano oświaty greckiéj. Jestto epoka zaczynająca się od sofistów i Sokratesa, epoka, w któréj umysły ludu pod wpływem nauki filozofów zaczynają wyrastać z przekazanych tradycyą wierzeń i dogmatów, a ruch ten w Grecyi starożytnéj wykazuje wielkie podobieństwo do tego, który nazywamy oświatą nowożytną. Za okres przygotowawczy służy tu badanie przyrody: filozofowie wszystkich szkół przedsokratycznych są pod wyłącznym wpływem świata zmysłowego, zjawisk natury zewnętrznéj; wszystkie ich usiłowania skupiają się na racyonalném pojmowaniu tego świata. Ale świat ducha, świat wewnętrzny człowieka nie wydziela się tu i nie przeciwstawia się jeszcze krańcowo naturze martwéj. Pojmowanie przyrody polega na nierozdzielném rozważaniu ducha i materyi i dopiéro podniesienie zagadnień teoryi poznania przez sofistów zwraca umysły ku badaniu istoty poznającéj. Sokratesowe „poznaj samego siebie“ staje się hasłem oświaty greckiéj. Jest tu więc owo wyzwolenie się bardziéj wyzwoleniem ducha z pod ucisku martwéj przyrody, niż uwolnieniem go od tradycyi religijnych; charakter bowiem religii greckiéj z jednéj strony, zespolenie w niéj pierwiastku cielesnego i duchowego w harmonijną całość, równouprawnienie potrzeb ciała i ducha; z drugiéj zaś strony brak przeciwstawności tych dwóch żywiołów w filozofii pierwotnéj Greków były przyczyną, iż walka z poglądami religijnemi nie była ciężką i krwawą. A jakkolwiek tu i owdzie spotykamy się z karą za bezbożność, jaką była czasza cykuty Sokratesa, wyrok zapadły na Anaksagorasa, wygnanie Teofrasta, lub spalenie ręką kata pism filozoficznych Protagorasa, były to prawdopodobnie objawy sporadyczne, płynące z innych źródeł niż fanatyzm religijny. Strach bogów, przeciwko któremu skierował Epikur usiłowania swoje, był czémś bladém i nikłém w porównaniu ze strasznym teroryzmem teologicznym wieków średnich.

Oświata nowożytna była przedewszystkiém wyzwoleniem z pod ucisku doktryn Arystotelesa, następnie z formalizmu scholastycznego, z więzów logiki Arystotelesa.

Nie mogę tu wdawać się w szczegóły i kreślić obrazu owego teroryzmu duchowego, który panował w ciągu wieków średnich, który w każdéj próbie myśli samodzielnéj widział zbrodnię przeciwko dogmatom religii. Nigdzie może nie jest tak barwnie, tak wiernie skreślony, tak głęboko filozoficznie pojęty ów stan duchowy, jak w genialnym utworze V. Hugo p. t. „Katedry Przen. Panny“, a znakomitą również analizę pragmatyczną tego usposobienia znajdujemy w dziele sławnego historyka oświaty, Hartpola Lecky'ego [1], jedynéj w swoim rodzaju próbie filozoficznéj historyi opinii.

Pogarda dla wiedzy, zabobonność, nauka o karygodności błędu i wynikające z niéj prześladownictwo, upokorzenie się przed powagami, przewaga kościoła nad państwem, po części nawet pogarda, dla pracy i niechęć do wszystkiego, co wpływa na polepszenie dobrobytu przez wzmożenie sił produkcyjnych społeczeństwa — oto są rysy zasadnicze téj epoki.

Jakże sprzeczny z tém jest duch nowoczesny z jego poszanowaniem dla wiedzy, z zasadą i dążnością poznania prawdy drogą badań samodzielnych, polegających na sile własnego umysłu wbrew wszelkim powagom, z gotowością poświęcenia dla téj prawdy wszelkich najdroższych nawet wierzeń i opinii, z tolerancyą dla najrozmaitszych mniemań i sądów, z poszanowaniem dla pracy i gonitwą za dobrobytem, wyradzającą się w niektórych warstwach społecznych na wstrętny materyalizm moralny. Cały ten przewrót olbrzymi odbył się w ciągu trzech stuleci, a podstawą jego było, jak to słusznie zaznacza Lecky, nie polemiczne zwalczanie dowodami rozumowemi przeciwnych poglądów, ale stopniowe przekształcenie się całego sposobu myślenia ogółu pod wpływem świateł odrodzenia i badań samodzielnych nowych czasów na wszystkich polach wiedzy.

Stopniowo upada wiara w czary, daléj odbywa się przewrot w sztuce, wiedzy, moralności, polityce; wszystkie te dziedziny wyzwalają się z pod panowania teologii, sekularyzują się. Następnie poddają się zwątpieniu dogmaty religijne a punktem kulminacyjnym tego prądu jest wygłoszenie kultu dla „bogini rozumu“ przez rewolucyą francuską.

Sceptycyzm Montaigne'a, Bayle'a, i zwątpienia Pascala prowadzą stopniowo do deizmu Tollanda, Colinsa, Tindala, Chubba, Morgana i Voltaira, a nareszcie do ateizmu encyklopedystów francuskich

---

[1]) „Dzieje oświaty w Europie“ — oryginał angielski, istnieje przekład niemiecki Jałowicza.

z jednéj strony i osnutéj na uczuciu wierze Rousseau'a, oraz sentymentalnego pietyzmu w Niemczech—z drugiéj.

Etyka, oparta na dogmacie religijnym i obawie kary, ustępuje miejsca dwóm odłamom, z których jeden opiéra się na korzyści i ma za przedstawicieli Mandeville'a, Benthama, Helvetiusa, Hartleya, drugi na uczuciu z imionami Shaftesbury'ego, Hutschesona, Home'a, Burke'a, Fergussona, Smitha. Teologiczne pojmowanie dziejów Bossueta ustępuje miejsca historyozofom, którzy, idąc w ślad za Vico, pojmują dzieje w sposób racyonalistyczny, jako niezależny rozwój. Występuje idea postępu w dziełach Voltaira, Herdera i innych, a znajduje swój wyraz ostatni w téj głębokiéj wierze w nieprzerwane doskonalenie się ludzkości, jaką spotykamy w pisanéj niezadługo przed śmiercią rozprawie Condorceta [1]). Powstaje nauka prawa przyrodzonego, wygłoszona przez Grocyusza, rozwijana przez Puffendorfa, Tomaziusza, i przez słynne dzieło Rousseau'a, a wcielająca się w czyn przez rewolucyą francuską.

Powstaje nauka ekonomii społecznéj, i dzięki pracom Hume'a, Quesneya, Turgota, rozwijająca się w systemat przejęty temiż zasadami bezgranicznéj wolności indywidualnéj, która cechuje wszystkie dążności wieku oświaty, w dziele Smith'a.

Filozofia, zaczynając od zwątpienia Bacona i Kartezyusza, tworzy dwa wielkie odłamy. Materyalizm z pokrewnym mu duchowo sensualizmem występuje w utworach La Mettriego, Locke'a, Diderota, d'Alemberta, Holbacha, Helvetiusa, Condillaca, Cabanisa; z drugiéj strony występuje idealizm Berkeleya, Leibnitza z całą gamą pośrednich stanowisk, a syntezę tych prądów na trwałéj podstawie teoryi poznania daje Kant. Sztuka wyzwala się z pod wpływu teologicznego (Savonarola) z początku, a pseudoklasycznego formalizmu następnie, tworząc sztukę oświaty, ojca nowoczesnego romantyzmu.

Wreszcie wiedza przyrodnicza staje się samodzielną gałęzią badań niezależnych, rozpoczęta dziełem Kopernika, rozwijana przez Galileusza, Keplera, Newtona, Harveya, zbiéra wkrótce pod sztandary swoje cały szereg sławnych imion. Wszystko to jest dziełem oświaty, dziełem tego przewrotu w sposobie myślenia, który odbywał się stopniowo w ciągu trzech stuleci, popierany swoją drogą przez każdą nową zdobycz w zakresie myśli. Widzimy, jak dawne wierzenia upadają stopniowo same przez się, prawie bez walki i często bez

---

[1]) „Esquisse d'un tableau historique des progrès de l'esprit humain“, 1794 roku.

żadnych wprost przeciw nim skierowanych ciosów, tak jak usycha roślina, gdy podcięte zostaną jéj korzenie, lub gdy wyczerpie się grunt, na którym rosła. Tym gruntem była umysłowość owoczesna, typ myślenia średniowiecznego.

Za najwybitniejszy tego przykład służy wiara w czarodziejstwo. Ludzie przestali stopniowo w nie wierzyć, powiada Lecky, „dlatego że stopniowo przyszli do tego, iż wiarę podobną uważali za niesmaczną.“ Istotnie na korzyść żadnego może faktu historycznego nie mamy tak przekonywających dowodów dziejowych, jak co do czarodziejstwa. A jednak dowodom tym żadnego nie nadajemy znaczenia, dlatego, że sam fakt uważamy za nieprawdopodobny. Każdy inny fakt przyjmujemy chętnie na podstawie bez porównania mniejszéj liczby świadectw téj saméj epoki, tych samych ludzi.

W téj zmianie usposobienia umysłowego nietylko pierwszorzędne znaczenie jako przyczynie, ale i pierwszeństwo, inicyatywę przypisać winniśmy odkryciom w zakresie przyrodoznawstwa.

Odkrycie Kopernika spowodowało przewrot nietylko w zakresie astronomii, ale w całym sposobie myślenia Europy. Stanowisko człowieka we wszechświecie zmieniło się odrazu. Z ośrodka świata stał się on, jak późniéj wyrzekł Buffon „nieznaczną pleśnią na małéj kuli, unoszącéj się w bezmiarach przestrzeni.“ Gwiazdy przestały być znamionami jego losów; komety przestały zwiastować gniew boży. Związek pomiędzy katastrofami w przyrodzie a zjawiskami, dziejowemi rozrywa się. W miejsce dowolności i cudowności, rządzącéj zjawiskami świata, występuje stały porządek tych zjawisk. Człowiek naucza się widzieć objawy woli boskiéj nie w nadzwyczajnych, wykraczających po za zwykły bieg rzeczy wypadkach, ale w porządku, harmonii i celowości świata. Nieszczęścia przestają być karą, a miejsce ciągłego interweniowania woli wyższéj zastępuje idea według planu odbywającego się rozwoju. Taki był szereg wniosków, który z koniecznością się nasuwał wobec rozwoju astronomii, a który popierały zdobycze w innych gałęziach wiedzy ścisłéj.

Ale to zniżenie człowieka z jego królewskiego stanowiska we wszechświecie do roli atomu, — wobec uwielbienia dla potęgi rozumu, który objął wszechświat, wobec tych świeżych tryumfów myśli, wywoływało pewien rozdźwięk, napełniało smutkiem dusze wrażliwe i zastanawiające się.

Pascal pisze w swoich „Myślach“: „Człowiek jest tylko trzcinką, najsłabszą w całéj przyrodzie, ale ta trzcinka myśli. Nie potrzebne jest uzbrojenie całego świata, aby go zniszczyć; wyziew, kropla wody może go zabić. Lecz gdyby świat go zmiażdżył, człowiek je-

szcze byłby wyższym (*plus noble*), niż to, co go zabija, gdyż wiedziałby, że umiéra; a świat nicby nie wiedział o téj przewadze, jaką ma nad człowiekiem."

Voltaire dodaje następującą uwagę do tego ustępu: „Co znaczy ten wyraz wyższy? Prawdą jest, że myśl moja jest czémś odmiennéin, niż np. słońce: ale czyż dowiedziono, że zwierzę jest wyższém od słońca, dlatego tylko, że ma kilka myśli? od słońca, które ożywia wszystko co znamy w przyrodzie? Czy człowiek może o tém decydować, on, który jest sędzią i stroną zarazem? Mówimy, że pewien utwór jest wyższy od innego, gdy wymagał większéj pracy ze strony rzemieślnika, lub gdy jest użyteczniejszy. Ależ czyż mniéj pracy kosztowało Stwórcę stworzenie słońca, niż ulepienie zwierzątka na pięć stóp wysokiego, które rozumuje dobrze lub źle? Któż jest użyteczniejszy dla świata, czy to zwierzątko, czy słońce, które świeci tylu planetom? I na czém polega wyższość kilku idei, powstających w mózgu nad światem materyalnym?

W tym Faustowskim wykrzykniku Pascala i w Mefistofelesowskim sarkazmie Voltaira odzwierciedlają się dwa główne kierunki ideowe oświaty. Bo oświata nie jest jednolitym, harmonijnie spojonym poglądem na świat, nie jest systematem myśli pozbawionym sprzeczności; jestto szereg najrozmaitszych promieni, zogniskowanych czasowo pod jedném hasłem: wolność.—Badania. Ale na tle tego wielkiego prądu dziejowego zarysowują się pojedyńcze kierunki sprzeczne z sobą, lub krzyżujące się w najrozmaitszy sposób. A jako biegunowo przeciwległe zaznaczyć możemy dwa kierunki. Jeden z nich wypływa z uczuciowości, drugi z myśli rozumowéj, tego, co Francuzi nazwali „*raison raisonante*" (umysł rozumujący). Jednego hasłem jest bezgraniczna wiara w potęgę rozumu i woli ludzkiéj; drugiego—determinizm, fatalizm wynikający z zapatrywania się na człowieka, jako na cząstkę i to nieznaczną natury.

Pierwszy łączy pod sztandarem swoim systematy filozoficzne, idealistyczne, doktryny moralności bezinteresownéj, religią opartą na wierze, z uczucia i potrzeby serca płynącą, idealizm w sztuce. Ale głównym i najświetniejszym utworem tego kierunku było prawo przyrodzone. Kiedy filozofia salonowa, bawiąc się w przyrodoznawstwo, widziała w człowieku maszynę (La-Mettrie) i wyszydzała godność jego; kiedy Voltaire rzucał zuchwałe pytanie: czém wyższe są idee powstającew mózgu ponad świat materyalny? filozofia idealistyczna cały ten świat czyniła wytworem ducha ludzkiego, a na godności jego duchowéj budowała gmach prawa przyrodzonego, snując z niéj wnioski, które miały świat przewrócić.

Głównym przedstawicielem tego odłamu był Rousseau ze swoją uczuciowością, z wiarą wikaryusza Sabaudzkiego, z rozprawami o nierówności, z umową społeczną, z następcami swemi — socyalistami we Francyi, ludźmi epoki „burzy i zapędów“ w Niemczech i ze stojącym na szczycie poezyi niemieckiéj Schillerem.

W drugim obozie spotykamy filozofią materyalistyczną, etykę użyteczności, sztukę realistyczną (Diderot), oziębły, racyonalistyczny deizm, dochodzący w krańcowych odłamach do ateizmu. Nie potrzebujemy mówić, że do niego należy przyrodniczy pogląd na świat, że typ myślenia, wynikający przeważnie z powierzchownego, salonowego bawienia się w przyrodoznawstwo, jest twórcą tego kierunku myśli, którego przedstawicielami krańcowymi są encyklopedyści z Diderotem na czele.

Z pierwszego prądu wypływa konsekwentnie wiara w bezgraniczny postęp ludzkości, jaką widzimy u Condorceta i kult człowieka, stający się podstawą religii przyszłości Comte'a. Drugi prowadzi do fatalizmu dziejowego, do uginania się wobec niezłomnych sił przyrody, a ostatecznie do pesymizmu takiego Schopenhauera. Ale te krańcowe wnioski nie były wysnute przez filozofię XVIII-go stulecia. Przeciwnie, obadwa prądy, wypływające z dwóch biegunów ducha ludzkiego—serca i rozumu—łączyły się razem, działały we wspólnym celu i to spojenie sztuczne dwóch tak przeciwległych kierunków, było zadziwiająco płodném dla ludzkości. Dzięki temu sojuszowi, wiek XVIII-ty był wyrazicielem całości ducha ludzkiego i dlatego tak obfity w następstwa. Rzec można, że wyciągnął on wszystkie konsekwencye z tych założeń, które stały się podstawą oświaty; wyczerpał wszystkie zagadnienia, jakie nasuwały się wskutek zmienionego sposobu myślenia ludzkości, zaznaczył wszystkie kierunki. To, co przerabiało nasze stulecie, było w zakresie teoretycznén albo bladém powtórzeniem prądów przeszłego stulecia, albo dalszym rozwojem rzuconych przez nie myśli. Dlatego téż możemy dobrze zrozumiéć nasz czas jedynie na podstawie gruntownéj znajomości literatury wieku oświaty.

Jakże godziły się z sobą te sprzeczności? Nie była to synteza w wyższéj myśli filozoficznéj; podstawy do takiéj syntezy założyła wprawdzie filozofia krytyczna Kanta, ale wówczas nie zrozumiano jéj należycie, a raczéj każdy zrozumiał jednę jéj stronę. Szersza publiczność — tę, na którą wiek ów był szczególniéj wrażliwy, stronę krytyczną. Filozofią Kanta przyjęto jako zburzenie powagi dawnéj metafizyki, którą jeszcze wcześniéj ośmieszył Voltaire w swoim „Mikromegasie“. Filozofowie z katedry rozwijali ją w kierunku idealiz-

mu, torując drogę Fichtemu. W wieku XVIII-ym obadwa przeciwne prądy godziły się w sposób sztuczny. Wysnuwając wszystkie konsekwencye w zakresie myśli teoretycznéj, nie robiono z nich haseł praktycznych. W zakresie tym wiek XVIII-ty miał dwa dogmaty, których nie tknęła gryząca krytyka „rozumu rozumującego", a które żywiły prąd przeciwny, opiérając się nań wzajemnie. Dogmatami temi były: prawo przyrodzone i przeświadczenie o potędze rozumu, połączone z wiarą w bezgraniczny postęp ludzkości. Jakkolwiek się różnili filozofowie ówcześni co do zagadnień dotyczących religii, moralności metafizyki, wszyscy zgadzali się na te dwa dogmaty.

Nastąpiła wielka rewolucya francuska. To, co było przyczyną sojuszu sprzecznych prądów, to, co sztucznie zasłaniało ich sprzeczność, zostało usunięte. Każdy wystąpił teraz z roszczeniem do wyłącznego panowania.

Wpierw jednak, zanim pójdziemy w ślad dalszego przebiegu tych dwóch odłamów myśli i ich oddziaływania na dzieje, zastanówmy się nad rolą każdego z nich w przewrocie, dokonanym w XVIII-ém stuleciu, a nadewszystko oceńmy znaczenie wiedzy przyrodniczéj w tym przewrocie.

Widzieliśmy, że wiedza przyrodnicza rozpoczęła szturm przeciwko twierdzom dawnéj powagi, że była ona jednym z najpotężniejszych czynników w zwycięskim pochodzie oświaty. Czy ten sojusz polegał na wewnętrznem powinowactwie? Czy duch wiedzy przyrodniczéj tak harmonizuje istotnie z duchem oświaty?

Hasłami oświaty na polu czynu są założenia, płynące z poczucia godności moralnéj człowieka, t. j. prawo przyrodzone, oraz z wiary w bezgraniczną potęgę umysłu ludzkiego — wiary w postęp wbrew wszystkim przeszkodom, postęp, polegający na badaniu swobodném, niezależném, samodzielném. Widzieliśmy, że hasła te wypływają konsekwentnie z prądu przeciwnego temu, który wiązał się z poglądem na świat przyrodniczy. W jakiż więc sposób wiedza przyrodnicza, ze swojém pojęciem konieczności wszystkiego co jest, z przeświadczeniem o nieprzezwyciężonych prawach przyrody, ciążących nad światem i człowiekiem, jako cząstką świata, mogła popiérać oświatę? Dlaczego nie stała się przeciwnie czynnikiem paraliżującym ruch postępowy, burzącym wiarę we własne siły? Duch wiedzy przyrodniczéj jest przeważnie analityczny, analiza zaś niszczy wiarę, rozbija ideały. Ale analiza ta nie była skierowana na wiarę w przyszłość, na ideały przyszłości; cały zasób gryzącéj krytyki skupiła ona na instytucyach i wierzeniach przeszłości.

Te dwa dogmaty nietykalne wieku XVIII-go nietylko były hasłami w dziedzinie czynu; służyły one zarazem i za tarczę ochronną

przeciwko rozkładowemu czynnikowi myśli analizującéj, któréj cała potęga skupiła się przeciwnie na negacyi przeszłości, na utorowaniu drogi dla przyszłych dodatnich idei i instytucyi, płynących już z innego zakresu myśli, myśli syntetycznéj, twórczéj.

W ten sposób wiedza przyrodnicza i opierający się na jéj wynikach prąd myśli wykonał czynność negacyjną, był użyty jako taran do rozbicia dawnych, przeżytych poglądów; był to prąd niszczący, ale zniszczenie takie potrzebne było, aby oczyścić miejsce dla nowego, dodatniego, które zaraz na miejscu zniszczonego stanęło, bo już było zawarte w drugim prądzie myślowym, w prądzie idealistycznym. Gdy jeden prąd znosił do szczętu spruchniałe budowle przeszłości, drugi stawiał na ich miejscu gmach nowy. Dlatego téż sojusz ten był tak płodny; było to wyjątkowo szczęśliwe spojenie się dwóch zupełnie sprzecznych z sobą usposobień umysłu, spojenie, w którém jeden zamiast przeszkadzać drugiemu popierał go, a każdy wykonał swoje przeznaczenie w postępie ludzkości. Ale gdy zwycięstwo zostało osiągnięte, sprzeczności wyszły na jaw.

Polityczne wypadki, zachodzące po upadku rzeczypospolitéj francuskiéj, stwarzają grunt dla przewagi serca w umysłowości Europy. Wszystkie umysły, które przygnębiało dotąd wyłączne panowanie rozumu, z krańcowością reakcyi rzucają się w kierunku przeciwnym. Następuje epoka romantyzmu w sztuce, idealizmu w filozofii i mistycyzmu w religii; idea polityczna XVIII-go wieku, na krótki czas zachwiana przez potęgę militarną reakcyjnéj Europy, zaczyna się szerzyć po za granicami Francyi; następuje szereg wybuchów rewolucyjnych jeden po drugim. Jednocześnie myśl teoryczna w zakresie społecznym wysnuwa dalsze wnioski z nauki Rousseau'a; rozwija się socyalizm teoretyczny i występuje na arenę dziejową w wielkim wybuchu 1848 r., ogarniającym już całą niemal Europę. „Prawo do pracy“, wygłoszone przez rząd tymczasowy francuski, uzupełnia deklaracyę praw dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Przemoc sił wstecznych i upadek ruchu w 1849 roku staje się hasłem raptownéj przemiany w całéj Europie.

Zaczyna się przewaga myśli analizującéj, która teraz stosując się do ducha czasu, wyprowadza już wnioski do końca. Odnawia się materyalizm XVIII-go wieku w postaci popularyzacyi przyrodniczych; w sztuce panować zaczyna realizm; w moralności odświeża się utyiltaryzmu. We wszystkich dziedzinach cześć dla faktu zastępuje miejsce czci dla idei. Jest to epoka upadku szerszych ideałów politycznych, epoka oportunizmu, upokorzenia się przed faktem.

Niejednostajne jest zachowania się wiedzy przyrodniczéj podczas tych dwóch epok XIX w. W ciągu pierwszéj zamyka się ona w pracowniach, staje się przedmiotem fachowych studyów, jest to epoka powstawania fakultetów przyrodniczych [1]); epoka, w któréj przyrodoznawstwo czyni ogromne postępy; rzec można, że prawie wszystkie olbrzymie zdobycze wiedzy przyrodniczéj w XIX w., wszystkie wielkie teorye, na których spoczywa dzisiejsza wiedza, należą do pierwszéj połowy tego stulecia. W drugiéj połowie jakkolwiek studya fachowe rozwijają się swoją drogą, miejsce wielkich odkryć w nich zastępują szeregi drobnych prac, niezwiązanych głębszą ideą, prac szczegółowych, drobiazgowych, wykonywanych często nie przez ludzi powołania lecz przez ludzi fachu. Miejsce wielkich imion zastępuje znaczna liczba mniéj znanych pracowników. Natomiast rozwija się niezmiernie literatura popularna, przyrodnicza, która nietyle ma na celu odzwierciedlenie rzeczywistego stanu wiedzy, ile szerzenie tak zwanego przyrodniczego poglądu na świat.

Widzieliśmy, że sposób myślenia, wytwarzający się pod wpływem studyów przyrodniczych, jest nieprzyjazny, nawet wrogi prądom idealistycznym i opartemu na nich przeświadczeniu o godności człowieka i wierze w potęgę ducha. Zasadą myślenia przyrodniczego jest p r z e d m i o t o w o ś ć, odrzucenie wszelkiéj oceny zjawiska. W wyżéj przytoczonym ustępie z Voltaire'a mówi się o wartości względnéj słońca i człowieka. Jest to stanowisko jeszcze stosunkowo bardzo łagodne w porównaniu z tém, jakieby zajął przyrodnik, ale zarazem oparte na nieporozumieniu, na jednym z tych grubych błędów, w które tak obfituje filozofia „zdrowego rozsądku," któréj wcieleniem był Voltaire. Dla badacza przyrody nie ma istoty mniéj lub więcéj godnéj; najwstrętniejszy pasożyt, najdrobniejszy wymoczek ma w jego oczach to samo znaczenie co człowiek lub słońce, ale znaczenie nie wartości — tylko przedmiotu poznania. W chwili badania zapomina przyrodnik, iż jest człowiekiem, że jest istotą moralną, że może zapatrywać się z innego jakiegokolwiek punktu widzenia na zjawiska przyrody jak tylko z tego, który mu wyznacza poznanie; że może żądać od nich czegoś więcéj jak tylko prawdy wiedzy, prawdy poznania t. j. zgodności i jedności swoich spostrzeżeń z wysnutemi

---

[1]) Por. mowę Mohla przy otwarciu wydziału tego w Tubindze. Bardzo ciekawe szczegóły zawierają wspomnienia Cl. Bernarda, dotyczące wywalczenia sobie prawa na pracownię fizyologiczną, zawarte w dziele p. t. *Sur la physiologie générale.* Ktoby dziś uwierzył, że wielki fizyolog powinien był stawać przed sądem policyjnym za to, że zrobił psu fistułę żołądkową.

z nich rozumowaniami i hypotezami. Zapomina on o innéj prawdzie, o któréj stanowi jego serce, jego poczucie godności, jego zmysł moralny, i to zapomnienie jest koniecznym warunkiem przedmiotowości badania. Cóżby mógł on osiągnąć w dziedzinie poznania, gdyby mu na każdym kroku tamowały drogę dowolne wtargnięcia innych władz jego ducha? Drugą cechą przyrodoznawstwa, o któréj już wspominaliśmy jest determinizm, przeświadczenie o konieczności wszystkiego, co jest. Wiedza przyrodnicza spoczywa na tém przeświadczeniu i cały gmach jéj rozsypałby się w gruzy, gdybyśmy zachwiali wiarę w wieczność i niezmienność praw przyrody. Abyśmy mogli myśléć systematycznie, snuć wnioski ze spostrzeżeń, budować na nich hypotezy, potrzebna jest nam ta wiara. Potrzebujemy sobie wyobrażać cały bieg przyrody nakształt chodu jakiegoś idealnie dokładnego zegara, abyśmy mogli na nim wyznaczyć chwile wypadków przyszłych i przeszłych. I cóżby się stało z badaniem naszém, gdyby jakaś ręka dowolnie mogła wtargnąć i niespodziewanie dla nas przesuwać wskazówki tego zegara? Gdzie wtedy pewność przewidzenia? Gdzie konsekwencya rozumowania?

Zkąd się bierze ta wiara w niezmienność biegu przyrody? Nie miejsce tu na roztrząsanie tego zagadnienia a pewno, że jéj z doświadczenia nie wysnuwamy, bo wszystkie prawdy z doświadczenia wzięte, mają ograniczone zastosowanie; nie posiadają ani téj apodyktycznéj niczém niezachwianéj pewności, ani téj powszechności bezwzględnéj, jaką nadajemy twierdzeniu o niezmienności praw przyrody. Przyjmujemy je nietylko dla ubiegłych ale i dla przyszłych wypadków, a przyjmujemy je w nauce dogmatycznie, bo niczém go udowodnić nie potrafimy. Jakież następstwa pociągałoby rozpowszechnienie tego założenia na inne zakresy myśli?

Naprzód odjęłoby ono nam wiarę w potęgę woli, inicyatywy. Człowiek przedstawiałby się nam jako jedno drobne kółko w olbrzymim mechanizmie zegara przyrody, kółko, które niczego od siebie dodać nie może, które kręci się tak jak mu każą kręcić się kombinacye innych kół. Powtóre pozbawiłoby nas możności oceniania zjawiska z punktu widzenia moralnego, bo jakaż możność oceny, jaka odpowiedzialność tam, gdzie nie było wyboru? Ale właśnie tego rozpowszechnienia robić nie powinniśmy. Wchodząc do pracowni naukowéj odarliśmy siebie umyślnie ze wszystkiego co stanowi naszą istotę ludzką oprócz ciekawości poznania. Aby nie przeszkadzać temu poznaniu, staraliśmy się zapomnieć, że jesteśmy istotą czującą i pragnącą; budowaliśmy gmach wiedzy pomijając te strony naszego ducha; cóż dziwnego, że w swoich wynikach okazała się wiedza dla nich jałową?

Cóż dziwnego, że nauka pozytywna nie może dać żadnych haseł, skoro na samym wstępie usunęliśmy z niéj to wszystko z czego mogą wypływać hasła praktyczne, t. j. uczuciowość i wolę? Próba stworzenia haseł z rzeczywistych lub domniemanych wyników wiedzy jest wysoce nielogiczną, a same hasła będą z konieczności fałszywe. Każde zajęcie fachowe wyrabia pewien typ umysłowy, pewien sposób myślenia, który mimowoli przenosi się i poza fachowe zajęcia. Sposób myślenia przyrodniczy jeśli go przeniesiemy do zakresu innych umiejętności okaże się z natury swojej antyspołecznym. Ale ten charakter myślenia przyrodniczego zostawał złagodzony i nieszkodliwy, dopóki był należnością tylko fachowych przyrodników i przytém ludzi z pewną ogładą filozoficzną. Ludzie tacy dobrze rozumieli, że ów sposób zapatrywania się na rzeczy jest koniecznością metodyczną przyrodoznawstwa, ale po za jego zakresem jest błędny i nieużyteczny; że jest on jakby chwilową ślepotą duchową na pewne zjawiska, konieczną do tego, aby dostrzedz wyraźniej inne. Tak pracujący z mikroskopem przyzwyczaja się wkrótce widzieć tylko jedném okiem, chociaż drugie trzyma otwarte, a dopóki nie nastąpi to przyzwyczajenie, przedmioty widziane drugiém okiem przeszkadzają mu jasno widziéć to co bada. Ale skoro odrywa się od mikroskopu widzi wszystko obudwoma oczyma. Również badacz przyrody zamyka swój umysł na wszystko, co wiąże się ze światem ducha, ze światem ludzkim, moralnym, dopóki jest przyrodnikiem, ale nie przeszkadza to mu znowuż stawać się człowiekiem całkowitym, skoro oderwie się od przedmiotu swoich studyów. Doskonale uwydatnił to Faraday powiadając, że jest ateistą w pracowni, a religijnym w kościele; również miał słuszność Laplace, gdy na zapytanie Napoleona, dlaczego nie wspomina o Bogu w swoim Systemacie świata, odpowiedział též, że nie potrzebował téj hypotezy. Ale literatura popularna nie rozumié tych odcieni; z całéj wiedzy przyrodniczéj chwyta ona zwykle to co jest najmniéj naukowém, najmniéj związaném z istotą wiedzy, a wymagania metodyczne, świadomie jako takie pojmowane przez fachowych przyrodników, wystawia jako ostateczne i pewne wyniki wiedzy [1]). Składają się na

---

[1]) Nie myślę tu potępiać dążności do popularyzacyi wiedzy, tak charakterystycznéj dla epoki, w któréj żyjemy. Mam tu na myśli wyłącznie literaturę, która w sposób wyżej zaznaczony czyni z wyników wiedzy, najczęściéj przytém spaczonych, jakieś hasła praktyczne. Jest u nas dość rozpowszechnione mniemanie, że do napisania popularnéj książki potrzeba więcéj talentu literackiego niż znajomości fachowéj. O ile nie wystarczającém jest takie mniemanie najlepszym tego dowodem literatura popularno-naukowa Anglików, wzorowa dzięki temu, że stworzona przez poważnych badaczy. Popularyzator powinien czynić zadość nierównie su-

to dwie przyczyny. Naprzód, że popularyzatorami takimi bywają często ludzie, którzy nigdy poważnie przyrodoznawstwa nie studyowali, do pracowni nie zaglądali i z metodą wiedzy nie są obeznani. Popularyzacye takich Büchnerów, Spencerów i t. d. mogą wywoływać uśmiéch politowania na ustach fachowych przyrodników, chociaż uważane są za kwintesencyę wiedzy przez szersze koła czytelników. Drugą przyczyną jest brak szerszego wykształcenia filozoficznego, wśród nowszych pokoleń przyrodoznawców; po upadku bowiem filozofii idealistycznéj nie było na razie innéj, któraby ją mogła zastąpić, a niechęć do wszelkich szerszych poglądów, cechująca wogóle epoki realistyczne, odstręczała masy od studyów filozoficznych. Przyrodnicy więc pozbawieni będąc podstaw potrzebnych do wytworzenia syntetycznego poglądu na świat, ulegają wpływowi atmosfery wieku i często zapominają o tém, co sami wnieśli jako konieczne przypuszczenie do wiedzy, a co z niéj istotnie wydobywali.

W ten sposób powstaje więc literatura, która jak wspomniałem popularyzuje nie wiedzę lecz „pogląd przyrodniczy“ t. j. szuka haseł praktycznych w domniemanych wynikach wiedzy i w ten sposób staje się orężem w polemice publicystycznéj. Ale rola jéj dziś inna niż w zeszłém stuleciu. Formułkami przyrodniczemi posługują się dziś przeważnie dla poparcia prądów wstecznych. Na prawie dziedziczności stara się arystokracya oprzéć roszczenia swoje do pierwszeństwa w społeczeństwach nowoczesnych; pomiarami czaszek i mózgów zasłaniają się nieprzyjaciele równouprawnienia kobiét; a ileż to pięknych rzeczy znajduje poparcie w takiéj formułce jak walka o byt! Co za niewyczerpana skarbnica dla wszelkiego rodzaju wstecznictwa! Popisy nowoczesnych Kortezów i Pizarrów, tępienie całych ras ludzkich za to, że nie dają się okpiwać szkiełkami i perkalami europejskiemi; ucisk murzynów czarnych i murzynów białych; militaryzm i ekonomia

---

rowszym wymaganiom niż specyalista. Nietylko powinien on znać swój przedmiot gruntownie, ale i głębiéj go rozumiéć, obejmować całość, pojmować stosunek do innych gałęzi wiedzy i granice zastosowania twierdzeń swojéj umiejętności, kiedy specyalista może się ograniczyć do szczegółowéj znajomości pewnego zakątka wiedzy. Zagadnienia ogólniejszéj treści rzadko są potrącane w specyalnie naukowych pracach, a mylne ich pojmowanie nie wprowadzi w błąd czytelników, dla których są przeznaczone; przeciwnie popularyzator ma do czynienia z publicznością, która, nie będąc obznajmiona z kwestyami naukowemi, ani przygotowaną do krytyki autora, przyjmuje wszystko w dosłownem znaczeniu i polega całkowicie na powadze jego twierdzeń, bierze je na wiarę. Że badacz poważny i ostrożny w swoim specyalnym zakresie, może łatwo wstąpić na fałszywą drogę dowolnych i nieuzasadnionych uogólnień w książkach popularnych, jaskrawym przykładem tego są popularne dzieła Haeckla.

społeczna oparta na współzawodnictwie, wszystko aż do téj saméj teoryi nieludzkiéj i fałszywéj, która posłużyła za punkt wyjścia dla doktryny walki o byt usprawiedliwia się teoryą „zwycięstwa zdolniejszego“ [1]). Nie ma episiera, który, dorobiwszy się tak lub owak majątku, nie byłby uprawniony do poczucia wyższości wobec konającego w nędzy poety lub filozofa, jako słabszego w walce o byt! Jakże doskonale harmonizuje ta teorya z uwielbieniem powodzenia, z płaszczeniem się przed faktem, z hasłem „siła przed prawem“ — temi ulubionemi sztandarami naszéj epoki!

Nie sama jednak zła wiara jest przyczyną pomieszania pojęć, spowodawanego pseudo-przyrodniczą literaturą popularną.

Brak szerszych podstaw filozoficznych w wykształceniu ogólném, a zwłaszcza brak znajomości logiki i metodologii nauk staje się przyczyną, że ludzie dobréj wiary zostają oślepieni urokiem niby naukowości podobnych teoryi.

Formułki pochwycone z zakresu wiedzy przyrodniczéj, najczęściéj źle zrozumiane, stosują się do najrozmaitszych dziedzin myśli, a ci, którzy to czynią, wyobrażają sobie, że przenoszą metodę przyrodniczą do tych dziedzin i że formułki te okażą wszędzie wpływ równie czarodziejski, jak w zakresie im właściwym. Zdaje się im, że całe pole poznania odrazu się rozwidni, a umiejętność nabierze ścisłości, skoro tylko do niéj zastosuje się t. zw. metoda wiedzy ścisłéj. Zapominają przytém, że właśnie skuteczność téj metody w wiedzy przyrodniczéj polega na umiejętnym wyborze tych kategoryi myśli, które są jéj właściwe i że olbrzymie postępy swoje przyrodoznawstwo zawdzięcza wyrugowaniu z zakresu swego niewłaściwych sposobów pojmowania. Zamiast tego, by, idąc za przykładem przyrodoznawstwa, wyszukać dla każdéj dziedziny wiedzy odpowiednie kategorye, któreby się w niéj dały zastosować, przenoszą się do niéj kategorye, zapożyczone z zupełnie obcéj dziedziny myśli. Postępują tak, jak człowiek, który, doznawszy ulgi od jakiegoś lekarstwa w cierpieniu

---

[1]) Wiadomo, że na myśl walki o byt naprowadziła Darwina okonomicznie-społeczna doktryna Maltusa. Co do twierdzenia o jéj fałszywości, twierdzenia, które nie wyda się dziwném ani nieuzasadnioném dla nikogo, kto jest obeznany z nowszą literaturą ekonomiczną, odsyłamy do dzieła Kautskiego („Die Bevölkörungsfrage“, 1881), oraz Dühringa („Kritische Geschichte der polit. Oekon. und des Socialismus“, 1879), gdzie czytelnik znajdzie i wykład téj teoryi. Nie jestem zwolennikiem zamilczania zagadnień społecznych, których rozwiązanie niemile razi naszą uczuciowość i nie zaprzeczam znaczenia zagadnienia walki o byt w społeczeństwie ludzkiém. Alb. Lange („Kwestya ekonomiczna w dziedzinie społecznéj“, Warsz., 1881) dał przykład tego, jak traktować można podobne kwe-

żołądkowém, stosuje go przy wszelkich innych chorobach w naiwnéj wierze, że wszędzie okaże ono ten sam skutek.

Jako przykład niech mi wolno będzie przytoczyć jednę z podobnych formułek, aby na niéj wyświetlić bliżéj stosunek ducha oświaty do wiedzy przyrodniczéj, oraz do tego, co się dziś mylnie lub słusznie za jéj wynik podaje.

Jedną z najbardziéj rozpowszechnionych bajek, któremi się posługują przeciwnicy równości społecznéj, zaczynając od czasów Meneniusza Agryppy, a kończąc na H. Spencerze, jest porównanie społeczeństwa ludzkiego do zwierzęcia. Porównanie to jednak przez pierwszego szczerze podawane za to, czém jest, to jest za bajkę, przypowieść, zostało w najnowszych czasach przyozdobione pozorami naukowości i to nietylko przez ludzi złéj wiary. Niejedna książka została napisana na podstawie téj bajeczki. Nie potrzebujemy tu zatrzymywać się dłużéj nad temi teoryami [1]), zauważę tylko, że gdybyśmy chcieli poszukiwać początków tego poglądu, łatwobyśmy wykryli w nim pozostałość owego typu myślenia przedhistorycznego, kiedy cały świat wyobrażano sobie jako zwierzę, mające głowę i nogi prawą i lewą stronę i t. d., typu, którego ślady spotykamy jeszcze u filozofów przedpitagorejskich [2]). Na podstawie tego podobieństwa wyprowadza się, że pojedyńcze osobniki, składające społeczność, powinny się przekształcić w narzędzia podrzędne całości i pozbawione wszelkiéj samodzielności tak samo, jak organa lub komórki w ciele zwierzęcia. Cała ta argumentacya jest w wysokim stopniu dziecinna

---

stye w sposób zupełnie naukowy, nie zapominając jednak ani na chwilę o wymaganiach ludzkości i sprawiedliwości. Co do teoryi interesu osobistego i współzawodnictwa w ekonomii społecznéj porównaj rozdział p. t. „Dogmatyka egoizmu“ w 2-im tomie „Historyi materyalizmu“ tegoż autora. W duchu zupełnie zgodnym z dążnościami oświaty, jakkolwiek nieco pobieżnie poruszone są inne zagadnienia społeczne związane z teoryami przyrodniczemi w dziełku Ritchiego p. t. „Darwinizm i nauki społeczne“ (Warsz., 1891). Przytoczenie téj literatury uwalnia mnie od konieczności zatrzymywania się nad tym przedmiotem, którego bliższe roztrząsanie nie wchodzi w zakres niniejszego artykułu.

[1]) Tém bardziéj, że p. Jellenta uczynił to w artykule, noszącym tytuł: „Czy społeczeństwo jest organizmem?“, swoich szkiców filozoficznych (por. także „Ateneum“, 1887, III, 439, IV, 15). Niesłusznie atoli, jak to zaznaczyłem w innem miejsu (przy rozbiorze tego dzieła), połączył on w jednę gromadę pisarzy, mówiących o społeczeństwie jako organizmie (jak Krause, Ahrens i inni) w szerszém tego wyrazu znaczeniu, z takimi (jak Spencer, Schäffle i t. d.), którzy, porównywając je do zwierzęcia, z tego porównania wysnuwają swoje teorye.

[2]) Porów. Zeller, „Die Philosophie der Griechen“, 3-te Aufl., 1 Bd., str. 381.

i nie zasługuje na poważne roztrząsanie. Istotnie, porównywać można wszystko do wszystkiego; możemy np. porównać człowieka do pieca albo do pokoju i wszędzie uda się nam znaleść jakieś podobieństwo: tak piec pochłania węgiel, wyrabia z niego ciepło, a wydziela kwas węglowy tak samo, jak człowiek czyni to z pokarmem; pokój ma okna, przez które komunikuje się ze światem zewnętrznym — są to jego oczy, ma drzwi—to usta; ma piec — to płuca i t. d. Słowem, bawić się w podobne porównania możemy bez końca. Ale jakież wnioski można byłoby wysnuć, gdybyśmy nawet wykryli jakieś istotne podobieństwo? Komuż obca jest owa przysłowiowa prawda, że porównanie nie jest dowodzeniem (*comparaison n'est pas raison*)?

Zapomnijmy jednak na chwilę o tém przysłowiu. Weźmy na seryo teoryę społeczeństwa-zwierzęcia i wystawmy sobie, jeżeli to możliwe, że społeczeństwo tak samo jak zwierzę ma naturalną dążność do zróżniczkowania składających je jednostek i klas społecznych. Jedne mają stać się jego mózgiem. Przeznaczeniem ich będzie myśléć i rozkazywać; inne znów w roli podniebienia moralnego będą smakowały estetyczne przysmaki sztuki i wyniki wiedzy za cały ogół, większość zaś ma pracować dla tych wydelikaconych komórek mózgowych i smakowych [1]).

Gdyby taka była organiczna dążność społeczeństwa, coby na to odpowiedziała oświata? Odpowiedziałaby: jesteś człowiekiem, masz rozum i wolę i poczucie godności swojéj; rozum daje ci władzę nad przyrodą; poznajesz porządek świata nie na to, aby przed nim się korzyć, lecz na to, aby go nagiąć do swoich celów. Więc zamiast naturalnego porządkn, który jest zły, wprowadź rozumny, który byłby dobry i odpowiadał twoim wymaganiom moralnym. Taką odpowiedź winniśmy jako ludzie, należący do epoki oświaty na wszelkie roszczenia nagięcia prawa do faktu, ideału do rzeczywistości, „powinno być", bo „jest", czynione nibyto w imieniu wiedzy i jéj niezachwianych decyzyi.

Ale czy istotnie wiedza przyrodnicza jest odpowiedzialną za takie roszczenia? Czy tak zwany pogląd na świat przyrodniczy jest nierozerwalnie z nią związany?

Zaznaczyliśmy już ten wpływ, jaki zajęcia fachowe wywierają na sposób myślenia, oddanego temu zajęciu jednostki; cóż dziwnego, że ten, kto obcuje z przyrodą w pracowni, kto przyzwyczajony jest

---

[1]) Por. teorye Spencera. Pogląd ten znalazł odzwierciedlenie w „Kalibanie" Renana, który przedstawia ideał społeczeństwa według tego typu stworzony.

ciągle zapominać o tém, że jest nietylko badaczem, ale i człowiekiem, że jest istotą moralną, że posiada pragnienia i dążenia idealne, cóż dziwnego, że stanie się skłonnym ten sposób zapatrywania przenosić z pracowni do życia, zwłaszcza jeśli szersze wykształcenie filozoficzne i humanitarne nie stanie temu na przeszkodzie. Ale postępując tak przestaje być uczonym, staje się człowiekiem, ale jednostronnym, spaczonym.

Wiedza przyrodnicza sama przez się wzięta, wiedza czysta, pojęta krytycznie, nie może wydać żadnych haseł; ani wstecznych, ani postępowych. Prawda wiedzy jest prawdą zimną i bezowocną, dopóki zostaje na jéj wyżynach. Tylko zastosowanie jéj stanowi o następstwach, a jakie będą — to zależy od tych, którzy ją stosują. Twierdzenia wiedzy są albo sądy warunkowe (jeśli będzie *A*, to nastąpi *B*), albo stwierdzeniem bytu (fakt *A* istnieje). Ani jedne, ani drugie do niczego nie obowiązują. Dopiéro wola człowieka nadaje im charakter kategoryczny: pragnę faktu *B*, więc sprowadzić powinienem *A*, które jest jego przyczyną. Tylko sądy praktyczne, t. j. płynące z postanowienia człowieka, są kategoryczne, nakazujące.

Cała wiedza nawet z najbardziéj uprawnionemi swojemi wynikami, odpowiada tylko jednéj stronie natury ludzkiéj—analitycznemu rozumowi, pragnieniom poznania. Ale obok zagadnienia jak jest, staje z równém prawem inne—jak być powinno; obok prawdy rozumu, prawda moralna, obok wiedzy pragnienie ideału. Zlanie tych dwu żywiołów w jednę całość, stanowić będzie syntezę prawdziwego człowieka, wszechstronnie pojętego człowieka oświaty, odzwierciadlającego wszystkie jéj prądy i dążności.

Nie powinniśmy się cofać przed żadną prawdą, jakkolwiek nie miłe nam będzie jéj brzmienie; ale pamiętać należy, że prawda wiedzy jest prawdą względną. Istnieją obok niéj inne prawdy nie mniéj pewne, nie mniéj konieczne; a z dostępnych nam względnych prawd najwyżéj postawić powinniśmy nie te, które spoczywają na abstrakcyjnych wyżynach wiedzy i kontemplacyi, lecz te, które mogą stać się hasłem czynu, gdyż dziedzina czynu jest prawdziwém przeznaczeniem człowieka, jest tém polem, na którém dokonywa się postęp dziejowy.

Głos sumienia, poczucie ideału, poczucie wolności i godności człowieka równie głośno mówią do nas (a do niektórych głośniéj), niż mędrca szkiełko i oko. Do nich należy wyrzeczenie sądów praktycznych, haseł do czynu. Dlaczegóż mamy, podobni do dzieci lub dzikich, przekładać rzeczywistość widomą nad prawdę odczutą?

Ludzie wiedzy postępują świadomie jednostronnie, tego wymaga

metoda przyrodnicza. Duch przyrodoznawstwa, wytwarzający się pod wpływem téj jednostronności, téj przewagi faktu nad ideą, analizy nad syntezą, jest sprzeczny z duchem humanizmu; działanie jego więcéj rozkładowe, niż twórcze. Widzieliśmy, że wiedza przyrodnicza spełniła już w dziejach swoje przeznaczenie jako czynnik rozkładowy, działając tą stroną swojéj metody, burząc przesądy i powagi średniowieczne, torując drogę nowym poglądom, nowym instytucyom. Dziś chcą jéj nadać rolę wprost przeciwną; ten duch rozkładowy skierować na wiarę w ludzkość, na ideały przyszłości. Z rzecznika postępu, jakim była jeszcze przed stuleciem, chcą ją przeobrazić na osłonę wstecznictwa. Od nas zależy nie dopuścić tego.

„Pogląd przyrodniczy" wcale nie jest organicznie spojony z wiedzą przyrodniczą. Wiedza ta przed pięćdziesięciu laty godziła się z poglądem wprost przeciwnym. Poglądy się zmieniają, przerzucając się z jednéj krańcowości w drugą; wiedza wciąż idzie naprzód swoim miarowym krokiem.

Nie od wiedzy więc zapożyczać mamy hasła nasze, bo wiedza dać ich nie może. Te hasła, które nam przywodzą, są hasłami oświaty. Nie zapominajmy o tém, a wtedy nie omami nas pozorna niezachwianość mniemanych wyników wiedzy.

Pamiętajmy, że hasłami temi są wiara w potęgę idei, chociażby wbrew faktom, wiara w godność i wolność człowieka.

I d e a p r z e d f a k t e m, p r a w o p r z e d s i ł ą — tém się różni postep ucywilizowanego społeczeństwa od bezmyślnego, „naturalnego" rozwoju w przyrodzie.

W. M. Kozłowski.

ANGLO-SASI,

JAKO RASA PRZYSZŁOŚCI.

Tkanina ludzkości z różnorodnéj spleciona jest przędzy. Rasy, plemiona, narody pojawiają się i znikają na dziejowéj widowni, jedne służąc za podścielisko drugim. W bezdenną otchłań wieków zapadło z nich wiele, których bytu nawet nie podejrzéwamy, a nawet gdy w neolitycznych jaskiniach odgrzebywane bywają czaszki już do naszéj rasy należące, to antropologowie zmuszeni są stawiać sobie przed niemi znak zapytania. W bliższych nas, już historycznych czasach, stwierdzamy co moment efemeryczną rolę, odegrywaną przez narody i państwa, które do podbicia całego otaczającego świata zdążały. Jak sprawiedliwie Aug. Comte powiedział, więcéj umarłych, niż żywych składa się na ludzkość. Na grobowcu jednych niepodobna nam jednakże żadnego położyć nazwiska; o trwałości i nieśmiertelności drugich czytamy wprawdzie napisy, wyryte na piramidach, ale jeżeli głazów ich nie zjadła jeszcze rdza stuleci, to nie można tego samego powiedzieć o tych, co je napiętrzyli; te narody ślimacze wiodły istnienie, tamte znowu, jak błyskawiczne meteory przemknęły po widnokręgu: ale mimo téj różnorodności objawów, mimo różnic czasu, miejsca i środowiska, nauka współczesna miała prawo postawić jako niezbity pewnik, że nietylko państwa i społeczeństwa, ale nawet szczepy i rasy, na jakie obecnie rozpadają się mieszkańcy kuli ziemskiéj nie są ostatecznemi, lecz że przyszłość, mniéj lub więcéj daleka, w nowe ukształtuje je formy i odmienne nawet stworzyć może typy. Niepodobna nam ich przewidzieć, to prawda, jeżeli

życie ludzkości nie jest zagrożone bliskim a ostatecznym kataklizmem i jeżeli toczyć się będzie przez lat tysiące.

Ale z drugiéj strony, jeżeli, osobistym powodując się interesem, ograniczymy się do wymiarkowania cechy charakterystycznéj wieków bezpośrednio po naszym następujących, to nietylko będzie nam dozwoloném ciekawość naszą zaspokoić, lecz znajdziemy się wobec wskazówek, posiadających wszelką możliwą w tego rodzaju przewidywaniach dozę pewności. Rasa biała wytrzebi do reszty słabe już szczątki miedzianoskóréj, zmniejszy ilość rasy czarnéj, a przez krzyżowanie z mieszańcami uczyni ją jako szczep bezpłodną i znajdzie się nakoniec w walce o pierwszeństwo jedynie wobec rasy żółtéj. Biorąc daléj na uwagę cywilizacyjny zastój téj ostatniéj, a energię, działalność i postępy rasy białéj, można przysądzać jéj kulę ziemską, jako niechybną spuściznę. Nie potrzebujemy zresztą uczuwać najmniejszéj troski co do losów rasy białéj. Od dwudziestu pięciu wieków była już ona mistrzynią świata, a siły jéj rosną w odwrotnym stosunku do coraz słabszych jéj współzawodniczek. Gdzieindziéj leży dla nas jądro kwestyi. Czy rasa biała sama jedna rozpostrze się na obu półkulach, czy téż obok niéj podrzędna jaka istniéć nie przestanie, zawsze posiadać będzie dla swego plemiennego organizmu wystarczającą podstawę. Lecz wśród tego organizmu, jaki szczep, jaka gałąź jego dzierżyć będzie berło pierwszeństwa? azaliż nie powtórzy się na wewnątrz ta sama wytępiająca walka, która toczy się pomiędzy rasami? azaliż przewaga jednéj potężnéj grupy narodowościowéj nie stłumi rozwoju innych, nie pozbawi ich życiowych soków? azaliż nie zdążamy do ulania świata pojutrzejszego w jednolitą modłę, jednolitą, a zatém noszącą w swém łonie śmierciodajny pierwiastek?

Na wszystkie te tłoczące się pytania odpowié dopiéro przyszłość, ale jedno z nich przynajmniéj żadnéj wątpliwości pozostawiać już nie może. Jest wśród rasy naszéj jedna narodowość, która wzrasta i rozwija się daleko szybciéj, aniżeli inne, daleko potężniéj. Hegemonia jéj wśród jutrzejszego świata musi być brana w rachunek. Mówimy o Anglo-Sasach. Nie potrzebujemy wprawdzie, spoglądając na naszą narodowość słowiańską i przeczuwając jéj przyszłość zazdrościć Anglo-Sasom ich potęgi. Niewątpliwie, kula ziemska będzie w stanie pomieścić dwie te plemienne grupy. Ale właśnie dlatego, że Słowianie pochlebiają sobie stanąć z nimi w biegu następnych pokoleń i stuleci, jako równi wobec równych, należy zdać sobie sprawę z rozwojowych warunków, w jakich się tamci znajdują. Nie wahamy się tedy zwrócić uwagi czytelników naszych na losy szczepu anglosaskiego, na składowe jego czynniki, na charakteryzujące go rysy.

Nieraz już mieliśmy sposobność dotykać tutaj stosunków angielskich, instytucyi oraz umysłowych objawów u tego potężnego narodu. Ale trzeba zejść aż do rasowych pierwiastków, ażeby zrozumiéć przyczyny tak nadzwyczajnego rozwielmożenia tego szczepu, a wszedłszy w istotę jego ducha zrozumiemy dla czego ma, dla czego miéć musi przed sobą nieskończony szereg rozwojowych okresów.

Wystarczający punkt wyjścia przedstawiają same dane statystyczne. Przed stu laty mówiło po angielsku jako rodowitym swym językiem zaledwie 15,000,000; obecnie jest ich 105,000,000, czyli że przedstawiciele szczepu anglo-saskiego pomnożyli się siedm razy. Żaden inny naród nie rośnie w tym samym stosunku. Najbliżéj nich trzymają się Niemcy i Skandynawi, ale ponieważ przesiedlają się ciągle do krajów anglo-saskich i narodowość swą wśród tego absorbującego organizmu zatracają, zatem przyczyniają się jeszcze do wzrostu tego ostatniego. Przypuszczając taką samą skalę wzostu w następnych stuleciach, będzie Anglo-Sasów 800 milionów w r. 2000. Nie potrzebujemy iść daléj w przewidywaniach, bo gdyby nawet ilość ta do połowy się nawet zmniejszyła, to i tak życiowe współzawodnictwo innych narodowości zmiażdżone by zostało. Anglo-Sasi wzrastają jednocześnie na obu półkulach. Wprawdzie Stany Zjednoczone Ameryki północnej oddzieliły się jako państwo od Wielkiéj Brytanii od stu lat z górą, ale nie zerwały one bynajmniéj rasowéj solidarności. Choćby nawet Kanada albo Australazya zerwały prędzéj czy późniéj węzeł federacyjny, który je łączy z metropolią, to nigdy nie przestaną być synami téj saméj rasy, tego samego języka, przedstawicielami téj saméj cywilizacyi. Piętno anglo-saskie wyryło się raz na zawsze na tych nowych organizmach państwowych, które przez Wielką Brytanią wprowadzone zostały na widownię cywilizacyjną; chlubią się z niego i każdy obywatel anglo-saskiéj społeczności ożywiony jest tém samém poczuciem swéj wyższości, jakie przed dwoma tysiącami lat posiadali obywatele Rzymu. Nie potrzeba zapewne przypominać, że zarówno w Azyi, prastaréj rodu ludzkiego kolebce, jak w Afryce świéżo dopiéro kolonizującéj się systematycznie, znajdują się obiecujące rozsadniki tego samego szczepu. Wśród 343,000,000 znajdujących się pod berłem Wielkiéj Brytanii, w imperyum na którém nigdy nie zachodzi słońce, 60 milionów należy już obecnie bezspornie do rasy anglo-saskiéj. W samych europejskich zjednoczonych królestwach, w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, za panowania królowéj Wiktoryi ludność powiększyła się z 25 do 38,000,000 a zatem w stosunku 46%. Stosunek ten byłby daleko jeszcze wyższy, gdyby Irlandya nie była w skutek nieszczęśliwéj polityki wewnętrznéj straciła jednocześnie kilku

milionów ze swéj ludności. Ponieważ jednak polityka ciemięstwa i prześladowania niebawem należéć będzie i tam do kategoryi wspomnień historycznych, zatem dalszy, normalny wzrost ludności Wielkiéj Brytanii jest do przewidzenia.

Daleko szybszy wzrost rasy anglo-saskiéj odbywał się jednocześnie w Nowym Świecie. W przeciągu stu lat liczba mieszkańców podskoczyła z 2,000,000 do 64,000,000, a wśród nich jest innorasowców, t. j. Indyan i Chińczyków zaledwie 300,000. Powiedzieliśmy dopiéro co, że przybysze europejscy, do jakiejkolwiek należą narodowości, niebawem tracą jéj rysy a przesiąknąwszy atmosferą anglo-saską w drugiém najdaléj pokoleniu są nowem ogniwem w tym łańcuchu bez końca. Czém się owe 64,000,000 Amerykanów stanie w przyszłych stuleciach nie trudno przewidziéć, choćby to jedno wziąwszy na uwagę, że dotąd jest jeszcze 1,200,000,000 akrów, t. j. trzy siódme całego obszaru krajowego a zatem siedm razy przestrzeń Wielkiéj Brytanii, do sprzedania dla nowych osadników; będzie tu tedy jeszcze przez setki lat miejsca podostatkiem. Oceniając wzrost anglo-saskiego szczepu w Stanach Zjednoczonych na 3% rocznie, otrzymamy w samych ich granicach za sto lat 700 milionów mieszkańców. Są statyści jak Barham Zincke albo G. Imley, którzy obliczają nawet całość anglo-saskiego szczepu w téj epoce na 1,000 milionów.

Taki olbrzymi, trudny do zrozumienia w pierwszéj chwili, chociaż posiadający matematyczną pewność stan rzeczy, jest owocem wielu współdziałających pierwiastków, a przedewszystkiém przyrostu i spotęgowania zasobów materyalnych, ulepszonych środków komunikacyjnych, wysokiego poziomu oświaty i pokojowego nastroju ducha, które to warunki przyczyniły się do pozyskania Anglo-Sasom uprzywilejowanego stanowiska w pośród innych organizmów narodowościowych. Niezachwiana pewność, jaką posiadają, że świat przyszłości będzie ich światem, ich język językiem najbardziéj rozpowszechnionym na kuli ziemskiéj, przyczyni się téż niezawodnie, jak to niedawno jeszcze zauważył p. Gladstone, do zbliżenia ku sobie, do zjednoczenia rozmaitych odrośli z tego wspólnego pnia wystrzelających, do zatarcia miejscowych interesów, egoistycznych prądów, a wyrobi jednolity nastrój duchowy, geniusz, całéj rasie anglo-saskiéj, jako takiéj, wspólny.

Raz zdawszy sobie sprawę z doniosłości tych danych statystycznych i ich moralnego znaczenia, raz doszedłszy do przeświadczenia, że masa anglo-saska rosnąć będzie jak lawina śnieżna, i że nie ma sposobu ani w jéj rozlewie ją powstrzymać ani téż przewidywać współzawodnika coby z nią mierzyć się był w stanie, znajdujemy się w obec niezłomnego prawa społecznego. Zamiast wchodzić z niém w bezuży-

teczną zwadę albo nań sarkać, właściwszém być się zdaje zapuścić ołowiankę w pokładowe warstwy tego szczepu, poznać ich naturę i wyrozumiéć jak się to stało, że mu się hegemonią wśród świata pozyskać udało. Historyczne urobienie się narodowości angielskiéj jest tak dobrze znaném, że się zbłąkać w téj dziedzinie niepodobna, a gdy dodamy do niego przewodnie idee, wiodące społeczeństwo angielskie po gościńcu cywilizacyjnym, to będziemy posiadali niezbędne warunki do naszéj analizy.

Gdy rasa aryjska z wyżyn środkowéj Azyi napłynęła do Europy, najczystsze, najszlachetniejsze, najbardziéj uzdolnione jéj plemię, plemię celtyckie nie ograniczyło się do zawładnięcia stałym lądem, ale przekraczając wąską cieśninę, dzielącą odeń dwie wielkie wyspy, składające Wielką Brytanią, osiedliło się na niéj zaraz w pierwszéj epoce swéj migracyi. Wszyscy bez wyjątku badacze historyczni widzą w tém pochodzeniu celtyckiém niezaprzeczoną korzyść dla późniejszych ich następców, Anglów, Sasów, Normanów. Prace etnologów współczesnych ze słuszną dumą wykazują pierwiastki cywilizacyjne, ujawniające się u wszech narodów celtyckich, a przedewszystkiém u plemienia Brytanów. Wcześniejsze a niezaprzeczonéj powagi świadectwo w tym samym przedmiocie przyniósł już Cezar, składając hołd nietylko ich odwadze w wojnie ale ich talentom w pokojowém osadnictwie. Poetyczne utwory bardów celtyckich, których szczątki szczęśliwie do naszych przechowały się czasów, opromieniają te pierwotne plemiona brytańskie niezatartym urokiem. Łatwo przypuścić, że gdy Brytania podbitą została przez Rzym za czasów Klaudyusza, panowanie rzymskie, trwające następnie przez półczwarta wieku, nie miało do zwalczania tutaj takiéj saméj dziczyzny jak w tacytowskiéj Germanii: *humanitas* rzymska znalazła utorowaną już dla siebie drogę.

Zespolenie Celtów z Rzymianami można uważać — z wyjątkiem górzystéj i mniéj dostępnéj Walii — jako dokonane, gdy pojawiają się napaści plemion germańskich. Jak wiadomo, wyprawy zdobywcze tych ostatnich rozpoczęte w IV-ym wieku naszéj ery miały dwa stanowcze momenta: pierwszy z nich przypada na V-ty a drugi na IX-ty wiek. Początkowe wyprawy były istotnie germańskie i obejmowały Anglów, Franków, Sasów i Longobardów, drugie miały charakter bardziéj skandynawski, uosabiający się w Danach i Normanach. Rozmaite te plemiona germańskie powtarzały tam corocznie swoje łupieskie najazdy, zanim uznały za właściwe osiedlić się na dobre wśród wycieńczonego kraju. Na pierwotnym pniu celtyckim, już rzymską mieszaniną przejętym, zaszczepiła się wówczas gałąź germańska przez Anglów w północnéj, przez Sasów w południowéj części kraju. Fer-

mentacya wewnętrzna i stopniowe kształtowanie się społeczności z tylu różnorodnych czynników sklejonéj, odbywało się w ciągu kilku następnych stuleci, zapewniając przewagę tutaj jednym a tam drugim. Przejście w VI wieku na łono kościoła chrześciańskiego wielkiej części plemion germańskich, zamieszkujących Brytanią, nie pociągnęło widocznie żadnéj reakcyi na rzecz cywilizacyi łacińskiéj, skoro język, w powszechném używaniu będący, zachował swoją germańską etymologią.

Najazdy skandynawskich Danów i Normanów, odbywały się w taki sam sposób, jak germańskie. Zanim ujarzmili Brytanią w IX wieku, już od kilku wieków wdzierać się do niéj przyuczyli: ostateczne podbicie jéj przez Wilhelma Zdobywcę jest tylko uwieńczeniem i ostatniém słowem ich nieprzepartege prądu. Najcharakterystyczniejszą stroną tego normańskiego podboju jest to, że owych 20,000 rabusiów i opryszków, którzy odnieśli zwycięstwo pod Hastings nie było bynajmniéj tak dziką chmarą jak dawniejsi najezdnicy germańscy. Przybyli oni tym razem z sąsiedniéj Francyi, gdzie się byli osiedlili już na 160 lat przedtém, gdzie byli przesiąkli cywilizacyą łacińską; jest to istotnie podbój dokonany przez narodowość wyższego poziomu duchowego, a data 14 października 1066 roku, zwycięstwo Wilhelma nad Haroldem, jest w ukształtowaniu się szczepu anglo-saskiego momentem niezapomnianego znaczenia dziejowego. Południe podbiło północ, a cywilizacya łacińska, kościół rzymski, język francuski odnoszą tryumf nad dziczą barbarzyńską. Nie ma wątpienia, że potężna indywidualność Wilhelma Zdobywcy, który w kraju podbitym uważał się i przedstawiał nie jako wróg ale jako prawy spadkobierca swych anglo-saskich poprzedników, przyczyniła się wielce do przyśpieszenia zlewu Germanów angielskich z Francuzami angielskimi i do zrobienia z nich poprostu Anglików. Nie różnice krwi, trudne nawet do sprawdzenia wśród chaotycznéj mieszaniny plemion, ale wspólność posiadania ziemi, na któréj się osiedlili, nadała ostateczną sankcyą narodowości anglo-saskiéj. Powiadamy ostateczną, bo od normańskiego najazdu nigdy już ziemia angielska nie stała się łupem najezdnika, a przeciwnie po upływie małego stosunkowo czasu, widzimy naród angielski, podbijający swych sąsiadów, sadzający swych królów na tronie Francyi.

Ażeby takie wczesne manifestacye siły państwowéj angielskiéj módz sobie wytłómaczyć, trzeba przyjąć jako przesłankę, że się ma już w XIII wieku, w epoce Wielkiéj Karty, narodowość stanowczo wytworzoną. Wiemy jak podczas téj stóletniéj epoki osłupienia i milczenia, w jakie popadła Anglia po podboju normańskim, stopiły się

w kotle różnorodne pierwiastki; język przyswoił sobie dwa razy większą liczbę wyrazów pochodzenia francuskiego aniżeli germańskiego, a gramatyka i składnia uprościły się na wzór francuskiéj; oświata któréj ogniskami stają się wszechnice w Oksfordzie i w Cambrigde, czerpie w tradycyi klasycznéj. Ale pierwiastki germańskie były zbyt silne, aby ustąpić miały miejsca nowemu żywiołowi. Zamiast się wzajemnie wytrzebiać, podały sobie ręce i do wspólnego zaprzęgły dzieła, a gdy świta wiek XIII-ty, najważniejszy w dziejowym rozwoju społeczeństwa angielskiego, stanowiący o całéj jego przyszłości, nie ma już rywalizacyi plemiennych, nie ma wewnętrznéj zwady pomiędzy germańskim a francuskim pierwiastkiem, lecz jest za to kraj, zagospodarowany, samoistny, groźny dla sąsiadów, kraj zamieszkały przez narodowość, która nie dba o swoje celtyckie początki, o swoją zależność od rzymskich Cezarów, która nie rozróżnia wśród swych synów Anglów i Sasów, skandynawskich Duńczyków albo francuskich Normanów, ale która się nazywa, która się czuje inną, odrębną — angielską. Język, zwyczaje, prawa, instytucye noszą już swoją cechę angielską. Może przyjść w następnych wiekach, pod wpływem zewnętrznych wypadków, reakcya przeciwko temu lub owemu czynnikowi składowemu, mogą antykwaryusze, grzebiąc w nagromadzonych przez następne stulecia rupieciach, przyznawać tendycyjnie przewagę jednemu a upośledzać drugie, naród angielski przestaje się o to troszczyć. Tyle krwi szlachetnéj do jego organizmu napłynęło z różnych źródeł, i tak subtelnie organizm ten przyswoił je sobie, że się czuje samodzielnym, a jeżeli szczepowéj solidarności nie zrywa, to indywidualnie czuje się odrębnym osobnikiem. Gdy się chce wśród przewodniczących osobistości piśmienniczych znaleźć postaci, które by stały jako symbole epok graniczących z sobą nieledwie, a jednak już całkiem odrębnych, to dość będzie wymienić Rogera Bacona i Chaucera. Sto lat dzieli mędrca łacińskiego od poety, który napisał *Canterbury Tales*. Nie tylko treścią, tak samo jak językiem *Opus majus* należy do innéj sfery, innego świata od poezyi Chaucera. Pierwszy był wyrazem cywilizacyi wszechświata i przypadkowo tylko, że tak powiemy, należał do Anglii; drugi, lubo w pierwszych swych utworach znajduje się jeszcze niezaprzeczenie pod wpływem francuskim, w następnych pokazuje już dojrzałą, świadomą swéj dojrzałości narodowość. Gdy się weźmie na uwagę na jakie wyżyny w złotym wieku Elżbiety miał się wznieść twórczy geniusz piśmiennictwa angielskiego, to trzeba przyznać, że nie zależał on pola i że musiał uprzednio już posiadać *in latenti* warunki uzdalniające do tak nadzwyczajnego rozkwitu.

Rasa anglo-saska tak szczęśliwie dla siebie utworzona przez mie-

szaninę różnorodnych typów i pierwiastków, z których żaden nie zniknął tak całkowicie, ażeby antropologowie i etnologowie dziesiejsi nie potrafili na jaw go wydobyć, znalazła w wyspiarskiem swém odosobnieniu nieocenioną rękojmię dla somodzielnego rozwoju wewnętrznego. Kieda reszta Europy wśród mętnych a burzliwych wieków średnich bezużytecznie wyczerpuje swe siły na bratobójcze walki, świat angielski krzepnie, mężnieje, wzbogaca się materyalnie i niebawem wyrabia u siebie formę państwowego bytu, w jakim inne narody uznały ideał doskonałości, jaki mniéj lub więcéj szczęśliwie naśladować zaczęły, ale jakiego żaden z nich aż do dnia dzisiejszego urzeczywistnić nie potrafił. Na téj wyspie ujętéj w szare a niegościnne fale oceanu, w wilgotne mgły uwitéj, roztliło się ognisko swobody obywatelskiéj o niewygasłém ani na chwilę zarzewiu.

Gdy w zaraniu XIII stulecia feudalni baronowie angielscy wymogli na wycieńczonym królu Janie ustępstwa i przywileje objęte w Wielkiéj Karcie, nie zdobyli ich jedynie dla siebie. Szerokie, coraz szersze koło obywateli wchodziło w ich posiadanie, a potęga, władza, znalazła się nie w ręku jednostki — króla, — ale w ręku całego społeczeństwa, t. j. tych jego warstw, które w imieniu całego organizmu narodowego przemawiały i przemawiać wówczas miały prawo. Ponieważ, odpowiednio do prawa społecznego, nie cierpiącego najmniejszego wyjątku, wszystkie reformy i czwilizacyjne zdobycze wychodzą nie od rządu i władzy wykonawczéj ale tryskać, muszą z samego łona społeczeństwa, zatém jest oczywistém, że ten naród, który pierwszy się wyemancypował z kurateli, zdobył na samodzielność, był w stanie wprowadzić w życie największą ilość reform i zostawić daleko po za sobą inne narody, ubiegające się jeszcze o częściowe choćby uprzątnięcie paraliżżających ich swobodny rozwój zawad. Nie upłynęło stu lat a już w parlamencie angielskim obok przedstawicieli uprzywilejowanych baronów, zasiadali przedstawiciele miast—organizmów zbiorowych nie zaś klasowych. Nie ma potrzeby przypominać ani walk parlamentu z koroną o udzielenie i rozszerzenie swobód i praw narodu, ani wojen długoletnich a pomyślnych z sąsiadami, ani wcielenia Walii i Szkocyi do organizmu państwowego; każda z tych okoliczności przyczyniła się tylko do wzrostu potęgi społeczeństwa, do coraz zupełniejszéj jego emancypacyi. Gdy w XVII wieku poważył się król targnąć na wywalczone i przeszłe w soki narodu publiczne swobody, ten ostatni posunął się do królobójstwa. Od wiekopomnéj owéj rewolucyi i ustalonego po niéj nowego porządku państwowego, datuje ostateczny tryumf swobód publicznych u społeczeństwa angielskiego. Wdzięczna ludzkość raz na zawsze zespoliła pojęcie owéj zasady z istnieniem téj rasy i te-

go państwa, a samopoc, samodzielność, początkowanie uznane jako właściwość każdego obywatela, gdy opieka ze strony władzy centralnéj i jéj kierownictwo spowadzone są do minimum: oto typowe podstawy istnienia Anglo-Sasów, jako ciała politycznego.

Obok publicznéj swobody, naród ten stał się także wyrazem swobody religijnéj. Nie ma już potrzeby wdawać się obecnie w spór dogmatyczny co do względnéj wyższości katolicyzmu albo protestantyzmu, ani zapytywać się, czy ta lub owa forma chrystyanizmu bardziéj lub mniéj sprzyja rozwojowi i historycznéj roli społeczeństw. Ale nikomu téż na myśl nie przyjdzie zaprzeczyć, że ruch, który reformacya protestancka sprowadziła, tchnął nowego ducha w społeczeństwa, wyrwał je z pleśniejącego zastoju, pobudził do wszechstronnéj działalności, dał początek swobodzie myśli, dyskusyi, piśmiennictwu i wiedzy. Społeczeństwo angielskie, któremu idee przewodnie i zasady protestantyzmu stawały się coraz droższemi w miarę usiłowań reakcyi prześladującéj go, przenikło nawskroś ferworem purytanizmu. W XVII wieku, naród cały, podług trafnego określenia historyka narodowego J. R. Green'a, stał się kościołem. Za naszych czasów, gdy zaciętość walk religijnych stępiała, łatwo jest purytanizm anglo-saski ośmieszać i fanatyzm oraz ciasnotę pojęć mu wyrzucać; ale niepodobna zaprzeczać, że owa reforma religijna natchnęła naród do energicznéj działalności, że mu dała spójność, wytrwałość, hart niezłomny, że moralność jego stała się żywotną. Anglia istotnie odrodziła się i do nowych zapasów uzdolnioną została przez protestantyzm. Korzyści przyniesione jéj przez sztandar swobody religijnéj, pod jaki się zaciągnęła, nie kazały długo na siebie czekać. Z jednéj strony, purytańscy osadnicy położyli na drugiéj półkuli podwalinę nie tylko dla kolonialnéj potęgi angielskiéj ale dla niezrównanéj potęgi rasy anglo-saskiéj wśród świata; z drugiéj — gdy po ukończeniu wojny siedmioletniéj powstała Europa w nowym swym ustroju, Wielka Brytania, po zepchnięciu z piedestału dotychczasowego wszystkich mocarstw katolickich, zajęła ich miejsce nie tylko jako wielkie mocarstwo europejskie ale jako wszechświatowe.

Nie wystarczyło bowiem rasie anglo-saskiéj być najdoskonalszym teoretycznym reprezentantem swobód politycznych i religijnych, lecz przedsięwzięła ona, pobudzana do czynu przez energię i dziarskość zaczerpniętą w swéj krwi germańskiéj, jeszcze praktyczną misyę cywilizacyjną na całéj powierzchni świata. Utrata najpotężniejszéj swojéj kolonii nie tylko nie powstrzymała Wielkiéj Brytanii od zakładania innych osad i kolonii, ale przeciwnie dała jéj do tego nowego bodźca. Hiszpania, Francya przestały być rywalami niebez-

piecznymi, zepchnięte ze swéj kolonialnéj hegomonii, nigdy już odzyskać jéj nie potrafią, choćby dla tego, że brakuje już miejsc rozporządzalnych na kuli ziemskiéj. Wielka Brytania posiada w innych częściach świata kraje 65 razy wynoszące jéj własną rozległość. Jak słusznie przewidział profesor Secley, historya Anglii nie rozgrywa się już obecnie w Europie ale w Ameryce i Azyi.

Powierzchowni dziejów badacze, wzdrygając się na widok potęgi brytańskiéj, przytaczają chętnie przykłady innych państw, które ongi berło wśród wszechświata dzierżyły i przepowiadają jéj taki sam upadek jaki dotknął Wenecyę albo Holandyę. Ale chwila zastanowienia wykaże zupełny brak analogii. Wielka Brytania nie ogranicza się na zrabowaniu i jednorazowém wyzyskaniu swoich kolonii, ale stopniowo i systematycznie wciąga je w sferę swéj cywilizacyi, zasila swą rasą, uszlachetnia swą religią, mową, literaturą, zbogaca swym handlem i swemi kapitałami, organizuje je na podstawach szerokiego samorządu. Te nowe Anglie, które na wszystkich punktach świata, na jéj wezwanie stanęły do bytu, są tedy niezaprzeczoną odroślą szczepu plemiennego. „Amerykanie Stanów Zjednoczonych, powiada amerykanin Emerson, są przedłużeniem angielskiego geniuszu wśród nowych, mniéj lub więcéj sprzyjających warunków“. To samo będzie można powiedzieć o innych osadach angielskich. Ale, powtarzamy, że gdyby kolonie obecnie do berła Wielkiéj Brytanii należące, oderwały się od niéj w przyszłości i w samodzielne ukształtowały państwa, ludzkość nic na tém nie traci, gdyż nie nastąpi taka emancypacya w żadnym razie pierwéj, zanim rasa anglo-saska nie rozmnoży się i nie spotęguje i nowych grup państwowych na obraz i podobieństwo macierzy nie utworzy.

Dzięki płodności i ożywczemu ciepłu dwóch zasad, które jéj bytowi przewodniczyły — swobodzie politycznéj i swobodzie religijnéj— była w stanie rasa anglo-saska zająć wśród świata nowoczesnego stanowisko niezaprzeczenie górujące. Ażeby całkowicie zdać sobie sprawę, wystarczy uprzytomnić sobie wzrost materyalny jéj potęgi, oraz jéj niewyczerpaną, nigdy nie stygnącą działalność umysłową: dwa narzędzia, które jéj do osiągnięcia tego celu posłużyły.

Nie potrzeba, gdy się chce objąć jedném spojrzeniem ekonomiczny zasób, jakim obecnie już Anglo-Sasi rozporządzają, rozszerzać się nad Stanami Zjednoczonemi Ameryki, albo nad Australią. Jakkolwiek wytworzone już w tych młodzieńczych organizmach dobytki są zdumiewające swym ogromem, wiemy dobrze, że znajdujemy się dopiero w obec niemowlęcéj fazy ich rozwoju, który wzrasta z każdym rokiem, z każdym miesiącem nieledwie, w rozmiarach fantastycznych.

Poprzestając atoli na saméj Wielkiéj Brytanii, na jéj trzech zjednoczonych królestwach, znajdziemy już w niéj saméj wystarczający dowód ciągle pomnażającego się narodowego i indywidualnego bogactwa.

Robert Giffen, największa powaga w dziedzinie statystyki, w ostatniém swém dziele *Growth of capital*, wydaném w 1889-ym roku, przytacza cyfry zatrzymujące się na roku 1885-ym. Ponieważ jednak przyjął dziesięcioletnie okresy, nie trudno porównywając parę ostatnich przewidzieć cyfry następne, tak rozwój jest normalny. Szacuje on całość społecznego zasobu Wielkiéj Brytanii w 1885-ym roku na sumę 10,000 milionów funtów szterlingów, czyli na sto miliardów rubli. Całe znaczenie téj cyfry zrozumiemy, przypomniawszy sobie, że przed 300 laty, w 1600 roku, zasób ten przybliżenie oceniany był na 100 milionów funtów szterlingów, w 1680 r. na 250 milionów, w 1750 r. na 500 milionów, a w pierwszym roku naszego stulecia zaledwie na 1,500 milionów funt. szt. W dwadzieścia lat później wynosi on już o miliard więcéj; w 1833-im roku przybywa nowy miliard, w 1845 r. spotykamy już 4,000 milionów. Metody oceny stają się coraz dokładniejsze, coraz większą pewność dające. W roku 1865-ym bogactwo nieruchome i ruchome Wielkiéj Brytanii podaje p. Giffen na 6,000 milionów funt. szt., w dziesięć lat później na 8,500 milionów, a na ostatnie dziesięciolecie na 10,037 milionów funt. szt. Chociaż przyrost ogólnego bogactwa zeszedł do stopy 17%, to można przyjąć jako pewnik, że w ciągu każdego następnego dziesięciolecia powiększy się przynajmniéj o jeden miliard funtów szterlingów. Porównywając wzrost zamożności angielskiéj z zamożnością Francyi — najbogatszego z narodów stałego lądu, — okaże się, że téj cyfrze 10,003 milionów może ona przeciwstawić tylko 7,200 milionów. Kiedy na głowę mieszkańca Wielkiéj Brytanii przypada 270 funt. szt. majątku, we Francyi jest go dopiéro 190 funtów szterlingów.

Nie ma potrzeby schodzić do rozmaitych drobiazgów i do szczegółowych pozycyi tego wykazu; każda z nich dodaje swoją cegiełkę do téj olbrzymiéj budowy. Gdy się zrozumie niestrudzoną wytwórczość przemysłu angielskiego, ruchliwość i energię handlu, posługującego się marynarką kupiecką bez rywala, olbrzymi rynek handlowy Anglii w samych jéj koloniach, wzorowy system finansowego gospodarstwa, to się ma prawo zapowiedzieć bez najmniejszego wahania dalszy szereg takich samych sukcesów. Nietylko że nie ma najmniejszéj zapowiedzi ekonomicznego słabnięcia, a tém mniéj upad-

ku, ale trzeba dojść do wniosku, że nie ma społeczeństwa lepiéj przygotowanego do zniesienia przesileń, do stawienia czoła wszelkim kataklizmom materyalnym, jakieby się na nie zwalić mogły. Już samo to zagospodarowanie zapewnia rasie anglo-saskiej niewątpliwą wyższość w wyścigach międzynarodowych.

Wartość społeczeństw na szali dziejowéj nie waży się jednak na funty szterlingi. Większe znaczenie miały, mają i mieć będą etyczne i intelektualne czynniki. Z góry wiedzieć można, że gdyby angielska społeczność nie była i tutaj celowała, nie potrafiłaby wznieść się na wyżyny, na których ją znajdujemy. O etycznych czynnikach mówić tu nie ma potrzeby. Chociaż zdanie, wypowiedziane ongi przez H. T. Buckle'a w jego „Historyi cywilizacyi w Anglii“ o niezmienności praw moralnych w przeciwieństwie do ciągłego rozwoju intelektualnego, było nieraz napastowane gwałtownie, wyraża ono niezaprzeczoną prawdę. O moralności rasy anglo-saskiéj, uważanéj zbiorowo, nie można powiedzieć nic innego, jak o moralności innych grup narodowościowych. Nie z jakościowemi, ale z ilościowemi różnicami ma się tu do czynienia, a odcienie delikatniejsze nie dają się ująć w formułki matematyczne. Psychologia narodu, rasy, na długie lata pozbawiona być musi ścisłości, i jedynie na syntetycznych ogólnikach poprzestawać będzie potrzeba.

O umysłowym za to rozwoju, o twórczości naukowéj, piśmienniczéj, artystycznéj mówić można z pewnością, wspierającą się na nieprzebraném mnóstwie faktów dotykalnych, samych o sobie świadczących. Anglo-saska rasa błyszczy na tym horyzoncie, jak pierwszorzędna gwiazda. W całéj historyi ludzkości jeden tylko naród przewyższył ją pod tym względem: Grecya. Wśród nowoczesnego świata jednego tylko ma godnego siebie współzawodnika—Francyą. Wprawdzie piśmiennictwo angielskie rozpoczyna się o kilka stuleci późniéj od francuskiego, ale Taine ma słuszność twierdząc, że od chwili, jak powstało, okazuje nieprzerwany, logiczny, systematyczny rozwój, że się w nim nie zatrzymało i pierwiastków swych nie wyparło, że zawsze odzwierciadlało temperament narodowy i wyrażało, z większą lub mniejszą pięknością artystyczną, ale energicznie i dosadnie, wspólne aspiracye i podniosłe ideały. Biorąc za punkt wyjścia choćby dopiéro wiek XVI-ty, w którym rasa fizycznie ukształtowana, moralnie przez reformacyą purytańską zahartowana, z pełną samodzielnością tworzyć zaczyna, znajdujemy się odrazu wobec Shakespearów, Spencerów i Sidneyów. Nie potrzeba katalogowego wyliczania nazwisk filozofów, dramatyków, liryków, satyryków, essayistów, pisarzy rozmaitych szkół i nastrojów, którzy w krewniaczych

grupach, albo w dumném odosobnieniu występowali na piśmienniczém polu: oddawna ludzkość oświecona powitała w nich mistrzów. Często szkoły angielskie, bądź w téj lub owéj gałęzi spekulatywnéj, lub doświadczalnéj filozofii, bądź w poezyi i romansopisarstwie rej wodziły i wywoływały naśladownictwo; nieraz znowu, zapożyczając u sąsiadów plenne ziarna, sadzili je Anglicy na swojéj grzędzie i potrafili im nadać natychmiast indywidualne, miejscowe piętno. Tak jak w dziedzinie nauk ścisłych, astronomii, fizyki, mechaniki, nauk przyrodniczych, etc., rasa anglo-saska poszczycić się może twórczymi geniuszami, którym świat potężne zdobycze zawdzięcza, tak wśród nieprzejrzanego zakresu poszukiwań historycznych, teologicznych, technologicznych, jak nakoniec w lotnéj sferze fantazyi ujawnia działalność niestrudzoną, bujną. Nie ma wysiłku, któregoby nie podjęto, żadnych funduszów nie skąpiono, ażeby wydoskonalić instytucye, służące do ogólnéj oświaty, albo specyalnych jéj gałęzi. Biblioteki, muzea, szkoły, uniwersytety posiadają doskonałość, na jaką się zdobyć było można. Poziom oświaty społecznéj podnosi się z każdém pokoleniem.

Na tak silnéj naukowéj i piśmienniczéj wykarmiona strawie, rasa fizycznie zdrowa i czerstwa, moralnie udyscyplinowana i karna, materyalnie zasobna, przedstawia harmonijny zlew dodatnich pierwiastków i czynników, któremu równego nie wydala dotąd ludzkość. „Londyn — powiedział wyżéj cytowany oryginalny amerykański myśliciel, R. W. Emerson — jest Rzymem nowoczesnego świata, a Anglia narodem najwyższéj wartości.“ Gdy się spotyka taki sąd pod piórem człowieka, który widzi w swych ziomkach, Amerykanach, po prostu dalszy ciąg Anglików, miałoby się może pohop podejrzéwać jego bezstronność. Ale chwila rozwagi wystarczy do usunięcia tego podejrzenia.

Nie myślimy przepowiadać końca narodom łacińskiego szczepu. Byłoby to istotną klęską dla ludzkości, która tyle im ma do zawdzięczenia w przeszłości i która jest uprawnioną do przewidywania u nich świetnych epok rozwojowych w dalszych stuleciach. Lecz gdy się nie ograniczy spostrzegawczego widnokręgu chwili współczesnéj, ale zapyta o naukę u historyi, to nie można powiedzieć, ażeby uspokoiła nas co do losów, czekających trzy główne jéj narodościowe grupy: Hiszpanów, Włochów i Francuzów. Hiszpania straciła nietylko swe znaczenie europejskie, ale i kolonizacyjne. Rozmaite rzeczypospolite południowéj Ameryki szamocą się bez przerwy w anarchicznych podrygach, i owa część świata, która miała zostać rozsadnikiem hiszpańskiego geniuszu rasowego, albo zostanie bez-

płodną, albo ulegnie reformacyjnemu wpływowi i przewadze innoplemiennych osadników. Włochy obudziły się wprawdzie z letargu wielowiekowego i utworzyły państwo jednolite, lecz organizacya ta nastąpiła w chwili, gdy stało się dla nowego mocarstwa materyalném niepodobieństwem rozlać się po innych częściach świata i stworzyć tam osady na swój obraz i podobieństwo. Jakkolwiek w europejskich swych, przez naturę raz na zawsze zakreślonych granicach, może się naród włoski wzmódz w liczebną i duchową siłę, widoczném jest, że nie będzie mógł nigdy rywalizować z Anglo-Sasami. Trudniejszą jest odpowiedź co do Francyi, nietylko dlatego, że w przeciągu całego historycznego rozwoju świata europejskiego kroczyła ona na przedzie cywilizacyi i oddała jéj nieocenione przysługi, przeniknęła ją swym geniuszem; nietylko dlatego, że w każdéj sferze twórczości materyalnéj i duchowéj po dziś dzień nie postradała swéj płodności, ale dlatego przedewszystkiém, że jesteśmy właśnie obecnie świadkami energii, jaką rozwija, fundując nowe kolonie. Im mniejsza jest płodność rasy francuskiéj, tém większe znaczenie ma dla jéj stanowiska w przyszłości posiadanie terytoryów, przeznaczonych do rozpleniania takowéj i do zabezpieczenia materyalnéj podstawy dla geniuszu francuskiego. Nietylko, że Francya lekkomyślnie postradała największe kolonialne posiadłości po za europejskie, nietylko że po każdéj wielkiéj wojnie odstępowała je swym szczęśliwym współzawodnikom, nietylko że nie wyzyskiwała tych, które się jéj utrzymać udało, ale zdawało się za dni naszych, że systematycznie wyrzec się ich pragnie. Szczęśliwa gwiazda oświeciła ją jednak w porę i nie da się zaprzeczyć, że zarówno w staréj Azyi, jak w młodéj Afryce, Francya wytworzyła kolonie, które mogą stać się w późniejszych stuleciach rękojmią trwałéj potęgi.

Z trzech narodowości szczepu łacińskiego, jedynie francuska mogłaby więc być przeciwstawiona anglo-saskiéj. Gdyby się z samą Anglią mierzyć jéj przyszło, możnaby, przy dobréj woli, co najwyżéj kwestyę jako nierozstrzygniętą uważać. Lecz nie należy zapominać, że po za tą ostatnią stoją Stany Zjednoczone, Australia i inne grupy kolonialne. Czterdziestu milionom Francuzów przeciwstawić one mogą sto pięć milionów już obecnie. Biorąc na uwagę z jednéj strony większą płodność plemienną i łatwiejsze materyalne warunki bytu, z drugiéj już obecnie posiadaną wyższość, dojść się musi do niechybnego wniosku, że wybije godzina na zégarze ludzkości, w któréj rasa łacińska jako taka, mimo żywotności Francuzów, w którą *quand même* wierzyć się nam podoba, zajmie stanowisko drugorzędne, podrzędne.

Z wszystkich plemion germańskiego pochodzenia Anglo-Sasi okazali się najczynniejszymi, najbardziéj przedsiębierczymi, najwyżéj ucywilizowanymi. Im dostało się w udziale przenieść kwiaty i owoce rozwoju europejskiego do innych części świata. Podniósłszy dodatnie pierwiastki cywilizacyjne w Europie do najwyższéj potęgi, zamykają oni jéj cykl ostatecznie i pozwalają nam z matematyczną pewnością, a bez żalu, wypowiedziéć przekonanie, że ludzkie mrowisko, krzątające się na kuli ziemskiéj, z biegiem czasu kształtować się będzie na anglo-saskiéj modle.

Dr. M. E. Trepka.

ESTETYKA WILANOWA.

OGRÓD I PAŁAC W WILANOWIE

Zmrok przedsionka i wąskie, zupełnie ciemne przejście gmachu panoramy potęgują wrażenie jéj. Nietylko jednak w drażniącym kontraście pomiędzy światłem a cieniem, lub też w perspektywiczném złudzeniu wyłącznie kryje się urok obrazu dioramowego lub panoramowego, źródłem piękna jest tu porównanie rzeczywistości ze złudzeniem. Przestrzeń bowiem pomiędzy widzem a malowanym obrazem, wypełniona jest rzeczywistemi przedmiotami, tak np. w panoramie wielka płaszczyzna, u samych stóp widza z ziemi wyrastają kłosy dojrzałego zboża i następnie niepostrzeżenie przechodzą w łany, malowane na płótnie. Po nad głową widza rozciągnięte druty telegraficzne, mając swe przedłużenie w malowanych liniach, łudząco biegną w daleką przestrzeń kraju. W panoramie, odtwarzającéj bitwę, armata, tu i owdzie broń, lub czapka żołnierska porzucona, faszyny, nareszcie samo pole bitwy utworzone z kamieni i ziemi krwią zbroczonej, potęgują wrażenie widoku malowanych epizodów wojennych.

Potęgowanie wrażenia przez zestawienie rzeczywistych z malowanemi przedmiotami z łatwością może być doświadczane w zwierciadłach, w których odbicia mają nieujęty urok artystyczny bez względu na powszedniość odbitego przedmiotu. Znany jest wszystkim piękny widok całego szeregu odbitych płomieni gorejącéj świécy pomiędzy dwoma zwierciadłami umieszczonéj. Pierwsze odbicie ma więcéj uroku niż sama gorejąca świéca, następne okazują

się oku w spotęgowanym stopniu idealizmu, którego artyzm polega tu na ciągłém porównywaniu rzeczywistości z urojeniem. Świéca gorejąca jest rzeczywistością względem jéj odbicia, które z powodu względnéj swéj siły i wyrazistości, musi być uważane za rzeczywistość względem następnego zwierciadlanego obrazu. Na zasadzie ciągłych porównań polega estetyczny urok, nieraz bardzo nudnéj perspektywy krajobrazowego piękna. Długa alea drzew, lub wprost niknący z oczu szereg słupów telegraficznych, ma swój estetyczny urok, który polega na porównywaniu bliższych z dalszemi drzewami, czy téż bliższych z dalszemi słupami telegraficznemi, które wywołują tu podobne wrażenie, jak widok całego szeregu odbić przedmiotu pomiędzy dwoma zwierciadłami umieszczonego. Im przedmiot daléj od oka, tém ma więcéj w sobie uroku, zupełnie jak obraz zwierciadlany płomienia. Estetyczna wartość pejzażu malowanego nietylko polega na umiejętnéj perspektywie, odtwarzającéj dokładnie rzeczywiste widoki, ale na wywoływaniu fantastycznych wrażeń, których źródłem porównywanie przedmiotów pierwszego planu z następnemi planami. Zbytecznem byłoby dodawać, iż przedmioty te mogą być rozmaite, bo samo oddalenie, względnie do odległości, zmiana kolorytu oddalających się przedmiotów, jest drogą porównania, wiodącą od dotykalnéj rzeczywistości do majaczejącéj w dali krainy złudzeń uroczych.

Zwierciadlany obraz, jakkolwiek tą samą drogą na wzrok działa jak przedmiot rzeczywisty, nie dając się jednak dotykiem sprawdzić, ma w sobie urok różnobarwnego cienia. Pomiędzy nim a dotykalnym światem jakby zawieszona zasłona z niewidzialnéj subtelnéj gazy. Zegar, biust lub wazon przed zwierciadłem ustawiony, zresztą już same ramy lustra, jako rzeczywisty przedmiot, jako kontrast rzeczywistości z urojeniem odbicia jego, wrażenie potęgują. Nietylko więc poprawna perspektywa jest źródłem wrażenia, jakiego doznajemy na widok panoramowego, czy téż dioramowego obrazu. Dają one nam przybliżone wyobrażenie przejścia od świata rozkoszy materyalnych, do sfery duchowych zachwytów, od dotykalnych do niedających się dotykiem sprawdzić wrażeń i z nich wypływających uczuć. Istnieje tu podobieństwo ze światem matematycznych rozumowań, w których od grubych pozytywnych faktów, od prostego mierzenia łokciem i liczenia na palcach, umysł ludzki wzniósł się do niemateryalnych sfer pojęcia o nieskończoności.

Nudny, mroczny, lub ciemny świat materyalny, w którym gruba zmysłowość jest jedynym drogowskazem, wiedzie do świe-

tlanych widoków, jak piasczysta, zaniedbana i wśród jednostajnego, płaskiego krajobrazu droga do Wilanowa.

Wśród najrozmaitszych okazów miejscowéj i egzotycznéj flory, naturalnéj i sztuką skrępowanéj roślinności, utworów architektury, rzeźby i malarstwa, na gruncie wilanowskim zaszczepionych, istnieje pewna harmonijna spójnia ogólna, jak pomiędzy różnorodnemi postaciami malarskiego dzieła.

Sztuka ogrodnicza, architektura i rzeźba zabarwiona, są składowemi tonami tego wzrokowego koncertu, w którym, podobnie jak w każdym harmonijnym utworze, istnieje ton główny, kłębek nici przewodniéj myśli kompozytora.

Tym głównym estetycznym tonem piękna i harmonii wilanowskiego parku jest równościęty szpaler drzew, który jak okno i lub też jakby rama, obejmuje żywy pejzaż alei drzew i w dali budowli czerwieniejącéj w Morysinku. Szczególniéj drzewa po obu stronach pejzażu nikłe w rysunku i kolorycie, jakby subtelną, przezroczystą gazą przykryte, wydają się raczéj utworem malarskim, niż żywą roślinnością. Złudzenie to powstaje z porównania dwóch równościętych grup drzew, które przez swą, prawie matematyczną bryłowatość umiarowych kształtów, są taką rzeczywistością, jak w panoramie kłosy lub grunt naturalny u stóp widza, w porównaniu do malowanego obrazu, lub też względem majaczejących w dali drzew i czerwonego domku na gruntach Morysinka. Obserwacya rzeczonego pejzażu ze środkowego okna pałacu, tarasu, wiodącego do dolnéj części parku, lub samego szpaleru, przekonywa, że współczesne i nieuniknione porównywanie realnych, geometrycznych kształtów ramy roślinnéj, ze swobodnemi grupami drzew, jest źródłem piękna pejzażu Morysinka, różnice bowiem odległości drzew i czerwonego domku od oka widza są względnie bardzo nieznaczne. Krajobraz ten, widziany bez ramy drzew z nad brzegu odnogi Wisły, jest pospolitym widokiem szeregu drzew i pola.

Ciągłe porównywania rzeczywistości z urojeniem są estetyczną podstawą innych wrażeń w parku wilanowskim. Już sama rozmaitość miejscowéj i egzotycznéj flory, drzew iglastych i liściastych, porównanie swojskiéj topoli, grabu, świerku z cudzoziemską tują, obcym nam granatem i mirtem, jest jakby zestawieniem pierwszego z dalekim planem, swojskiego widoku z pejzażem krajów dalekich. Alea nad brzegami odnogi wiślanéj jest fantazyjném nadbrzeżem, bulwarem, którego brzegi zamiast kamiennych, mają z żywopłotu utworzone parapety; piętrzą się tu olbrzymie zielone ściany dworów i pałaców roślinnéj architektury.

Zielona linia parapetu nadbrzeża rozgranicza świat sztuki od natury, regulamin dworskiéj etykiety od swobody niedbałéj, którą Francuzi *le décousu* nazywają. Rytmicznie bowiem powtarzający się w jedną linię wyciągnięty układ drzew, prostokątne, kwadratowe o regularnych, geometrycznych kształtach trawniki i arabeski kwiatami haftowanych kobierców, są jakby śladami cywilizacyi, w przeciwstawieniu do przyrody dziewiczéj, swobodnéj, w swym rozwoju nieskrępowanéj. Naturalna, a więc o nieregularnych kształtach roślinność, jest dla nas obrazem rzekoméj dowolności, uregulowana przyroda daje nam obraz praw światem rządzących, zestawienie téż dwóch takich antytez musi z konieczności wyrodzić czarowne uczucie. Zestawienie rzeczywistych z malowanemi przedmiotami wywołuje nietylko kształtów, ale i barw przemianę, osłabienie lub spotęgowanie ich mocy, jak porównanie barwy zielonéj z czerwoną. Ciemniejszym, bardziéj skoncentrowanym wydaje się koloryt liści równościętego szpaleru, przez który widziane swobodnie rosnące drzewa i błękitna opona nieba wydaje się zabarwiona kolorytem idealnym. Drzewo o naturalném rozgałęzieniu, ma inną barwę, niż to samo drzewo z obciętemi gałęźmi w kształcie stożka, cylindra lub kuli.

Te dwa rodzaje kształtów roślinności dają przybliżone pojęcie dwóch rodzajów krajobrazowego piękna, którego w nowych czasach przedstawicielami byli pejzażyści Ruysdael i K. Lorrain. Przyroda zarówno pierwszemu, jak drugiemu wzorów dostarcza, a jednak flora odmienną ma postać w utworach tych mistrzów.

Chwilowo silniejsze, ale mniéj trwałe, wywołałyby wrażenie ogrody, w których sztuczne drzewa o pniach różnobarwnie pomalowanych i obsiadłych porcelanowemi kwiatami, wyrastają z gruntu o tęczowych i złocistych barwach. Rozmaitość flory i jéj ogrodniczego układu sprawia, że park wilanowski ma trwalsze piękno, niż geometryczne dzieła architekta Le Nôtre'a: ogród w Wersalu i Tuilleryach. Bezwzględna symetrya ogrodów francuskich w których sztywne linie proste i od cyrkla zatoczone półkola, drzewa w kształcie stożków, naprzemian osadzone jak pola w szachownicy, są odpowiednią dekoracyą do dumnéj, despotycznéj i bezwzględnéj roli Ludwika XIV, cech wprost przeciwnych charakterowi Jana III. Naturalne, swobodnie rozwijające się drzewa, ręką króla sadzone, są jakby symbolami jego dobroduszności i prostoty obejścia; sztuczne, manierowane kształty flory i architektury wilanowskiego pałacu stanowią jakby orszak kapryśnego humoru królowéj Marysieńki.

Widok wilanowskiego parku od strony głównego wjazdu, przed

okiem widza zasłonięty, niby teatralną kortyną, na któréj dekorator przedstawił pałacową fasadę. Czyni ona wrażenie, jakby czterech, architektonicznie udekorowanych ścian, albo raczéj w czworobok zabudowanego ogrodzenia, z po za którego wyrastają rozmaite gatunki drzew. Pałac bowiem od strony wjazdu z powodu ukrytych, niewidocznych dachów, nie sprawia wrażenia mieszkalnéj budowli, któréj dach jest cechą główną i znamienną i nieodzowną. Estetyczne znaczenie tego głównego składnika każdéj budowli i charakterystykę jego zrozumiéć możemy przez porównanie głównéj z ogrodową fasadą. Zamiast dachów, widzimy tu konstrukcyą i utylitaryzmem nieusprawiedliwione rozmaitéj wysokości atyki, które właśnie służą do zamaskowania dachów, składników, przypominających realne potrzeby ochronienia się przed deszczem i śniegiem. Budowla bez dachów, lub téż z ukrytemi dachami, jest utworem z dalekich krain, do nas przeniesionym, jakby egzotyczna roślina, a więc także i z tego powodu fasada ta sprawia wrażenie teatralnéj dekoracyi.

Po dwóch stronach głównéj, środkowéj części budowli dwa ryzality, każdy udekorowany czterema koryckiemi kolumnami, podtrzymującemi belkowanie i rzeźbiony atyk, zakończony dwiema parami wazonów. Te dwa ryzality w postaci bram tryumfalnych z obszernemi, choć zamurowanemi a napozór do ogrodu prowadzącemi drzwiami, są już przez te wszystkie pozory efektem teatralnym. Ryzality te bowiem nie są bramami, ani wejściami do parku, jeno zwyczajną częścią ściany, któréj dano na zewnątrz postać ułudną, według fantazyi projektującego fasadę pałacu. Okna po bokach tego ryzalitu, niewytłumaczonemi są także dla oka, albo téż można je mylnie tłumaczyć, jako należące do mieszkania odźwiernego przy owéj rzekoméj tryumfalnéj bramie, lub owém zwodniczém wejściu wiodącém rzekomo z dziedzińca do parku.

Dekoracyą są dachy nad wieżami, kształt ich bowiem krzywolinijny, nie dostatecznie ułatwiający ściek wód deszczowych, nie da się utylitarnie wyjaśnić. Z powodu swych kształtów i braku oświetlenia dachy nad wieżą nie są mansardowemi mieszkaniami a jeno tylko grą kształtów, któréj finałem postacie atlantów, dźwigających złociste kule ziemskie. Fantazyjnym wielce jest sam mały rozmiar olbrzymów atlantów, unoszących na swych potężnych barach kulę ziemską.

Okienka pierwszego piętra z powodu małych rozmiarów i w porównaniu z oknami parteru, są zewnętrznemi znakami maleńkich, prowizorycznych wiejskich mieszkań, jakby w chatce strzechą po-

krytéj. Małe, kwadratowe okienka są także charakterystycznem znamieniem pałacu w Łazienkach, téj po-za-miejskiéj, jakby prowizorycznéj rezydencyi letniéj.

Podwójny ma zatem charakter rezydencya wilanowska. Układ budowli pałacowéj od frontu, wytwarza nieodzowny w magnackich rezydencyach podwórzec pałacowy, t. zw. *cour d'honneur.* Ryzality i wgłębienia, tarasy i attyki, balustrady i kolumny, tryumfalne bramy, płaskorzeźby, biusty i wazony, wieże zegarowe są składnikami pałacowéj wspaniałéj rezydencyi, a jednak stosunkowo niska fasada jest jéj kontrastem. O ile fasada od strony wjazdu czyni wrażenie kortyny, ściany, albo olbrzymiego monumentalnego parawanu, o tyle ogrodowa elewacya ma charakter zacisznéj willi wiejskiéj, któréj kontrastem dwie boczne przezroczyste galerye, przystrojone w posągi i freski.

Przystrojenie rzeźbiarskie jest tu samo w sobie kontrastem, wypływa to z dwojakiego pojmowania istoty stylu rzeźby. Jest ona według zasad klasycyzmu tylko przetworzeniem kształtów, przedstawieniem ich w bardziéj regularnéj postaci. Według téj zasady liść w rzeźbie odtworzony, ma bardziéj regularne kształty, z fizyognomii człowieka rzeźbiarz usuwa wszelką przypadkowość, słowem utwory tego rodzaju stylu bynajmniéj nie trzymają się niewolniczo wzorów natury. W drugim sposobie naśladownictwo postaci rzeczywistych, posunięte do odtwarzania naturalnego kolorytu. Można łatwo wytłumaczyć sobie uczucie, jakiego doznajemy na widok utworów, w których te dwa sposoby złączono, w których jeden i ten sam utwór rzeźbiarski, na wpół idealnie bezbarwny, nawpół realistycznie kolorowany, jest jakby zestawieniem rzeczywistości z obrazem w dioramowém widowisku. Takie dioramowe cechy ma rzeźba pałacu wilanowskiego. Malowany aniołek na plafonie porcelanowego pokoiku z plastyczną nogą, zwieszoną z po za okrąłéj ramy błękitnego nieba; jest to więc najwyraźniejsze połączenie dotykalnéj rzeźby z malarstwem, podobnie jak złączenie rzeczywistych kłosów z malowanym łanem w panoramie. Boczne strony pałacu od ogrodu przystrojone w utwory, należące na wpół do rzeźby na wpół do płaskorzeźby, nawpół kolorowane, nawpół bezbarwne. Kula ziemska z naturalistycznym błękitem morza i brunatnym lądem, figury z naturalnego materyału, trzymają w ręku pochodnie ze złocistym płomieniem. Biała draperya w złociste pasy, złotogłowiem podszyta — wszystko to kontrasty jak w dioramie. Po przeciwległéj stronie fasady Czas w postaci starca, niby rzeźba, niby rzeczywistość, ze względu na naturalistyczne jéj

traktowanie i umieszczenie nawpół w kolistém oknie, w którém jedno skrzydło w wnętrzu gmachu ukryte. Postać ta téjże barwy co i ściany pałacu, trzyma w ręku strzałę złocistą. Po nad bocznemi drzwiami, na taras wiodącemi, biała, w złociste wzory draperya, karmazynem podszyta, złocistą frendzlą lamowana, są tłem mozajkowych kobiecych portretów. Ta ciężka, ze względu na odpowiednie stosowanie kolorytu, niby naturalna draperya, podtrzymywana idealistycznemi barwami ściany, dziecięcemi postaciami. Jest to więc znów zestawienie dwóch kontrastowych pierwiastków. Nad środkowemi drzwiami ogrodowemi lwia skóra z zawieszonemi na niéj postaciami, nie jest zwykłym ornamentem, albowiem mieszają się w nim dwa stylowe pojęcia. Z jednéj strony skóra zwierzęcia złocista, z drugiéj biała, jakby naturalna. Na niéj środkowa postać biała z złotemi skrzydłami, obok i pod nią maleńkie złocone amorki, jak nie ważkie istoty, lub skrzydlate ptaszęta, swobodnie bujają. Herby, nawpół płaskorzeźba nawpół naturę naśladujące, nawpół nazewnąrz na wpół w murze uwięzione.

Nietyle w estetyczném znaczeniu ile w przenośném pojęciu kontrastem jest dekoracya gabineciku króla w porównaniu do jego postaci i charakteru. Na tém niby chińskiém, niezdecydowaném tle fantazyjném wyobrażeń bogactw przyrody, ognia i światła, lwa i słonia z amorkiem, kupidyna z rogiem obfitości, sfinksa i innych artystycznych dziwactw, rysuje się pewna stanowcza, o wyrazistych rysach, szlachetna głowa króla. Bardziéj odpowiedniém lustrzane otoczenie gabineciku, w którém królowa studyując postawy gracyi, na plafonie wyobrażona jak Flora z różanym na skroni wiankiem, w draperyi, obnażającéj piękne łono i zgrabnie utoczone nóżki, rzuca pod stopy bohatera odurzające kwiaty... W tém odurzającém otoczeniu król spędzał krótkie chwile odpoczynku wśród upałów letnich, których symbolem błyszczące, promienne, złociste słońce nad fasadą wilanowskiego pałacu zawieszone jak dawniéj, tak i dziś, świecące południowym blaskiem.

Kazimierz Kleczkowski.

KRONIKA EKONOMICZNA.

Przy sekcyi handlowéj, tutejszego oddziału Towarzystwa dla P. R. P. i Handlu, zwołana delegacya zajęła się opracowaniem dezyderatów w przedmiocie organizacyi Banku Państwa. Sprawozdanie z jéj zajęć przedstawione już zostało zarządowi oddziału.

Zamiast jednak przytaczać w całości pomienione sprawozdanie, wolimy wybrać z niego i rozwinąć te tylko momenta, które mogłyby zająć obszerniejsze grono niefachowych czytelników. Zastrzegamy się również, że nie wszędzie pójdziemy za zdaniem delegacyi, że wypowiemy na własną odpowiedzialność, pewne odmienne poglądy, które, jużto jako niepodzielane przez większość uczestników delegacyi, jużto ze względów praktycznych, nie weszły do sprawozdania. Wreszcie, gdy to piszemy, posiedzenie komisyi, wydelegowanéj w Petersburgu z łona przedstawicieli ministeryów i fachowców, jeszcze nie zakończone i niepodobna przewidzieć, jakie reformy zaprojektowane zostaną.

Wiadomość z Petersburga o mającym nastąpić przeglądzie ustawy Banku Państwa, ustawy liczącéj już przeszło 30 lat wieku i skutkiem tego nieco przeżytéj, wywołała słuszne zainteresowanie się w świecie handlowym i przemysłowym.

Mimowolnie bowiem nastręcza się pytanie: dlaczegóżby Bank Państwa nie mógł tak sprawnie funkcyonować, jak to widzimy zagranicą, i nie mógł tak wielolicznych oddawać usług w tutejszym kraju, jak spełniać potrafią podobne instytucye w innych państwach?

Jeśli nawet dalecy jesteśmy od mniemania, żeby przegląd ustawy istniejącéj spowodować miał radykalne zmiany w istocie banku, żeby np. zaprojektować miano udział kapitałów prywatnych w interesie, a co zatém idzie, i sił prywatnych w zarządzie banku, lub ograniczenia prawa emitowania znaków obiegowych, to jednak, wolno się spodziewać:

1-o znacznego powiększenia liczby oddziałów banku czyli filii;

2-o pewnego powiększenia uposażenia banku, obecne bowiem uposażenie wynosi tylko, łącznie z kapitałem zapasowym, 28 milionów rubli.

3-o ułatwienia manipulacyi biurowych.

Co do pierwszego, to gdyby tylko zaprowadzono oddziały banku we wszystkich miastach liczących więcéj niż 10000 mieszkańców, wypadłoby otworzyć przeszło 150 nowych oddziałów i wtedy miasta takie jak Włocławek, Zgierz, Suwałki, Chełm, Pułtusk, Sieradz, Siedlce, Piotrków, mogłyby posiąść pożądane dogodności, miałyby wielką doniosłość dla ekonomicznego rozwoju tych miejscowości, pozbawionych wszelkiéj samodzielności kredytowéj.

O powiększeniu kapitału zakładowego nie rozpisujemy się szczegółowiéj, ponieważ wysokość cyfry uposażenia można brać pod uwagę tylko w bankach posiadających prawo emitowania ograniczonéj liczby znaków obiegowych. Bank Państwa obecnie już tak obszerne posiada przywileje, a w przyszłości tak blizki posiadać może związek z kasami skarbowemi, że w praktyce mniejsze lub większe uposażenie własne, śród mnogości rozporządzalnych środków i łatwości dopełniania przelewów z kas skarbowych do kas bankowych, na możność udzielania kredytu ograniczone bardzo miałoby znaczenie.

Najbliżéj natomiast dotyczy nas punkt trzeci: ułatwienia operacyi biurowych i tu warto wejść w szczegóły.

Zadaniem Banku Państwa wogóle jest ułatwiać gromadzenia funduszów, przechowywać je być depozytaryuszem, kasyerem funduszów prywatnych, instytutowych, rządowych, — celem solidnego oprocentowywania części tych funduszów. Strony emisyjnéj, strony usług banku odnośnie do potrzeb ministeryum finansów, dotykać tu nie możemy, chodzi nam bowiem wyłącznie o stosunek banku do jego prywatnéj klienteli. Dotąd pojmował Bank Państwa zadanie swoje — być zbiornikiem funduszów prywatnych—w ten sposób, że obok kas oszczędności, do których drobni kapitaliści wkłady swe wnoszą, otworzył kilka kategoryi rachunków bieżących z wyższém i niższém oprocentowaniem wkładów a nadto rachunki bieżące bezprocentowe.

We wszystkich tych warunkach, Bank Państwa, oprócz procentów opłaconych, a jak w rachunkach bezprocentowych, oprócz przechowywania funduszów i inkasowania weksli, żadnych innych usług nie świadczył. Jeśli porównamy tę stronę jego działalności, z urządzeniem odpowiedniém w bankach państwowych niemieckim i austryackim, zobaczymy, że tutejszy bank raz daje więcéj, drugi raz nie daje dosyć. Oprocentowywanie wkładów tam prawie nie istnieje, natomiast udzielają tam przywileju bezpłatnego przelewu funduszów z rachunku na rachunek, tak w obrębie danego biura instytucyi, jak i takichże przelewów na rachunki między wszystkiemi biurami banku w całym kraju. Nadto, bezpłatnie inkasują weksle, czeki, przekazy, rachunki, etc., honorują akcepty klientów o ile zostały bankowi awizowane przez klienta, posiadającego stosowny fundusz w banku. Łatwo zrozumiéć, że im większą jest suma dogodności, jaką klientela banku w jego urządzeniach znaleźć może, tém żwawsze i obszerniejsze powstają obroty. Dlatego byłoby właśnie do życzenia, żeby w istniejącéj już w Banku Państwa kategoryi rachunków wkładów bezprocentowych, zaprowadzono conajmniéj udogodnienie bezpłatnego przelewu funduszów między wszystkiemi takiemi rachunkami we wszystkich biurach banku w całém państwie.

Aby zrozumiéć, jakiego znaczenia byłaby reforma, którą mamy na myśli, wystarczy przytoczenie kilku danych z historyi rachunków żyrowych (tak się bowiem ta kategorya stosunków klienteli niemieckiego banku państwa nazywa) od roku 1876, gdy zaprowadzone zostały. Otóż w roku stworzenia operacyi przelewów, ogólna suma wszystkich przelewów wyniosła 16,711 milionów marek, a w lat 15 t. j. w r. 1891 wyniosła już 81,012 milionów. Wkładów było na rachunkach żyrowych z końcem 1876 roku 70 milionów, a z końcem 1891 r. 237 milionów. Bank za używalność tych milionów żadnego nie płacił procentu. Wzrost liczby rachunków spowodował i wzrost obrotów a jednocześnie daleko mniejsza suma gotówki zdolną była wywołać większą liczbę i sumę obrotów. W r. 1877 klientów żyrowych liczył bank 3,245 a w r. 1892 już 9,626; i gdy w r. 1876 każde 430 marek, będących na rachunkach żyrowych, wydało 100,000 marek obrotów, po latach piętnastu dla takiego samego obrotu starczyło 290 marek.

Jednocześnie z wzrostem obrotów na rachunkach żyrowych spadła ilość banknotów w obiegu. Obrót kasowy w r. 1864 wynosił 9,645 milionów i na każde 100,000 marek obrotu potrzeba było 3,600 marek gotówki, a w r. 1891 obrót kasowy wynosił 109,933 milionów, a na 100,000 marek potrzeba było tylko 880 marek gotówki.

Moglibyśmy jeszcze przytoczyć szeregi pouczających cyfr, lecz obawiamy się znużyć czytelników. Ciekawi, w roczném sprawozdaniu banków państwa niemieckiego i austryackiego, oraz w artykule o rachunkach żyrowych, w tomie IV *„Handwörterbuch der Staatswissenschaften“* znajdą odpowiednie szczegóły.

Główne korzyści płynące z rozpowszechnienia rachunków żyrowych w Niemczech polegają na tém, że przeważna część wszelkich wypłat uskutecznia się za pomocą tych rachunków, przyczém, pieniędzy metalicznych coraz mniéj się używa i zużywa, zmniejsza się cyrkulacya banknotów i zmniejsza niebezpieczeństwo nadmiernego ich obiegu. Jednocześnie oszczędza się na czasie, kosztach i ryzyku przechowywania, liczenia, przesyłania pieniędzy, a pozyskuje wiarogodne dowody dopełnionych wypłat.

Handlujący przywykają trzymać większe środki kasowe, przywykają kupować za gotówkę, i ostatecznie, funduszami gromadzonemi na rachunkach żyrowych, bank rozporządza i może zniżać stopę procentową.

Niewątpliwie i u nas szybko potrafią skorzystać z dogodności rachunków żyrowych, a po kilku latach dziwić się będzie publiczność, jak można było prowadzić interesa bez tych rachunków. Bank Państwa otrzyma z tego źródła tak wielką sumę rozporządzalnéj gotówki, że zdoła nietylko zredukować ilość papierków w obiegu, lecz, co nie mniéj ważne, zdoła zaprowadzić na stałe, daleko niższą stopę procentową.

Przypuśćmy na chwilę, że rachunki żyrowe już istnieją i że kasa gubernialna posiada taki rachunek w banku. Toż zamiast podnoszenia milionów z Banku Państwa i wnoszenia ich do kasy gubernialnéj, wystarczy proste przepisanie odnośnych kwot w obrębie jednego biura. Oszczędza się liczenie w banku, tłoczenie się w kasie gubernialnéj, powtórne liczenie, i oszczędzi się ogromnéj straty czasu dla mnóstwa ludzi.

Gdyśmy powyżéj omawiali zadanie Banku Państwa wogóle, powiedzieliśmy, że bank może solidnie oprocentowywać część powierzonych sobie funduszów. Wiemy, że wypowiedziane twierdzenie spotka się z dosyć rozpowszechnioném mniemaniem, jakoby Bank Państwa miał obowiązek to i owo popierać i regulować, dbać o rozwój pewnych gałęzi przemysłu, handlu, rolnictwa i t. d. Wcale nie przeczymy, że popieranie rozwoju życia ekonomicznego danego społeczeństwa jest obowiązkiem pewnych organów, że Bank Państwa może się przyczyniać do rozwoju tego życia, lecz owe przyczynianie się odby-

wa się pośrednio, jest skutkiem funkcyi Banku, nie będąc główném ani koniecznem jego zadaniem.

Winniśmy się tylko zastrzedz, że mówimy tu o działalności Banku Państwa wśród społeczeństwa, które już posiada lub posiąść może cały komplet instytucyi kredytowych na samopomocy opartych, więc kasy zaliczkowo-wkładowe, towarzystwa wzajemnego kredytu, banki prywatne i t. d.

Oprocentowanie funduszów bankowych odbywa się za pomocą skupu weksli, pożyczek na papiery publiczne, na towary. Skup weksli załatwia bank za pośrednictwem komitetów dyskontowych, złożonych z urzędników banku i ekspertów, na kadencye dwuletnie z grona kupców i przemysłowców (a w Cesarstwie i rolników) przez bank powoływanych. W Moskwie i Petersburgu pewna część ekspertów pochodzi z wyborów. Formalnie, eksperci mianowani bywają na lat dwa tylko, lecz weszło w zwyczaj, po upływie dwóch lat, zatwierdzać tychże na następne dwa lata i daléj, póki śmierć lub jakie osobiste przyczyny nie spowodują konieczności zamianowania nowego eksperta.

Szkodliwym jest ten zwyczaj choćby tylko dla tego, że ścieśnia udział świeżych sił, że zamyka dane zajęcie w ścisłe kółko, które wraz z grupą swoich krewnych, znajomych, przyjaciół, zwykłą drogą stosunków ludzkich, może stworzyć pewną koteryą, popierającą słusznie lub niesłusznie jednych, upośledzając drugich w wymiarze kredytu bankowego. Nie twierdzimy wszelako, że dzieje się źle.

Do pewnego stopnia możnaby rzecz poprawić przy literalném stosowaniu dotychczasowéj ustawy, t. j. przez zamianowanie eksperta na lat dwa, po wysłużeniu których w urzędowaniu danego osobnika, przynajmniéj jedno, lub dwuletnia pauza nastąpić by musiała. Może by nawet korzystniejszém było, gdyby udzielano nominacye z listy podwójnéj kandydatów, przedstawianéj peryodycznie przez korporacye kupieckie i giełdowe.

Namby się jednak zdawało, że jeszcze doskonalszą jest metoda zastosowywana w jednym z zagranicznych banków państwowych, gdzie skup weksli załatwiany jest bez udziału ekspertów, wprost przez etatowy komplet urzędników bankowych. Komplet ekspertów zbiera się raz na miesiąc, przegląda listę osób akredytowanych, projektuje w niéj zmiany względnie do wysokości kredytów i na tém ogranicza się jego czynność.

Urzędnik lub urzędnicy banku, zajmujący się skupem weksli

otrzymują corocznie stosowną tantyemę, która się dla nich w osobnym rachunku kapitalizuje i wypłaca dopiéro w pewien czas po opuszczeniu służby. Straty w dziale skupu zdarzyć się mogące, odpisuje się przedewszystkiém z tantyemy urzędnika zawiadującego skupem. Podobne straty są nader rzadkie, a bank funkcyonuje sprawnie. Korzyści takiego porządku rzeczy są liczne, bo nietylko osłania się bank od strat nieuniknionych wtedy, gdy kolegium z urzędników i ekspertów złożone, materyalnie za straty nie odpowiada i nie ma w sobie bodźca do powiększenia operacyi skupowéj, lecz pozwala urzędnikom, w granicy ustawy i podług wskazówek komitetu dyskontowego, działać energicznie a oględnie.

Wystawmy sobie bowiem urzędnika zdolnego i doświadczonego, przez którego ręce przechodzi codziennie materyał wekslowy, który ma sposobność widziéć jakie weksle, ile i od kogo przedstawione są do zainkasowania, jakie obroty mają miejsce na rachunkach żyrowych danych klientów, jakie towary oddane w zastaw, jakie salda spoczywają na rachunkach otwartych kredytów zabezpieczonych papierami publicznemi, — z łatwością przyjdziemy do wniosku, że urzędnik taki bez porównania więcéj wiedziéć może o położeniu majątkowém danego klienta, niż kilku ekspertów na danéj sesyi wekslowéj zasiadających. Naturalnie, urzędnik, którego mamy na myśli, nie może stać po za społeczeństwem, w którém pracuje, lecz przeciwnie stara się osobiście poznać ludzi, dla których skup weksli załatwia, poznaje skład ich biur, sferę ich interesów, niemal sposób życia. Niemiałby on téż wcale interesu szukać awansu i nie pożądałby tranzlokacyi, bo zawsze tantyema przywiązywałaby go do stosunków i ludzi, którzy dają mu zarobek i obiecują zwiększenie zarobku w przyszłości.

Nie mamy powodu mniemać, że ludzi podobnych nie dostarczyłby personel dzisiejszego Banku Państwa, i jeśli wszystkie kantory i oddziały banku natychmiast, podług powyższego schematu, weksli skupować by nie mogły, to powoli dałaby się reforma zaprowadzić z korzyścią dla banku i społeczeństwa.

Jest jeszcze jeden dość drażliwy szczegół, występujący przy dotychczasowéj metodzie skupu weksli. Przedstawione przez daną firmy weksle przeglądają na sesyach kupcy, nieraz konkurenci owéj firmy. Pomimo zapewnienia dyskrecyi, ludzie są tylko ludźmi i wiadomość o tranzakcyi danéj firmy, w téj lub innéj formie ujawnić się może.

Tak w Warszawie, jak i w Cesarstwie istnieją firmy nieraz bardzo poważne, które przekładają ograniczenie swéj sfery pracy nad jéj ujawnienie przed komitetem dyskontowym, przed gremium kolegów

po fachu. Bank zagraniczny, w którym opisana przez nas metoda skupu od wielu lat się stosuje, posiada jeszcze jedno urządzenie, obok ekspertów, kontrolującą operacye skupu, urządzeniem tém są rewidenci ze sfery handlowéj (niezależnie od rewidentów bankowych) nominowani bezpośrednio przez ministra finansów i raportujący o rezultacie dokonanych rewizyi, — bezpośrednio temuż ministeryum. Rewidentem bywa zwykle kupiec, mieszkający w obrębie sfery działania danego oddziału banku, materyalnie niezależny, w pozycyi takiéj, która go stawia po nad koteryjne interesy i względy. Wchodzi on w pojedyńczych swoich rewizyach we wszystkie szczegóły operacyi bankowych i nie krępuje się w swoim raporcie ani co do natury interesów ani co do kompetencyi organów, załatwiających dane czynności banku. Bez tego, naszemu Bankowi Państwa nieznanego, urządzenia o zaprowadzeniu powyżéj opisanéj metody skupu, trudno pomyśléć.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużéj nad opisywaniem obcéj dotychczas Bankowi Państwa metody, spodziewając się, że w kompetentnéj sferze banków prywatnych spotkamy potwierdzenie, iż nie eksperci, lecz właściwy organ banku, codziennie z wekslami styczność mający, bywa najwszechstronniéj obeznany z wartością materyału do skupu przedstawianego.

Jakkolwiek wielostronne i wyczerpujące bywają pytania zadawane ekspertom przy ocenie żądań kredytowych, mniemamy, że niedosyć nacisku się kładzie na szczegół, czy dany akredytowany prowadzi porządne księgi handlowe,

Prowadzenie ksiąg, oprócz porządku w interesach, wymaga pewnego stałego nakładu, będącego wcale nie drobną cząstką ogólnych kosztów handlowych, a wyraża się cyfrą kilku tysięcy rubli (3,000—5,000 rubli) dla średniego nawet domu handlowego. Tymczasem, ku niemałemu wstydowi tutejszych handlujących, wyznać należy, iż prowadzenie ksiąg, i to porządnych ksiąg, dla wielu nie stanowi nieodłącznego ich przymiotu. Nie potrzeba téż daleko szukać skutków zaniedbania w tym kierunku. Mnóstwo ruin kryje się pod osłoną pozłacanych szyldów. Nietylko naiwna, lecz i niegodziwa konkurencya bez kalkulacyi kosztów, podkopuje nietylko byt zacofanych, lecz pozbawia należnego zarobku tych, co wraz z kosztem prowadzenia ksiąg ponoszą całe brzemię i pozostałych handlowych ciężarów.

Być może, iż wiele efemerycznych egzystencyi widziałoby się zagrożonemi w swym bycie, gdyby postawiono za warunek korzystania z kredytu w Banku Państwa wylegitymowanie się księgami handlowemi. Natomiast, nie lękający się światła dziennego, uczciwie

prowadzony handel, znalazłby w Banku Państwa usprawiedliwioną poważną dźwignię swoich interesów, przy jednoczesném zmniejszeniu ryzyka banku do minimalnych rozmiarów.

Przechodząc teraz do samego sposobu załatwiania skupu, rozumiemy, że odbywać się on winien codziennie, w godzinach porannych, z takim pośpiechem, aby waluta weksli w tymże samym dniu wypłacona, lub na rachunki żyrowe przeniesiona być mogła. Ułatwieniem dla personelu bankowego byłoby przedstawianie weksli już obliczonych, tak, aby dany urzędnik banku, zamiast dopiéro formować rachunki, potrzebował tylko je sprawdzić.

Zasadą do przyjmowania weksli handlowych przez Bank Państwa jest dotąd obecność na wekslu przynajmniéj dwóch podpisów, z których każdy jest odpowiedzialny na całą wysokość objętéj wekslem waluty. (Paragraf ustawy banku o solawekslach rolników nie stosuje się do Królestwa). Udzielanie kredytu drobnym przemysłowcom i rękodzielnikom może w tych tylko instytucyach kredytowych z bezpieczeństwem dla użytego na ten cel kapitału się odbywać, w których zasiadają przedstawiciele odnośnéj klienteli danéj instytucyi kredytowéj.

Powyższe twierdzenie tylokrotnie teoretycznie i praktycznie sprawdzoném zostało, że uważamy za zbyteczne dłużéj się nad niém zatrzymywać.

Z tych téż pobudek delegacya upraszała, by Bank Państwa mógł otrzymać, jako organ ministeryum finansów, polecenie stać się z urzędu orędownikiem wszelkich instytucyi na zasadach samopomocy powstałych i powstać mogących, by Bank popiérał wyjednywanie pozwoleń zakładania towarzystw wzajemnego kredytu, kas pożyczkowo-wkładowych, stowarzyszeń współdzielczych i t. d., i tym stowarzyszeniom kredytu udzielał. Delegacya rozumiała, że przy téj kombinacyi, przyśpieszoném zostanie tworzenie samodzielnych, społecznych instytucyi kredytowych, które ze swéj strony udzielać będą mogły kredytu swym uczestnikom i w razie potrzeby, przedstawią do skupu weksle, opatrzone podpisami drobnych przemysłowców i rękodzielników. O stopniu odpowiedzialności majątkowéj tych osób posiadać mogą wymienione instytucye daleko dokładniejsze informacye, niż najdoskonaléj urządzony bank jakiegobądź państwa.

Oprocentowanie funduszów banku, oprócz lokaty w wekslach, odbywa się przez udzielanie zaliczeń na drogie metale, towary, pa-

piéry publiczne, i w postaci otwartych kredytów (rachunków bieżących), zabezpieczonych papiérami publicznemi.

Delegacya zwróciła szczególną uwagę na metodę udzielania zaliczek na towary i zaproponowała ważną w sposobie udzielania pożyczek zmianę, która zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Bank udzielał dotąd zaliczenia na towar: albo złożony w magazynie bankowym, zatém na towar oddany w faktyczne posiadanie, albo na towar oddany symbolicznie w takież posiadanie. Na przykład: bank drutem opasywał warstwę szyn żelaznych, leżących na podwórzu jakiéjś fabryki, zamykał węzeł drutu plombą, nakładał pieczęć swoją na drzwiach obcego magazynu z zastawionym towarem i t. p. Natomiast Bank nie miał prawa wydać zaliczenia na zboże w śpichlerzu młyna, które to zboże znajduje się w ciągłym przypływie i odpływie, albo na oléj, znajdujący się w rezerwuarze fabrycznym olejarni.

Gdyby jednak Bank miał prawo ustanowić dozorcę dla zboża w śpichlerzu danego młyna, np. w osobie dyrektora młyna i tak zastawiającego zboże właściciela młyna, jak i dyrektora, mógł uczynić odpowiedzialnymi kryminalnie za ubytek zboża większy, niż przewidziany w odnośnéj umowie zastawnéj,—to przypuszczać wolno, że i właściciel młyna i dyrektor czuwaliby gorliwie nad tém, by tak jakość zboża w śpichlerzu, jak ilość onego, przez czas zastawu, przedstawiały zupełne bezpieczeństwo dla pożyczki banku.

Naturalnie, jednym z warunków udzielania w tych okolicznościach zaliczki, byłoby prowadzenie odpowiednich kontroli, złożenie polisy ubezpieczenia od ognia, a nadewszystko poświadczenie przychylne charakteru i położenia towarzyskiego dozorcy zastawu i samego zastawiającego przez komitet dyskontowy, — obok bezwarunkowego pierwszeństwa banku przed wszystkimi wierzycielami na dane towary.

W dyskusyach, jakie w ciągu ostatniego dziesiątka lat odbywały się na zebraniach młynarzy, górników, etc., ilekroć zachodziła rzecz o kredycie bankowym na zastaw towarów tyle razy omawiany przez nas sposób wskazywano, jako radykalnie do celu prowadzący, lecz dotąd bezskutecznie; a jednak zaprzeczyć się nie da, że poważnéj zmianie uległyby stosunki handlowe i przemysłowe, gdyby drogą zastawu w Banku Państwa, potrafiono pozbyć się lichwy, pod tą lub inną postacią obecnie opłacanéj. Eskontowanie warrantów, inkasowanie ceduł kolejowych, przy tańszych niż obecnie opłatach, nawet ustanowienie rachunków żyrowych nie dałyby téj bezpośredniéj, dotykalnéj korzyści, jak wydawanie uczciwemu, porządnie prowadzo-

nemu przemysłowi gotówki, zabezpieczonéj towarem, pod kryminalną odpowiedzialnością, — dwóch w każdym razie osób, dobrze poświadczonych przez bezinteresownych współobywateli.

Niektórzy sądzą, iż łatwość pozyskania pożyczki na materyały surowe w fabrykach może wywołać na razie pewne niepożądane objawy w przemyśle, np. nadprodukcyę. Nam się jednak zdaje, że przy oględném udzielaniu pożyczek, a zwłaszcza przy ograniczaniu się do zakładów prowadzących ścisłe kontrole, do zakładów i osób dobrze poświadczanych przez komitety dyskontowe, obawa wywołania nadprodukcyi miejsca miéć nie może.

Jednocześnie z ułatwieniem kredytu na zastaw towarów usunięta zostania racya istnienia sztucznych weksli, powód tolerowania jednego z najmniéj pożądanych środków zdobywania kredytu.

Wnosiła też delegacya o rozszerzenie listy papiérów przyjmowanych w zastaw, przedstawiając, że istnieje sporo papiérów tak obligacyi, jak akcyi, które skarb państwa pozwala składać na kaucye przy zabezpieczeniu cła, akcyzy, dostaw i kontraktów wszelkiego rodzaju, a na które dotąd Bank Państwa zaliczeń nie udziela. A przecież, skoro jedna dekasterya władzy państwowéj uważa pewien tytuł obiegowy, jako wystarczającą w pewnym stopniu gwarancyę spełnienia zobowiązania, czemużby druga dekasterya téj saméj władzy mniejsze do danego tytułu okazywać miała zaufanie?

Słyszeliśmy wprawdzie zarzuty, iż liberalniejsze traktowanie przez Bank Państwa prywatnych walorów stać się może bodźcem dla spekulacyi. Nam się jednak zdaje, iż skala, podług któréj Bank udziela pożyczki, jest tak konserwatywną, że pohopu do spekulacyi z téj strony być nie może, a wreszcie Bank może, lecz nie ma obowiązku, wydawać fundusze swoje tam, gdzie tego jego interes, lub interes społeczny nie wymaga.

Propozycye uchylenia damna, to jest straty na wekslach zamiejscowych, płatnych na placach bankowych, zmniejszenia kosztów transfertów telegraficznych, uregulowania kwestyi protestów i t. p., jako spraw, względnie czysto specyalnych i technicznych pomijamy.

Na zakończenie wyjaśnimy, dlaczego dotąd nie mówiliśmy o kredycie dla rolników, lub o kredycie melioracyjnym.

Dotychczasowe formuły kredytu za solawekslami właścicieli ziemskich w Cesarstwie są tak skomplikowane, że np. w ostatnim bilansie banku znajdujemy cyfrę udzielonych pożyczek tylko w kwocie 9 milionów rubli—co podług nas, świadczy, iż kredyt krótkoterminowy, bez możności prolongat i spłat częściowych, mało odpowiada potrzebom przemysłu rolnego. Mówić o kredycie melioracyjnym,

póki nie powstaną organa specyalne, zajmujące się nietylko sprawdzeniem kosztorysów lecz i porządkiem zabezpieczenia funduszów, na melioracye użyć się mogących, byłoby przedwczesném.

* * *

W grudniu, roku zeszłego zwołano do Petersburga przedstawicieli komitetów giełdowych dla obradowania nad sposobami uporządkowania handlu zbożem. Ministeryum finansów otrzymało od swych agentów zagranicą, mianowicie z Marsylii i Londynu, skargi na umyślne zanieczyszczanie zboża, głównie z portów Mikołajewa i Odesy przybywającego. Agenci owi zwracali uwagę, iż skutkiem strat, jakie różni importerzy ruskiego zboża, z przyczyny złéj wiary wysyłających ponieśli, ruskie zboże traci na cenie, i jeśli nie zostaną przedsięwzięte energiczne środki, to spadek ceny, dalsze uczynić może postępy.

Zaproponowano więc przedstawicielom kupiectwa, obmyślenie sposobów uregulowania handlu zbożem i śpieszne utworzenie takiego dozoru nad wywożoném zagranicę zbożem, któryby uniemożliwił umyślne onego psucie, przez dosypywanie doń pośladów, piasku etc.

Owocem narad zgromadzonych przedstawicieli, było wypracowanie dosyć obszernego memoryału, który rozesłano w znacznéj liczbie egzemplarzy do komitetów giełdowych, ziemstw, towarzystw rolniczych i t. d., z wezwaniem dostarczenia uwag na 25 stycznia st. st. 1893 r.

Memoryał obejmował:

1. projekt instytucyi zajmować się mającéj w portach i na komorach pogranicznych lądowych, przestrzeganiem właściwego stopnia oczyszczenia zboża, wysyłanego zagranicę.

Tu pomieszczono tabelkę, podług któréj stopniowo, corocznie zanieczyszczanie zboża zmniejszać się winno, oraz kary, jakimby ulegały osoby, wywożące zboże zanieczyszczone ponad dozwoloną normę;

2. projekt nadzoru nad handlem zbożowym wewnątrz kraju;

3. zasady organizacyi giełd zbożowych i organów takich, jak: komisye zbożowe, inspekcye zbożowe, meklerzy przysięgli i sądy rozjemcze (komisye arbitrażowe).

W różnych stronach państwa powitanym został memoryał tak rozmaicie, — jak rozmaitemi są warunki czasu i otoczenia, śród któ-

rych handel zbożowy się rozwija w tak obszernem państwie jak Rosya.

Rzeczywiście też inaczéj wyglądają urządzenia giełdowe Rygi, datujące się bodaj czy nie od czasów Hanzy, a inaczéj wygląda handel w Noworosyjsku, który zaledwie 5 lat istnienia swego liczy.

Szczególniéj gorąco popiérać życzenia memoryału zapragnęli właśnie przedstawiciele Mikołajewa, spodziewając się, że nowe organa i proponowane środki, natychmiast usuną złe istniejące.

Powtórny zjazd przedstawicieli kupiectwa, kilku ziemstw i towarzystw rolniczych, był niezwykle ożywiony. Dyskutowano namiętnie, często do późnéj nocy, tak w zebraniach plenarnych jak w delegacyach. Ułożono kilka projektów, różniących się głównie w tém, że gdy jedni domagali się dozoru obowiązkowego nad wszelkiém eksportowaném zbożem, drudzy upraszali o powierzenie dozoru organom giełd zbożowych i pozostawienie giełdom do uznania w jaki sposób ów dozór dokonywanym być winien.

Władza, zaznaczając potrzeby kontrolowania dobroci towarów eksportowanych, przez usta p. minisra skarbu wyraziła przekonanie, iż z powodu różnorodności warunków, w jakich handel zbożem i eksport zboża się odbywa, wcale nie jest pożądane stosowanie wszędzie jednostajnych przepisów. Wcale nie dwuznacznie wypowiedziano żądanie, aby przedstawiciele handlu wyłuszczyli swe zapatrywania bez względu na treść proponowanych w grudniu przepisów.

Ponieważ praca nie jest zakończoną i ostateczna forma projektu, w któréj organizacya giełd zbożowych, inspekcya w portach i na pograniczu lądowém, ustawa o meklerach i t. p. nie jest jeszcze znaną, — ograniczymy się na wskazaniu kilku tylko wybitniejszych stron omawianego przedmiotu.

Wszystkie ważniejsze punkta handlowe w państwie pozyskać mogą prawo utworzenia korporacyi giełdowych.

Przy wszystkich giełdach zbożowych, powstaną sądy rozjemcze, które w ostatniéj instancyi na podobieństwo sądów polubownych, rozstrzygać będą spory nietylko między członkami giełdy wynikłe, lecz i między członkami giełdy a osobami postronnemi, o ile spór powstał z tranzakcyi dopełnionéj przez meklera przysięgłego lub z tranzakcyi zarejestrowanych przez starszego meklera giełdy zbożowéj.

W następnym numerze spodziewamy się miéć możność podzielenia się szczegółami całéj reformy zbożowego handlu.

* * *

Sekcya rolna Warsz. oddziału towarzystwa pop. h. i p. podniosła w tych czasach kwestyę uregulowania stosunków fabryk cukru do plantatorów buraków. Na żądanie sekcyi rolnéj, sekcya cukrownicza tegoż Towarzystwa wybrała na posiedzeniu, w d. 21 stycznia odbytém, specyalną delegacyę, celem opracowania odpowiednich przepisów.

Nie ulega wątpliwości, że przepisy przez delegacyą opracowane — (skład delegacyi daje zupełną tego rękojmię) uwzględnią słuszne żądania obu — że tak powiemy — stron wojujących; nie w tém jednak opracowaniu przepisów leży rozwiązanie kwestyi. Daleko ważniejszém jest pytanie: czy opracowane przez delegacyą przepisy znajdą zastosowanie w praktyce, czy zostaną zaakceptowane przez strony, przez plantatorów i właścicieli cukrowni?

Tymczasem zkądinąd dochodzą wiadomości, że plantatorowie sami, bez żadnéj delegacyi do czynu przystępują i ze skutkiem wojnę z cukrowniami przeprowadzają. Jedna z cukrowni na stanowcze i solidarne żądanie plantatorów podniosła podobno cenę buraków o 10 kop. na korcu t. j. o 12%.

Według innéj kompetentnéj opinii, plantatorom nie chodzi o cenę, ale o warunki przyjmowania; według trzeciego zdania, nie idzie ani o cenę, ani o warunki przyjmowania, ale o samowolne dzielenie się plantacyami między leżącemi w sąsiedztwie cukrowniami. Prawdopodobnie plantatorom chodzi i o jedno i o drugie i o to trzecie — a wszystko razem nie przyczyni się do ułatwienia zadania delegacyi.

Jakkolwiek, pojedynczo biorąc, fabryka cukru jest silniejszą od plantatora, to znów ogół plantatorów danéj cukrowni silniejszy jest od niéj saméj, choćby tylko dlatego, że rolnik zamiast buraków, może, zapewne ze stratą i czasami znaczną, uprawiać nie buraki, lecz inny produkt, i bez cukrowni istniéć może — cukrownia zaś, bez plantatorów, bez buraków, istniéć przestaje:—co znów nie jest bynajmniéj upragnionym przez rolnika celem, gdyż naraża go na poważne straty wskutek zmiany systematu gospodarczego.

Sprawiedliwe i racyonalne rozwiązanie kwestyi o tyle tylko jest możliwém, o ile obie strony wyrobią w sobie przekonanie o wspólności ich interesów i jasne pojęcie strat, jakie grożą i jednéj i drugiéj stronie w razie zaostrzenia się stosunków.

Rolnicy żądając wyższych cen i łatwiejszych wogóle warunków, powołują się na poważne jakoby zyski fabryk cukru, od czasu zawiązania syndykatu cukrowego. Właściciele cukrowni, dowodząc niemożności podniesienia cen i zmiany warunków przyjmowania bura-

ków, powołują się na ryzyko, jakie ponoszą, zobowiązując się do odbioru całéj produkcyi buraków bez względu na urodzaj; twierdzą oni, że bez unormowania produkcyi, bez syndykatu — byliby już dotąd zlikwidowali $1/3$ część fabryk, a obowiązek stosowania się w kontraktowaniu plantacyi do norm, naraża ich na ryzyko produkowania nad normę albo produkowania niżéj normy — stosownie do urodzaju — w obu razach ze stratą.

W ten sposób kwestya komplikuje się i wiąże z kwestyą zmów, syndykatów, karteli i t. d. z kwestyą, która u nas zaledwie powstaje, która jednak w Europie ogół żywo zajmuje, w Ameryce daje przedmiot do kazań, a przed paru dniami podobno wywołała rewolucyę na wyspach Hawaï. Syndykat, zdaniem socyalizujących ekonomistów, jest to muzyka przyszłości w sferze stosunków ekonomicznych. Postaramy się powrócić do téj kwestyi w jednym z najbliższych zeszytów.

ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

M. Heilpern. Tajemnice przyrody. II. Jak żyją rośliny, jak się odżywiają, rosną, rozmnażają i poruszają. (Kurs popularny morfologii i fizyologii roślin). Z 282 rys. Str. 494. Cena rs. 2.

Nie jest to nowiną, że samouk, pragnący nabrać pojęcia o niektórych działach nauk przyrodniczych, między innemi o botanice, jeśli nie zna żadnego języka obcego, z trudnością znajduje u nas odpowiednie dla siebie książki. Podręczników botaniki mamy wprawdzie kilka, lecz te albo niezgodne są z obecnym stanem nauki, albo też — jak np. książki pr. Rostafińskiego — zastosowane są ściśle do ramek szkoły, a więc dla samouka mało są przydatne. Że zaś u nas samouctwo dla wielu ludzi jest jedynie dostępną drogą zdobywania jakiéj takiéj wiedzy, wszelką więc książkę, pisaną w celu przyjścia z pomocą samoukowi, witamy z radością. Taką właśnie książką jest „popularny kurs morfologii i fizyologii roślin“ p. Heilperna.

„Głównem staraniem mojém — pisze autor — było, aby niniejsza książka odpowiedzieć mogła potrzebom uczniów klas wyższych i dojrzalszych czytelników, chcących zapoznać się z tą piękną nauką lub dopełnić swą wiedzę nowszemi poglądami.“ „Opracowałem wykład botaniki w téj formie, aby mógł on służyć nietylko jako przewodnik dla nauczycieli, ale i do czytania dla bardziéj żądnych wiedzy uczniów, a także dla samouków.

Tych parę słów, wyjętych z przedmowy p. Heilperna, przytoczyliśmy umyślnie, jako ostrzeżenie, żeby czytelnicy nie zostali zbałamuceni tytułem, wskazującym tę książkę jakoby drugą część, czy dalszy ciąg cennego dziełka tegoż autora: „Tajemnice przyrody. I —

wiadomości ogólne o świecie." Tamto była metodyka pogadanek przyrodniczych z dziećmi; tutaj zaś mamy poważny, choć elementarny wykład najważniejszych zjawisk morfologii i fizyologii roślin, przeznaczony raczéj dla uczącego się, niż dla nauczyciela, chociaż i temu przydać się on może.

Wszelka popularyzacya jest trudną, tymbardziéj zaś takiéj nauki, jak fizyologia roślin, gdzie na każdym kroku opiérać się trzeba na fizyce i chemii. Jeszcze trudniejszą staje się ona, gdy autor musi brać swego czytelnika czy słuchacza takim, jakim niestety najczęściéj jest, mianowicie — nieprzygotowanym do słuchania właściwego przedmiotu wykładów. Jestto plagą zarówno dla uczących się, jak i dla nauczycieli, że u nas ludzie nie uczą się systematycznie, że wiedza chwyta się na wyrywki, kawałkami, z których potem rzadko układa się w głowie rozumna całość. P. Heilpern, znając dobrze przeciętny typ naszego, pragnącego się uczyć czytelnika, czy może czytelniczki, książkę swą w całości zastosował do tego typu. Stanowiło to niewątpliwie wielką trudność w układaniu dziełka, trudność, z któréj niepodobna prawie wybrnąć bez pewnéj ujmy dla wykładu. Mimowoli w takich razach wykład staje się często rozwleklejszym, niżby się pragnęło; coraz odstępować trzeba w bok, dla wyjaśnienia najprostszych zjawisk, które powinny były już być poznane z innych nauk. Z drugiéj strony, — mając jednak na myśli główny przedmiot wykładu, — autor niekiedy traktuje zanadto pobieżnie fakty z nauk pomocniczych. Wadę tę, nieodłączną od większości książek popularnych, nie stanowiących wyraźnego ogniwa w pewném systematyczném wydawnictwie, posiada po części i dziełko pana Heilperna.

Ta sama obawa, żeby „nie być niezrozumianym," która każe p. H. przypominać czytelnikowi, że „herbata i kawa jest z rośliny," że „woda składa się z tlenu i wodoru," a „powietrze jest mieszaniną tlenu z azotem:" obawa ta czyni wykład miejscami zbytecznym, to znów powtarzającym się, — co razi nieco w książce, jakkolwiek przy nauce może być nawet pożądaném.

Oto są niektóre właściwości dziełka p. Heilperna, jakie uważaliśmy za potrzebne przytoczyć tutaj dla charakterystyki stanowiska, zajętego przez autora względem czytelników.

Co się tyczy saméj treści książki, to jest ona daleko szersza, niż określa ją tytuł. Autor starał się nietylko dać pojęcie o postaciach i czynnościach narządów roślinnych, ale wkroczył téż w dziedzinę biologii, starając się wyzyskać fakty morfologii roślin dla niektórych uogólnień biologicznych. Jestto wielką zasługą autora. Przez całą

książkę przewija się u niego np. prawo przystosowania się różnorodnych postaci roślinnych do warunków życia; rozdział VIII — o różniczkowaniu narządów — wprost jest poświęcony wykładowi prawa przystosowania, jako wyniku walki o byt; rozdziały XXVII i XXVIII stanowią bardzo ciekawą ilustracyę tego prawa na przykładzie różnych postaci kwiatów i owoców. W rozdziale XV autor porusza zjawisko pasożytnictwa u roślin, w XVI zajmuje się saprofityzmem i symbiozą. W innych rozbiéra zależność postaci roślinnych od czynników zewnętrznych, mówi o samorództwie, pokrewieństwie i stopniowym rozwoju świata roślinnego. Wszystko to nadaje wykładom p. H. nieco filozoficzny odcień, budzący niewątpliwe zainteresowanie u poważniejszego czytelnika, który po raz pierwszy spotka się tutaj z odnośnemi zjawiskami i ich uogólnieniem.

Całość dziełka p. H. obejmuje XXX rozdziałów, a właściwie zupełnych wykładów, zajmujących się — prócz spraw powyżéj wskazanych — morfologią narządów roślinnych, traktowaną jednocześnie z ich fizyologią. Wykłady objaśnione są 282 rysunkami, niestety, nie zawsze czysto i wyraźnie odbitemi. Na końcu wielu rozdziałów autor umieszcza szereg zadań praktycznych, polecając je do przerobienia samemu czytelnikowi. Zadania te, lubo dalekie od naukowéj ścisłości, mają jednak na celu zarówno kształcenie spostrzegawczości czytelnika-profana, jak i przyuczenie go do samodzielnego posiłkowania się metodą doświadczalną.

Sądzimy, że botanika p. Heilperna cieszyć się będzie szerokiém rozpowszechnieniem wśród ogółu inteligentnych samouków, dla których głównie jest przeznaczona. *M. B.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *V. Knauer.* **Die Hauptprobleme der Philosophie** in ihrer Entwickelung und theilweiser Lösung von Thales bis Robert Hammerling. Wien und, Lepzig. Braumüller 1892. str. 408 + XVIII.— W pięćdziesięciu trzech wykładach (mianych w ciągu dwóch semestrów na uniwersytecie wiedeńskim) przebiega autor całe dzieje filozofii od Talesa do najnowszych czasów, mianowicie do poety i filozofa Rob. Hammerlinga, którego poglądy filozoficzne uważa autor za ostatni wyraz nie tylko dzisiejszéj doby w historyi myśli, ale po części za ostateczne rozwiązanie wielu zagadnień filozoficznych. Tytuł może łatwo nasunąć przypuszczenie, że materyał historyczny bę-

dzie ułożony według pojedyńczych zagadnień filozoficznych, jak to uczynił Windelband w swojéj historyi filozofii. Ale Knauer przechodzi dzieje myśli w porządku chronologicznym; usprawiedliwienie podanego przezeń tytułu, widzimy w tém, że nie zatrzymując uwagi czytelników czy słuchaczów na mniéj ważnych objawach, nie idąc systematyczną i utartą drogą, w każdéj epoce stara się pochwycić najistotniejsze jéj zagadnienia i przedstawić je w oświetleniu dzisiejszych na nie poglądów, skutkiem czego porządek chronologiczny nie może być ściśle zachowany. Tak autor antycypuje poglądy przyrodnicze, nowożytne, aby wyświetlić rozwiązanie zagadnień kosmologicznych przez pierwszych filozofów greckich; wykłada stanowisko Kanta w etyce, aby przygotować czytelnika do rozbioru nauki Sokratesa, Arystotelesa i Platona i t. d.

Metoda ta ma swoje dodatnie i ujemne strony. Wybór tego co jest ważniejszém, oraz ocena ze stanowiska dzisiejszych poglądów czyni książkę wprawdzie bardziéj współczesną, odpowiadającą wymaganiom chwili bieżącéj, ale zarazem i mniéj trwałą. Jeśli kursa filozofii, spoczywające na możliwie obiektywném traktowaniu materyału, porównamy do tych piramid z kamieni, ktore składają geometrowie, ażeby miéć trwały punkt oparcia w swoich pomiarach, to książki takie jak Knauera porównać możemy do wbijanych na krótki czas drewnianych pali, wskazujących ostatni punkt, do którego doprowadzone zostały pomiary. Należy ona nietylko do literatury raczéj popularnéj niż do ściśle naukowéj, ale nawet do literatury chwili bieżącéj, prawie do publicystyki.

Za to podobny sposób traktowania przedmiotu czyni książkę wysoce przystępną; zachowanie stylu wykładów i podział na prelekcye, nadając urok prostoty, czynią zarazem czytanie łatwém, do czego w wysokim stopniu przyczynia się zaznaczony już sposób oświetlania materyału historycznego ze stanowiska dzisiejszéj doby. Rzadko téż można znaleźć dzieło tak jasne i tak łatwo czytające się w zakresie tak trudnego i abstrakcyjnego przedmiotu jak filozofia, a nie wpadające przytém w powierzchowność. Z tego téż względu polecamy je czytelnikom polskim, z zastrzeżeniem jednak, że osobiste poglądy autora więcéj może, niż należy, wpłynęły tak na wybór materyału historycznego jako téż i na ilość miejsca udzielonego poszczególnym filozofom, co zresztą nie przeszkadza téj książce być bardzo dobrym wstępem tak do filozofii wogóle jak oraz do filozofii przyrodoznawstwa w szczególności. *Wł. M. K.*

= *Wilhelm Roscher*. **Politik.** Geschichtliche Naturlehre der Monarchie, Aristokratie und Demokratie. 1892., str. 722. — Nazwisko W. Roschera było dotychczas ogólnie znaném, jako ekonomisty. Obecnie ukazała się nowa praca tego autora, poświęcona rozpatrzeniu dziejów, że tak powiemy, konstytucyi społecznych. Jak się okazuje z zeznań samego Roschera, jestto ulubiony przedmiot studyów jego od najpierwszéj chwili pracy naukowéj, do którego powracał kilkakrotnie w swoich wykładach, któremu poświęcił w młodości jedną i drugą rozprawkę, a od którego obowiązki profesorskie, złączone z wykładem ekonomii, wciąż go odrywały. Kto zna prace ekonomiczne Roschera, znajdzie w nowéj księdze ten sam sposób pisania, te same rysy i właściwości. Jest to przedewszystkiém zbiór faktów, dotyczących pewnego przedmiotu a ułożonych systematycznie w rubryki, gdzie autor zdradza się przedewszystkiém w sposobie ułożenia materyału faktycznego, a dopiéro w wyjątkowych ustępach wypływa ze swojém zdaniem w całości, będącém zwykle próbą pogodzenia obcych. Podobnie i w nowéj pracy autor osobiście zajmuje takie samo stanowisko, usiłując z trzech zasad, w nagłówku wymienionych, stworzyć jakiś ideał pośredni, gdzie wszystkie one zostałyby pogodzone, a podstawę tego widzi w fakcie, że nigdy jedna z tych zasad nie panuje całkowicie nad życiem społeczném, lecz tylko w pewném połączeniu z inną jakąś. Książka Roschera rozpatruje rodowód ustawy monarchicznéj, któréj zasadniczym pierwiastkiem jest oparcie rządów na jedności władzy; jéj ukazanie się wśród plemion barbarzyńskich pod wpływem zapasów wojennych; rozpłynięcie się w oligarchii arystokratycznéj w starożytności, zapanowanie zaś nad nią w nowym okresie dziejów, co według Roschera wypływa z rozmiarów terytoryalnych nowoczesnego państwa. W związku z upadkiem ustawy monarchicznéj królewskiéj w starożytności autor przechodzi do rozpatrzenia ustawy arystokratycznéj, któréj zasadą jest oddanie rządów nad krajem pewnéj liczbie osób, w każdym jednak razie stanowiącéj mniejszość, a któréj rysami charakterystycznemi są: nieobecność wszelkiéj powagi i niezgoda wewnętrzna, wyłączność przywilejów, autonomia rodziny i gminy z brakiem centralizacyi, znaczenie wieku oraz zwyczaju, swoboda myśli, ale wraz z tém słabość wojskowa. Przed nami przesuwają się rzeczypospolite starożytne, feodalizm średniowieczny z patrycyuszowstwem miejskiém. I znowu oglądamy, jak w nowoczesnéj epoce z pośród tego pierwiastku oligarchicznego wydobywa się bezwzględna władza tronu i przebiega różne fazy. Wreszcie oglądamy dzieje zasady równości, t. j. pierwiastku demokratycznego, w starożytności i w czasach nowszych, oraz jak ona, zdaniem Rosche-

ra, z konieczności zawsze doprowadza do cezaryzmu, zarówno w postaci tyranii klasycznych i cesarstwa w Rzymie, jak panowania kandotierów we Włoszech, władzy Cromwella i Napoleona I. W rozumieniu naszego ekonomisty epoka tegoczesna rozwija się pod hasłem demokratyzmu, i tém samém prowadzi téż do cezaryzmu. Roscher przeto podaje cały szereg reform ekonomicznych, które winny uchronić teraźniejszość od rozbicia.

Taką jest treść książki, któréj wiele stronnic, nawet jeżeli czytelnik nie zgadza się z autorem, czyta się z zajęciem. Porównawcze zastosowanie rozwoju dziejowego chwili nowoczesnéj a starożytności i oparcie przebiegów historycznych na podścielisku ekonomiczném czynią książkę Roschera zajmującą w niektórych ustępach, wówczas, kiedy inne są czasami wprost jałowém zaciekaniem się scholastycznem lub przytaczaniem tego rodzaju faktów, że wszystkie trzy dynastye francuskie, Capetingów, Walezyuszów i Burbonów skończyły się każda na panowaniu trzech braci... *L. K.*

═ Tom IV wydawnictwa pism Klemensa Junoszy tylko co wyszedł o druku; wydanie jego uległo zwłoce z powodu długotrwałéj choroby autora, dalsze zaś tomy wydane zostaną z możliwym pośpiechem.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

„Ateneum“ i „Niwa“ o inteligencyi. — Inteligencya teoretyczna i inteligencya praktyczna. — Kolonie letnie w sprawozdaniu dr. Markiewicza. — Społeczne ich znaczenie. — Łódź, jéj kultura techniczna i estetyczna i stanowisko wobec niéj prasy warszawskiéj.—Czy ta prasa spełnia tam swoje zadanie?—Zakończenie sporu między plantatorami a cukrownikami.—Uwagi z tego powodu. — Ruch agrarny w Niemczech. — Kilka słów o naszych stowarzyszeniach. — Działalność komitetu obywatelskiego. — Kasy przemysłowców w Łomży i Kaliszu. — Szkoła rolnicza w Sobieszynie.

Dwa pisma mówiły o naszéj inteligencyi: „Ateneum“ w artykule p. Wł. M. Kozłowskiego: „Czy mamy inteligencyą?“ i „Niwa“ (Nr. 1) w „Słowie wstępném“ p. Ludomira Grendyszyńskiego.

„Niwa“, jak już czytelnikom wiadomo, przeszła z Nowym rokiem pod nową redakcyę i nakreśliła sobie nowy program, program naukowy. W takich chwilach pismo przebywa zawsze „moment psychologiczny”, i warto posłuchać, jak zdaje sobie sprawę ze swego stosunku do ogółu. Otóż p. Grendyszyński, skreśliwszy w słowie wstępném ważniejsze zmiany i momenta w naszym ruchu umysłowym podczas ostatniego trzydziestolecia, zaznaczywszy, „że interes do spraw politycznych osłabł, że w rozprawach społecznych zużyto już wszystkie—zdaje się—programy i wszystkie hasła, a w literaturze i sztuce poszukiwanie nowych kierunków doprowadziło tylko do nowych dziwactw“, dochodzi do wniosku, że jedna tylko nauka robi trwałe i pewne zdobycze. I chociaż na naszym gruncie, wskutek braku odpowiednich organów, badania i rozprawy naukowe nie są prowadzone systematycznie i daleko im do poziomu zachodnio-europejskie-

go, to jednak autor sądzi, że aspiracye do pracy naukowéj istnieją i że „popęd do studyów, zamiłowanie do wiedzy czystéj wzrosło w ostatnich latach znacznie i że trzeba tylko starań w tym kierunku, a kwiat ten wydać może owoc wspaniały.“ „Niwa“ w nowéj swojéj szacie pragnie właśnie służyć nauce.

Konkluzya p. Kozłowskiego o naszéj inteligencyi, jako gromadzie społecznéj, nie jest wcale dla niéj pochlebna. „Nie jesteśmy inteligencyą, jesteśmy pasorzytami postępu“, w najlepszym zaś razie do téj nazwy mają prawo „nieliczne, rozproszone jednostki.“

Takiéj inteligencyi, jakąby pragnął miéć p. K., na całéj planecie nie ma. Autor bowiem przez „inteligencyą“ pojmuje nietylko klasę ludzi, oddanych interesom i zajęciom umysłowym, lecz wogóle wszystkich z wyższém wykształceniem, oddanych i zawodom praktycznym, jak inżynierów, agronomów, adwokatów, lekarzy, kapitalistów, przemysłowców i t. d. Pragnąć, ażeby tak określona inteligencya unosiła się ponad antagonistycznemi interesami warstw społecznych, ażeby była ich sędzią i wodzem, jest to samo, co chciéć, ażeby zapaśnicy byli jednocześnie rozjemcami. Z żądaniem takiéj bezstronności i misyi „kapłaństwa idei“ zwracać się tylko można do inteligencyi, wyłącznie kulturze umysłowéj poświęconéj, do inteligencyi, pracującéj w bibliotekach i laboratoryach. Inaczéj, trudno sobie wyobrazić, jakim sposobem w społeczeństwie klasowém inteligencya zawodowa, która tak dobrze, jak i reszta społeczeństwa, należy do rozmaitych klas społecznych i dobija się o egzystencyę, ma być od interesów klasowych wolną?

Wprawdzie p. K. mówi, że „społeczeństwo poświęca znaczne wysiłki na wytworzenie inteligencyi i stwarza warunki, w których ona może osiągnąć zupełny rozwój władz intelektualnych i używać wszystkich rozkoszy myśli,“ ale są to raczéj idealne, niż rzeczywiste warunki, których dokoła siebie zwłaszcza nie widzimy. Kasty w starożytności, których położenie z współczesną inteligencyą porównywa p. K., były w takich warunkach; ale przywileje inteligencyi, jeżeli wogóle mówić u nas o nich można, nie są przecież dziedziczne.

Przeznaczenie i rolę inteligencyi, w rozumieniu p. K., uważać chyba należy za idealne wskazówki, które jéj drogę pochodu wskazywać powinny. Niech mierzy według tych wskazówek odległość, która dzieli jéj dzisiejsze, faktyczne stanowisko od tego idealnego, i niech się do niego, w miarę usiłowań, zbliża.

Wytworzenie klasy kulturalnéj, naczelnym zadaniom rozwoju i dobra ludzkiego wyłącznie poświęconéj, było marzeniem filozofów, a między nimi i Rénana, który wodzami ludzkości pragnął widzieć

mędrców, wielkich wynalazców i filozofów. Ale takiém zadaniem Rénan nie myślał, jak p. K., obarczać inteligencyi fachowéj. Zdaje się właśnie, że zbyt filozoficzne pojmowanie powołania inteligencyi jest błędem jasnego i pożytecznego zresztą artykułu p. Kozłowskiego. Zapomniał on o granicy między inteligencyą praktyczną, a inteligencyą kulturalną i teoretyczną. Na barki téj drugiéj chyba włożyć można „kapłaństwo idei", jeżeli znajdzie się w warunkach, powołaniu takiemu sprzyjających.

Co do pierwszéj zaś, to jeżeli zstąpimy z téj wyżyny intelektualnéj i etycznéj, na któréj pragnęliśmy ją widzieć, i staniemy obok niéj na faktycznym gruncie życia społecznego, to i tak będziemy mieli aż nadto rozległe pole do krytyki jéj postępowania. Od przemysłowców, fabrykantów, właścicieli dóbr, kupców, adwokatów, lekarzy i t. d. nie żądajmy kapłaństwa idei, nie używajmy do nich terminologii idealistycznéj, boć wiadomo, że są to ludzie faktów, którzy o terminologii takiéj słyszą tylko od profesorów, ażeby późniéj o niéj zapomnieć.

Otóż na tym faktycznym gruncie, gdzie się ścierają i powstają interesa i potrzeby ludzkie, należałoby współdziałać i pomagać do wytworzenia altruizmu praktycznego. Rzecz oddawna wiadoma, że argumentacyą, najlepiéj trafiającą do przekonań ludzkich, jest ta, która przemawia do ich interesów. Reformy społeczne zawdzięczają swoje życie nie idei twórczéj wielkich mózgów, w których mogły powstać, lecz temu, że przemówiły do interesów milionów mózgów małych. Gdybyśmy w inteligencyi, którą nazwać można praktyczną, ze względu, że przeznaczeniem jéj jest nie myślenie i rozprawianie, lecz działanie, potrafili obudzić instynkta społeczne i altruistyczne, to bez wielkiego zgorszenia, znając naturę ludzką, uwolnićbyśmy ją mogli od kapłaństwa idei intelektualnych i kultury naukowéj.

Pamiętajmy zresztą o tém, że sfera interesów umysłowych i estetycznych jest dostępną tylko wybranym, kiedy sfera interesów społecznych dostępną jest wszystkim. Pierwsza wymaga szczególnéj i odrębnéj organizacyi wrażliwości, może szczególnych komórek mózgowych, i jeżeli ich nie ma, to i idei, po prostu powiedziawszy, nie ma gdzie wsadzić.

Czy to sadzenie uda się „Niwie", która, jak widzieliśmy, chce niém wypełnić główną część swojego programu? Trudności są niewątpliwie duże, bo jesteśmy społeczeństwem o starych tradycyach literackich, lecz nie naukowych, które także wymagają starego i tradycyjnego gruntu. Usiłowanie takie jednak powitać należy szczerze i życzliwie, co już uczyniła redakcya w poprzednim zeszycie.

Dr. St. Markiewicz, przewodniczący komitetu kolonii letnich, ogłosił w „Kuryerze Warszawskim“, wstęp do sprawozdania o koloniach. Samo sprawozdanie będzie także niedługo drukiem ogłoszone.

Przyjemnie jest zawsze poznać w specyaliście człowieka o dalszym rzucie oka. Nie wszyscy nawet z tych, których filantropami i dobroczyńcami nazywają, są tym rzutem obdarzeni. Sprawozdanie d-ra Markiewicza czyta się z pożytkiem i zajęciem. Ten lekarz pisze rozumnie i przekonywająco. Broni przytém sprawy, któréj służy nietylko z lekarsko-filantropijnego stanowiska, ale przemawia jako obywatel, humanista i polityk. Z takiém sprawozdaniem zapoznać się bardzo warto.

Początek kolonii letnich sięga u nas 1882 roku. Wówczas wysłano na wieś 52 dzieci. Instytucya rozwijała się dobrze, jeżeli po dziewięciu latach, w r. 1891 wysłano 490, a w roku zeszłym cyfra wysłanych wskazuje 884. Po koniec r. 1891 kierownikiem kolonii był, jak wiadomo, zmarły Gustaw Fritsche.

Dr. Markiewicz uważa jednak tę cyfrę tylko za dobry początek. Miasto z taką liczbą ludności, jak Warszawa, zapewniać powinno dobrodziejstwo świeżego powietrza przynajmniéj 2,000 dzieci słabowitych i bez wahania dr. M. twierdzi, że liczba ich dojdzie do rzeczonéj cyfry w najbliższym czasie. Ofiarność zamożniejszéj ludności daje tę rękojmię. Ta pewność bardzo nam się podoba, a osiągnięte już rezultaty przekonywają, że ma pod sobą podstawę.

Sprawozdanie zbija zarzuty, jakie spotykała na początku i spotyka do dziś dnia dobroczynna idea wysylania ubogich dzieci na świeże powietrze. Jedni, i takich zapewne ma na myśli dr. Markiewicz, którzy sami nic nie robią i nie lubią widzieć innych, pożytecznéj oddanych pracy, nazywają kolonie letnie filantropijną zabawką; inni, z poważniejszym już występując zarzutem, są mniemania, że kolonie letnie są wyrazem usiłowań szlachetnych, lecz bezowocnych, a to dlatego, że wysyłane są na wieś i stawiane chwilowo w warunkach pomyślnych dzieci, które są skazane na stałe działanie zgubnych wpływów i stanowczych szkodliwości, że wpływy te i szkodliwości zobojętniają w bardzo krótkim czasie pomyślny rezultat czterotygodniowego pobytu na wsi.

Pierwszym nie ma potrzeby odpowiadać. Co do drugich, to istotnie jest prawdą, że poprawa bywa nieraz tylko chwilową i że złe powraca zaraz lub stopniowo po wróceniu chorego do warunków zgubnych jego życia poprzedniego. Ale ten ujemny ostatecznie rezultat kuracyi bywa udziałem niemal wszystkich usiłowań i zabiegów leka-

rza w pewnéj liczbie przypadków; wszakże na szczęście, o ile o kuracye klimatyczne chodzi, rezultat ostateczny, trwały, bywa najczęściéj pomyślny, częstokroć zdumiewająco pomyślny.

A teraz zatrzymajmy się przez chwilę na społecznéj doniosłości kolonii letnich. Przedstawmy sobie ubogich rodziców, którzy usłyszą wyrok, że jedynym ratunkiem dla ocalenia ich dziecka jest wysłanie go na wieś. Dziecko wyjechać nie może, bo jest dzieckiem ubogich rodziców. „Czyż może się znaleść—słusznie mówi dr. Markiewicz—w historyi naturalnéj proletaryatu powód do żywszego rozgoryczenia, czyż może rodzić coś zacieklejszą zawiść, jak owa niemożność znalezienia ratunku przeciw złemu, na które ludzie bogatsi tak łatwo i tak powszechnie znajdują środek zaradczy. Trochę świeżego powietrza, kilka tygodni pobytu na wsi!“

„Zadaniem rozumnego członka społeczeństwa — pisze dr. M. — jest dobrze się obeznać, o ile możności drogą bezpośredniéj obserwacyi, z tém, co mniéj lub więcéj zaczynów rozgoryczenia socyalnego rodzi, i z tém, co najlepiéj, najskuteczniéj, przeciwdziała fermentacyi, działaniem owych zaczynów warunkowanéj. Otóż, opiérając się na obserwacyach, tu w Warszawie robionych i na tém, o czém donoszą spostrzegacze wszystkich miast europejskich, przychodzimy do wniosku, że kolonie letnie, dobrze prowadzone, są jednym z najdzielniejszych środków pojednania, jednym z najskuteczniejszych leków chorób, grożących całości i bytowi etycznemu społeczeństwa.“

Ksiądz Bion, twórca téj instytucyi słusznie mówi, że „dzieci są ludziom ubogim zarówno drogie, jak bogaczom. A skoro biédak widzi, że jego zamożny współobywatel rodzinie swojéj dostarczyć może tego wszystkiego, czego materyalne i duchowe dobro wymaga, kiedy tymczasem jego dzieci w nędzy giną, natenczas budzi się w nim rozgoryczenie, niechęć względem tak niesłusznego, socyalnego porządku rzeczy na świecie, i to budzi w nim myśl wzruszenia posad gmachu.“

Sprawozdawca tak odpowiada na pytanie, co w r. z. zrobił komitet kolonii letnich: „Około dziewięciuset rodzinom najuboższéj ludności naszego miasta przyszliśmy z doraźną pomocą w ratowaniu zdrowia ich dzieci, sprawiliśmy tym setkom biedaków radość, obudziliśmy w umysłach ich dobre, szlachetne wspomnienie, zbudowaliśmy wcale pokaźny kawał muru w gmachu pojednania nędzy z bogactwem.“

Nikomu to nie przeszkadza, że ludzie inicyatywy i ambicyi społecznéj widzą większe rezultaty swojéj pracy, niż te są w istocie, jeśli to im dodaje odwagi i wytrwałości. Człowiekowi, który kocha dzieło własnego serca, a takiém dziełem są kolonie letnie, wolno wierzyć

w ich ogólne, bardzo daleko sięgające dobroczynne następstwa, boć zresztą z tych pojedyńczych cegieł układają się gmachy i mury, o których wspomina dr. Markiewicz.

Grono osób dobroczynnych, którym pozwolono w r. z. urządzić kolonie letnie i zbiérać ofiary na ten cel do wysokości 5 t. rub. składali pp: hr. Kossakowski, prof. Pawiński, dyr. Czajewicz, panie Zofia Harthingowa, Daniela Kosińska, Stanisław Lesznowski i St. Markiewicz. Organ wykonawczy, zwany biurem kolonii letnich, składał się z 4-ch lekarzy: ddr. Tomaszewicz-Dobrskiéj, Kosmowskiego, Natansona i Kuczyńskiego.

Ze sprawozdania dowiadujemy się także, że kolonie letnie w całém państwie otrzymać mają kodyfikacyę normalną. Zmieniłoby to bardzo korzystnie położenie instytucyi, któraby mogła wówczas posiadać stałe fundusze, nabywać własności nieruchome, budować przytułki wiejskie i zakładać stacye w miejscowościach leczniczych. Tymczasem na nadchodzący sezon letni projektuje się cały szereg reform. Dodajmy jeszcze, że komitet kolonii w tym roku pragnie otrzymać pozwolenie na zbieranie składek do wysokości 10,000 rub.

Ponieważ kolonie są instytucyą, która uzyskała już czynne uznanie ogółu, i rezultatami swéj pracy śmiało pochlubić się może, więc zasługuje ona na uwagę ze strony innych instytucyi, które wloką anemiczny żywot. Historya kolonii letnich jasno świadczy, że wobec ogółu można wygrać dobrą sprawę, jeżeli śmiało i umiejętnie kierować nią będziemy. Dr. Markiewicz w sprawozdaniu swojém nie narzeka, nie płacze, przeciwnie, wykazuje, co robiono dotychczas i co do zrobienia zostało, i co, jak mówi dobitnie, zrobi się w najbliższym czasie. Instytucye nie rozwijają się same przez się; musi w nich być twórcza dusza, którą jest umiejętność i energia ludzka.

W pierwszych dniach b. m. rozpoczął się już wstępny zapis dzieci, które w tym roku będą kosztem Kolonii letnich na wieś wysyłane. Widzimy ztąd, jak zwierzchności kolonii leży na sercu dobra sprawa, jeżeli tak wcześnie pomyślano o jéj urządzeniu.

Łódź, po półwiekowém już przeszło istnieniu, i po bezprzykładnie szybkim, w naszych stosunkach, przemysłowym i kapitalistycznym rozwoju, doczekała się baczniejszéj uwagi od staréj i dystyngowanéj Warszawy. Przez tę uwagę rozumiemy przedewszystkiém prasę warszawską, która od kilku miesięcy stosunkom łódzkim więcéj udziela miejsca. Są dziennikarze, którzy pisząc o Łodzi i o odkryciach tam porobionych, przybierają miny nowych Kolumbów.

Zwrócenie należytéj uwagi przez prasę warszawską na przemysłowe, społeczne i towarzyskie żywioły Łodzi, mogłoby tylko być go-

dne wielkiego uznania. Miasto, liczące podobno około 200 a w każdym razie 150 tysięcy ludności, miasto przemysłowców i robotników, które najwybitniejszy przedstawia u nas kontrast pieniędzy i pracy, niewątpliwie godne jest wielkiéj obserwacyi, która nietylko teoretyczne, ale i praktyczne następstwa miéć powinna. Między innemi, nie mówiąc już o świecie przemysłowo-handlowym, który sam sobie radzić umié, Łódź powinnaby zachęcić i być dobrém polem do osiedlania się tam, nietylko naszych chemików, techników, robotników i majstrów ale i inteligencyi nauczycielskiéj i artystycznéj, zanadto w Warszawie skupionéj. Tylko niech ta inteligencya nie udziela Łodzi téj płytkiéj zarazy artystycznéj, która grasuje tak bardzo w Warszawie. Sądzimy zatém, że nauczyciele i nauczycielki literatury, muzyki i języków, malarze i architekci, powinni na terenie łódzkim zaszczepić subtelniejszą kulturę, na któréj tak bardzo ma zbywać téj wielkiéj kolonii, założonéj przed kilkudziesięciu zaledwie laty przez tkaczów, i która dotychczas wchłaniała w siebie przeważnie siły muskularne, nie zaś duchowe. Gdyby obok warsztatów, przerabiających materyały surowe, stanęły warsztaty artystów i inteligencyi — obustronna korzyść byłaby w udziale.

Żywioł niemiecki, który się tak licznie u nas osiedlił, przyniósł z sobą tylko kulturę techniczną, rutynę pracy, praktykę fabryczną, przemysłową i rolniczą. Ponieważ był to żywioł pruski, i jak się mówiło dawniéj, z brandeburskich piasków naleciały, więc stara kultura germańska była mu dość obcą. Posiadał duże barki, silne muskuły, instynkt „*Drang nach Osten*,“ inicyatywę, umiał skupiać się, organizować, wytwarzać i sprzedawać. Kolonistów niemieckich wszędzie przedstawiają takimi, w tych wszystkich częściach świata i okolicach, gdzie krajowcy, już to niżsi kulturą techniczną, już ubożsi w inicyatywę i systematyczną pracę, ulegali przybyszom. Te warunki zapewniły kolonistom niemieckim powodzenie podobno nawet w Brazylii, gdzie mimo zabójczego klimatu, małego zaludnienia, wielkich odległości i bardzo pierwotnych połączeń komunikacyjnych, kolonie niemieckie utrwalają się i rosną.

Nie inny żywioł, lecz taki właśnie, osiedlił się u nas, założył i wytworzył Łódź, która do dziś dnia została obcą kolonią na przestrzeni słowiańskiéj. Temu głównemu ognisku kultury niemieckiéj u nas zbywa jednak na kulturze estetycznéj, obyczajowéj i towarzyskiéj. Ponieważ, jak mówiliśmy wyżéj, prasa warszawska od kilku miesięcy ujawniła pewną gorliwość w zajęciu się stosunkami łódzkiemi, więc należało jéj postawić sobie zadanie, aby i ogółowi krajowe-

mu te stosunki w wierném i bezstronném przedstawić świetle i łodzianom przedstawić poważnie prasę warszawską.

Niestety, tak się nie stało. Wiadomości, które otrzymujemy z Łodzi i o Łodzi, nie przekraczają reporterskiego repertuaru, który w prasie naszéj coraz szerzéj panowanie swoje utrwala. Rzecz dziwna, że jeżeli dzienniki nasze mogą miéć za korespondentów z Rzymu, Londynu i Paryża ludzi specyalnie lub estetycznie wykształconych, do Łodzi, odległéj o cztery godziny jazdy, nie chcą czy nie mogą wysłać nieco zdolniejszego, przyzwoicie piórem władającego dziennikarza, któryby umiał sobie i innym zdać sprawę z tego, co widzi, tego, co ciekawsze, poszukać, to, co głębsze zbadać. Wypadki teatralne i brukowe, tańce i szansonistki, koncerta i zabawy, bale, bójki i pożary obok kilkunastu suchych cyfr, przemysłu łódzkiego dotyczących — oto wszystko, co przez dzienniki otrzymujemy z Łodzi.

Trudno zataić, że dziennikarstwo warszawskie nie stanęło w sprawach łódzkich na wysokości zadania. Zadanie to pojmuje ono tylko informacyjnie. Jeżeli dostarczy czytelnikom kilkanaście drobnych wiadomości codziennie, to sądzi, że już spełniło swój obowiązek. Na takie pojmowanie dziennikarskiego obowiązku zgodzić się żadną miarą nie można; uważać go nawet trzeba za zwrot wsteczny, do owych czasów, kiedy gazetki XVII i XVIII stulecia podawały czytelnikom wiadomości o wypadkach i anegdotach dworskich; z różnicą, że dziś te wypadki dotyczą szerszéj publiczności.

W grudniu, charakteryzowaliśmy zaciętą walkę na pióra, jaka się toczyła między cukrowniami a plantatorami buraków, zniecierpliwionymi systematycznym wyzyskiem producentów cukru. „Gazeta Warszawska“ otwarła gościnnie szpalty swoje dla tego sporu, który tym razem nie był burzą w szklance wody. Złośliwi, którzy przypuszczali, że skończy się na krzyku, zawiedli się bardzo. Rezultat sporu z tém większym zadowoleniem zapisujemy i podnosimy, że zwycięstwo pozostało przy stronie krzywdzonéj, t. j. przy plantatorach. Fabryki cukru porobiły im rozmaite ustępstwa, i podniosły cenę buraków po 7 i 8 kop., w niektórych zaś miejscowościach nawet więcéj kop. na korcu. Plantatorowie z kutnowskiego trzymają się najdłużéj odpornie, chcąc uzyskać jeszcze lepsze warunki i ceny.

Zakończenie tego sporu, oprócz bezpośrednich następstw, wyrażonych w podniesieniu ceny na ważny w naszém rolnictwie produkt, jakim są buraki, ma jeszcze jakieśkolwiek, tak sobie przynajmniéj mniemać pozwalamy, dalsze, społeczne znaczenie. Mianowicie ziemianie i rolnicy nasi uchodzą od dłuższego czasu, od zniesienia pańszczyzny nawet, a zwłaszcza od kryzysu w handlu zbożowym, jaki

w ostatniém siedmioleciu trapi rolnictwo, za żywioł nieporadny, który opuścił wiosła i swoją egzystencyę ekonomiczną lekkomyślnie fali powierzył. Było w tém zapewne dużo słuszności, ale powtarzało się także jednocześnie ogólne prawo, że żywioł społeczny, który ustępuje z dominującego stanowiska, jakie zajmował, bywa ze wszech stron obsypywany pociskami tych, którzy na opuszczoną przez niego pozycyę wstępują.

Naturalnie, że zręczne wytargowanie od przemysłowców kilkunastu kopiejek na korcu buraków, nie może być tytułem do rehabilitacyi sprawności gospodarczéj i energii społecznéj. Ale pamiętajmy, że według stawu grobla, i że takie zbiorowe usiłowania, jakie okazali rolnicy w sporze z fabrykami cukru, a które następstwa usprawiedliwiły, powinny zalecać tę metodę w ich oczach zawsze, kiedy chodzi o utrzymanie, zagrożonéj trudnemi warunkami, w jakich się znajduje rolnictwo, pozycyi ekonomicznéj. Metoda ta, gdyby mogła być stosowaną i w handlu zbożem i w innych sprawach rolniczych dawałaby może najlepszą rękojmię, że rolnicy ziemię utrzymać w garści potrafią, co najważniejszém ich zadaniem być powinno.

Rolnicy nasi z zajęciem zapewne także śledzą za rozwojem ruchu agrarnego w Niemczech. Ruch ten obchodzić ich powinien bezpośrednio, jako skierowany przeciwko traktatowi handlowemu między Niemcami a Rosyą. Ponieważ traktat musiałby objąć zniżenie ceł pruskich od zboża naszego, co zdaniem agrarnéj partyi niemieckiéj zagraża interesom tamtejszego rolnictwa, więc wszczął się wielki ruch i hałas przeciwko handlowéj polityce rządu. Wszystkie niemieckie towarzystwa i związki rolnicze, których tam jest bardzo wiele, zwłaszcza z prowincyi wschodnich i północnych, urządzają zebrania i podają petycye przeciwko zniżeniu ceł od zagranicznego zboża. W téj chwili przynajmniéj zdaje się jednak, że polityka rządu tamtejszego, licząc się z ogólnemi interesami państwa, potrzebami konsumentów i interesami przemysłu niemieckiego, który dla swojéj produkcyi domaga się zniżenia ruskich ceł wchodowych, — chce wytrwać w zamiarze zawarcia traktatu handlowego.

Niemiecka opozycya agrarna zajmować nas powinna naprzód bezpośrednio, bo jest wymierzona wprost przeciwko dowozowi zboża naszego na rynki tamtejsze, a więc przeciwko podniesieniu jego cen, którego tak bardzo pragniemy, a następnie ważnym i ciekawym jeszcze jest ten spór między partyą rolną a partyą przemysłową i konsumentem miejskim. Pytanie: kto zwycięży? ma duże polityczno-socyalne dla tamtejszych stosunków znaczenie.

Stowarzyszenia warszawskie cieszą się dużą sympatyą ogółu. Jedne z nich powstały w celach wzajemnéj pomocy, inne w celach wzajemnéj zabawy, jak np. wioślarzy, cyklistów, inne w celach artystycznych, jak lutniści. Prasa nasza wszystkie te stowarzyszenia pieści i czułą otacza opieką. Był nawet czas, że niektóre z nich, te właśnie, które na celu mają zabawę i cieszą się z téj racyi względami płci nadobnéj, nie były nigdy wymawiane bez epitetów: nasi dzielni, nasi sympatyczni, nasi dziarscy. W Warszawie zresztą wybaczą człowiekowi wszystko, kiedy się nazywa „sympatycznym,“ a nie wybaczą mu niczego, nawet zasług, kiedy nie jest „sympatycznym.“ Przyznają nawet, że jest pracowity, dobry, zasłużony, ale cóż z tego wszystkiego, kiedy nie „sympatyczny“. Nigdzie może podział ludzi na „sympatycznych“ i „niesympatycznych“ nie jest tak utrwalony, jak w Warszawie.

I sympatycznym więc stowarzyszeniom, nawet prasa w ich własnym interesie nie miała nigdy odwagi słów prawdy lub krytyki wypowiedzieć. Kto wié, czy nie obawiała się niechęci płci nadobnéj, a płeć piękna przedewszystkiém zarządza podziałem ludzi, rzeczy i stowarzyszeń na sympatyczne i niesympatyczne. Pod tym względem oddaliśmy jéj niepodzielną inicyatywę, i w salonie, i na spacerze, i w teatrze, i w literaturze, i wtedy, kiedy mówimy o uczesaniu włosów i kroju surduta, i wtedy, kiedy rzecz idzie o umeblowaniu głowy i ozdobie charakteru.

Stowarzyszenia zaś te, jak krytyka ustna nie raz wykazywała, nie dorastają téj dzielności, co pochlebna dla nich opinia. P. Dutlinger pisze np. w „Przeglądzie tygodniowym“ o naszych obu stowarzyszeniach subiektów handlowych. „Cóż one robią dla wzajemnéj pomocy?“ — pyta. — „Oto wpływy ze składek idą na utrzymanie drogiego lokalu, służby, na urządzanie balów, koncertów, zabaw kwiatowych (których koszt nie zawsze się zwraca) a w małéj bardzo części na bibliotekę, w najmniejszéj na dbanie o przyszłość stowarzyszonych, na kształcenie ich, na wyszukiwanie im posad i t. d. Stowarzyszenia te, mijają się zupełnie ze swoim celem i właściwiéj powinny się nazywać stowarzyszeniami „wzajemnéj zabawy,“ bo zabawa, niestety, jest wybitnym terenem ich działalności.“

Wydział informacyjny dla wyszukiwania posad, jak to od interesowanych słyszéć można, źle spełnia swoje zadanie, a o pomocy dla chorego członka bardzo mało pomyślano.

Stowarzyszenia subiektów niemieckich, które mogą świecić wzorem dla innych, nie tylko umieją znaleźć posadę dla kandydata, i łączą się w tym celu siecią korespondencyi z zagranicznemi stowa-

rzyszeniami handlowemi, ale dbają bardzo i o wykształcenie stowarzyszonych, urządzając w tym celu odczyty i lekcye zbiorowe. Dalszym krokiem ich rozwoju jest projekt ubezpieczania członków na wypadek utraty posady.

Niech nasze sympatyczne stowarzyszenia nie zasypiają na laurach, zdobytych w tańcu, lecz niech się staną istotnie pożytecznemi stowarzyszeniami, których tytuły do sympatyi będą więcéj pozytytywne od dotychczasowych. Sympatya, powierzchownemi tylko zaletami zdobyta, nie jest nigdy trwałą. Nawet płeć piękna, po pewnym przeciągu czasu, nazwie ją czczą.

A może i prasa codzienna uczyniłaby lepiéj, gdyby porzuciła dotychczasowy zwyczaj obsypywania sympatycznych stowarzyszeń mdłemi pochwałami i podawania jedynie suchych, protokólarnych sprawozdań z ich posiedzeń, a zajęła się krytycznie ich organizacyą i działalnością. Dobrą i obiektywną krytykę nawet krytykowani, o ile posiadają warunki do życia, przenoszą nad zdawkowe, w niezdarny nota bene sposób pisane pochwały. Jest to jedna z organicznych, brzydkich i bardzo zakorzenionych wad prasy warszawskiéj. Nasze sprawozdania i artykuły są tak często lichemi referatami kancelaryjnemi, lichemi dlatego, że nie posiadają nawet kancelaryjnéj ścisłości. Rzecz to zresztą aż nadto widoczna, że nasze kadry dziennikarskie i publicystyczne wymagają solidniejszych sił, ale teraz już mówić o tém nie będziemy.

Ciężka i długa zima tegoroczna ustąpiła w drugiéj połowie lutego w pierwszych dniach marca słońcu, które powitaliśmy przyjaźnie. Nadchodąca wiosna, niestety, oprócz upragnionych, cieplejszych powiewów, niesie z sobą także obawę powrotu epidemii. Komitet obywatelski do walki z cholerą w Warszawie, zorganizowany w końcu r. z., nie mógł dotychczas wypełnić tych zadań, które mu dyktowały obawy o stan zdrowia publicznego. Jeden z jego członków pisze: „Wyznajemy, że ze względu na doniosłe zadanie, jakie wobec grozy epidemii poruczone komitetowi zostało, byliśmy przeświadczeni, że ofiarność publiczna, trzeźwo zrozumiawszy położenie, nie tylko z pobudek filantropijnych, ale w interesie własnego bezpieczeństwa życia, hojnie dostarczy środków do energicznéj i wszechstronnéj walki z epidemią. Niestety, jak dotąd, rachuby nasze zawiodły. O ile wiemy, wpłynęło do kasy Komitetu niespełna 16,000 rs. z których większą połowę złożyło 18-tu członków tegoż komitetu. Na 2,000 odezw, które komitet rozesłał do różnych osób i instytucyi, wpłynęło zaledwie 200 deklaracyi, czyli 10% znalazło się gotowych do ofiarności.“

Być może, że według swego zwyczaju, lekceważymy dalekie, jak nam się zdawać może, niebezpieczeństwo. Na uwagę i porównanie zasługuje, że wtedy, kiedy z funduszów Komitetu obywatelskiego 1,000 najbiedniejszych otrzymuje codziennie obiady, ubogim żydom, także z funduszów, które nazwalibyśmy anti-epidemicznemi, rozdają trzy razy tyle.

Tymczasem „Gazeta lekarska“ postawiła bardzo ważne pytanie: gdzie należy przygotować łóżka dla chorych, czy w szpitalach już istniejących, czy też w nowych, na ten cel wybudowanych barakach? Organ lekarski, przemawia stanowczo za barakami. Ponieważ cholerycznych nie można pomieszczać obok innych chorych na salach ogólnych, więc należałoby chyba dla nich szpitale opróżniać. Doszlibyśmy wówczas do tego, co w roku zeszłym: przed szpitalem setki ciężko chorych biedaków, błagających o miejsce, a w szpitalu 400 łóżek wolnych i 10 albo 15 zajętych przez cholerycznych. „A cóż zrobią — mówi „Gazeta“ — biedacy, chorzy nie na cholerę, którzy do szpitala pójść muszą, kiedy szpital zajęty? Szpital nie jest instytucyą, którąby na czas jakiś zamknąć można: jest jedną z najniezbędniejszych potrzeb społecznych.“

„Gazeta“ odwołuje się do Komitetu obywatelskiego, aby zajął się przygotowaniem choćby jednego lub dwu baraków po 800 łóżek, tém więcéj, że baraki mogą być stale użytecznemi, albo dla innych chorób epidemicznych i zakaźnych. Koszt baraku, nie licząc wartości placu, obliczono podobno na 25 t. rubli.

Jeżeli zaś, Komitet posiada zaledwie 16 tysięcy, z których zapewne wydaje i ów tysiąc obiadów, to jest rzeczą widoczną, jak bardzo potrzebne jest przyśpieszenie tempa ofiarności publicznéj.

Dodajmy jeszcze, że dotychczasowa działalność Komitetu obywatelskiego zaznaczyła się także, oprócz wydawania obiadów, otwarciem przytułku noclegowego przy ulicy Smolnéj i drugiego w okolicach Leszna. Mają być także przygotowane lokale izolacyjne na sto kilkadziesiąt rodzin. Przystąpiono już także do organizacyi obywatelskiéj służby sanitarnéj po cyrkułach. Wszystkie te czynności są przygotowawcze.

Spodziewać się chyba należy, że i w pierwszym razie, jeżeli epidemia nas nawiedzi, i w drugim, jeżeli ominie, historya dobroczynności w Warszawie zapisze trwałemi zgłoskami okres istnienia Komitetu obywatelskiego. To, co uczyniono dotychczas, uważać trzeba tylko za krok wstępny.

Ogłoszono niedawno zatwierdzoną ustawę Kasy przemysłowców miasta Kalisza. Uczestnikami mogą być przemysłowcy, rzemieślnicy

lub kupcy, stali mieszkańcy miasta. Pożyczki będą 8% na 6-ciomiesięczny termin. Jeżeli rozwój na to pozwoli, stopa procentowa może być zmniejszona. Nie przytaczamy treści ustawy, bo kasy przemysłowców posiadają już inne miasta, w których przyczyniają się dobrze do ruchu ekonomicznego.

Ogłoszono właśnie sprawozdanie Kasy przemysłowców łomżyńskich za r. 1892-gi. Obrót funduszów stanowi w niéj poważną sumę, 1 ½ miliona rubli dosięgającą. Przeważały pożyczki mniejsze od 15 do 100 rubli. Kasa płaciła od wkładów 5%, pobierała zaś od pożyczek 8% rocznie. Nie można téj stopy nazwać uciążliwą z uwagi, że tylko za pierwszy kwartał uiszcza się procent z góry, że kapitał wypożyczony uiszczać można ratami amortyzacyjnemi. Czysty zysk kasy wyniósł około 11 tysięcy rubli. Kasa przemysłowców nie zapomniała też o zakładach dobroczynnych w Łomży, ofiarując im 400 rubli. Ogólnemu zebraniu członków oznajmiono, że w roku bieżącym kasa pobierać będzie od udzielanych pożyczek 7 ½%. Musi ona oddawać istotne usługi swoim uczestnikom, skoro mieszkańcy Łomży i gubernii nazywają ją „dobrą matką“. Może i Kalisz w swojéj kasie taką dobrą matkę otrzyma.

Pisaliśmy w listopadzie o świeżo wówczas zatwierdzonéj ustawie szkoły rolniczéj w Sobieszynie, która powstaje z zapisu Kajetana Kickiego. Obecnie dowiadujemy się z gazet, że otwarcie nie nastąpi wcześniéj, jak w początku r. 1895. Potrzebne budowy nie mogą być podobno wcześniéj wzniesione. Na budowy i urządzenie szkoły komitet Towarzystwa osad rolnych, który opiekuje się zapisami Kickiego przeznaczył 22 tysiące rubli. Fundusz ten powstał z dawniejszych oszczędności i wpływów z dochodów dóbr, a jeżeli fundusz ten będzie niewystarczającym, to koszta pokryją dochody bieżące z zapisu Kickiego.

B. Lut.

NEKROLOGIA.

† **Władysław hr. Koziebrodzki**, urodzony roku 1839 w Kołodziejówce, kształcił się najprzód w instytucie technicznym w Krakowie, potém w Sorbonie. Przez czas jakiś przemieszkiwał w Szwajcaryi. Rozpoczął działalność literacką od szkiców powieściowych: „Flisak“, „Macocha“, „Ciotka Tekla“ i inne. Następnie zwrócił

się do komedyi i od 1870 r. ogłosił szereg utworów, które wielkiego rozgłosu nie miały, ale które wskazywały w autorze pisarza już doświadczonego. Były to: „Hrabia Maryan“ w 4 aktach (1870), „Po ślubie“ w 1 akcie (1870), „Klaudya“ w 2 aktach (1871), „Zawierucha“ (t. r.), „Pokusa“ w 1 akcie (t. r.), „W jesieni“ w 1 akcie (1872), „Balowe rękawiczki“ (1873), „Po ślizkiéj drodze“, „Miłe złego początki“ (1874), „Czy z powołania?“ (1878), „Stryj przyjechał“. Jednoaktówki, które miały najwięcéj powodzenia, wyszły w zbiorowém wydaniu w Warszawie 1882 r. Nastąpiła potém długa przerwa w twórczości; Koziebrodzki bowiem zajęty był pracami parlamentarnemi w sejmie galicyjskim i w Wiedniu, oraz jako członek rozmaitych komisyi i towarzystw, spełniając swe obowiązki nader gorliwie. Szczególniéj zaznaczyć wypada jego zajęcie się sprawami Towarzystwa tatrzańskiego. W ostatnim dopiéro roku wrócił znowu do prac dramatych, a nadesłana na konkurs dramatyczny w Warszawie „Nauczycielka“, pozyskała najwyższe uznanie sędziów i cieszyła się wielkiém powodzeniem na scenie. Zmarł w majątku swoim, Chłopicach pod Jarosławiem, 13 lutego.

† **Eryk Jachowicz**, syn głośnego pisarza dla dzieci Stanisława, urodził się 21 kwietnia 1842 r. w Warszawie, kształcił najprzód na pensyonacie J. Barszczewskiego, potém w szkole Karola Jurkiewicza, od 1857 do 1861 r. uczęszczał na wydział chemiczny gimnazyum realnego w Warszawie, od 1862 do 1866 r. na wydział prawny Szkoły Główněj, gdzie otrzymał stopień magistra. Był następnie nauczycielem języka polskiego w szkołach prywatnych, mianowicie J. Leszczyńskiego. W r. 1868 otworzył kantor komisowy, który prowadził do r. 1871, kiedy wszedł do Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, gdzie niebawem został archiwistą, pozostawał na tym urzędzie do r. 1892. Od założenia „Kuryera Porannego“ (1877) był stałym jego współpracownikiem, a prócz tego pomieszczał artykuły w „Gazecie Warszawskiéj“, „Kuryerze Codziennym“, „Niwie“, „Tygodniku mód i powieści“, „Tygodniku ilustrowanym“, „Kłosach“, „Tygodniku powszechnym“, „Biesiadzie literackiéj“, „Gazecie rzemieślniczéj“, „Przeglądzie pedagogicznym“, „Bibliotece Warszawskiéj“ i w pismach prowincyonalnych. Pod pseudonymem Józefa z Leszna ogłosił w Warszawie broszurę „W sprawie pomnika Mickiewicza“ i „Kalendarz dla dzieci“,—zajęty był opracowaniem opisu Warszawy dla „Wędrowca“. Był on jednym z najgorliwszych opiekunów dzieci ubogich i brał żywy udział w instytucyach filantropijnych, w Towarzystwie dobroczynności, w Towarzystwie opieki nad

biednemi matkami. Prawością charakteru, sumiennością zasłużył sobie na dobre wspomnienie. Zmarł w Warszawie 15 lutego r. b.

† **Aleksander Morgenbesser**, rodem z Bukowiny, poeta i historyk, urodzony około r. 1825, ukończywszy studya prawne w uniwersytecie lwowskim; obok zajęć swego zawodu oddawał się badaniom dziejowym, dotyczącym jego stron rodzinnych, w chwilach zaś swobodnych tworzył poemata heroi-komiczne, które miały wielkie powodzenie. Mianowicie „Obrona Sokołowa“, drukowana po raz pierwszy w r. 1854, doczekała się trzech wydań. Z późniejszych tego rodzaju utworów wymienić należy: „Palestrę“, poemat w 7 pieśniach (1880) i „Myślącego burmistrza“, również w 7 pieśniach (1881). W poważnym tonie nakreślił „Dumy historyczne“ (1885). Wielce poważany i kochany zmarł w połowie lutego w Czerniowcach.

† **Oskar Stanisławski** urodził się 1814 r. w Ostrowiu W. Ks. Poznańskiém, nauki gimnazyalne ukończył r. 1836 w Piotrkowie, gdzie ojciec jego był komisarzem wojewódzkim. Dalsze studya odbywał przez lat cztery zagranicą. Za powrotem wstąpił do służby w Radzie administracyjnéj Królestwa i szybko przechodząc szczeble hierarchii urzędowéj, w r. 1860 został naczelnikiem wydziału sprawiedliwości i na tém stanowisku pozostawał do r. 1869. W dziedzinie literatury rozpoczął od przekładu „Historyi Nowożytnéj“ Micheleta (1842), tłómaczył następnie Chateaubrianda, Lamartina, w r. 1862 wydał tłómaczenie „Historyi Powszechnéj“ Dittmara, która przez lat kilka była używana w szkołach jako podręcznik. W r. 1873 wydał w Warszawie „Historyą komuny paryskiéj w r. 1871 i francuskiéj wojny domowéj.“ Był spółpracownikiem „Wielkiéj Encyklopedyi powszechnéj Orgelbranda“, a nawet próbował sił swoich w beletrystyce, chociaż w tym względzie nie posiadał talentu. Znana jest jego komedya „Anna sekretarzem“ (1870), oraz dwie powieści: „Ślepy“ (1870) i „Zabielscy“ (1872). Przez czas jakiś redagował „Gazetę Niedzielną“ i „Opiekuna Domowego“. Otrzymawszy emeryturę, pozostawał początkowo w Warszawie, potém przeniósł się do Lublina, skąd niedawno temu pojechał do córki, zamieszkałéj w Kowlu, gdzie właśnie umarł 10 lutego r. b.

† **Zenon Rappaport** urodził się r. 1833 w gub. wołyńskiéj, ukończywszy gimnazyum gubernialne w Warszawie, za przykładem ojca lekarza, pojechał do akademii medycznéj w Petersburgu, lecz nie ukończywszy studyów, objął urzędowanie w departamencie dochodów niestałych, potém służył na komorze celnéj, gdzie téż otrzymał emeryturę. Bardzo młodo wziął się do pióra, gdyż już w r. 1851 ogłosił

powiastkę z dziejów Kalisza p. t. „Kaliszanka“. Tegoż roku wydał pismo zbiorowe p. t. „Pamiętnik literacki“; a w 10 potém w 2 tomach „Pamiętniki Wampira, czyli Wampir w świecie artystyczno-literackim“. Potém ogłaszał drobne satyryczno-komiczne obrazki: „Podróż do Krakowa“ (1876), „Wycieczka do Wiednia“ (1880), „Sztuka przypodobania się płci pięknéj“ (1881), „Podróż do Tulonu“ (1885). Pod pseudonymem Kamertona kreślił wierszem i prozą wiele powiastek, satyr w różnych czasopismach, zacząwszy od „Kuryera Niedzielnego“ (1862), „Gazety Codziennéj“, a skończywszy na „Kolcach“ i kuryerach. Wraz z Wł. Sabowskim wydał w r. 1862 „Telegraf brukowy w Warszawie“. Zmarł w Warszawie 16 lutego r. b.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie lutowym, w artykule „Eter“ należy sprostować:

Str. 371, wiersz drugi od dołu (w notce), zamiast „linia *prosta* jest ukośna *od* linii“, winno być: „linia *frontu* jest ukośna *do* linii.“

Str. 376, w. 4 od dołu, zam. „też *gdy* cięższe“, ma być: „też *są* cięższe.“

Str. 379, w. 13, 14 i 15 od dołu (w nocie), zamiast wydrukowanych tam wzorów matematycznych winno być: „to $n = \frac{v}{V} = \sqrt{\frac{k_1}{k}}$. Jeżeli sprężystość eteru w próżni K_1 przyjmiemy za jedność i zastąpimy K przez odwrotność pojemności $K = \frac{1}{K}$.

Str. 379, wiersz 12 od dołu, zamiast „Elektrometryczna“, ma być: „Elektromagnetyczna.“

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 2 Марта 1893 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

1. *Cycero.* **Kato starszy** czyli o starości. Przełożył E. Rykaczewski. Warsz. u T. Paprockiego i S-ki. („Biblioteka powszechna", nakład Zukerkandla, № 50), str. 59 (cena kop. 10).
2. **Czy mówisz Pan po francusku?** Praktyczny przewodnik. Ułożył *Dr. M. M.* („Biblioteka powszechna" nakł. Zukerkandla № 35 — 38). Warsz. u T. Paprockiego i S-ki str. 179 (kop. 40).
3. *J. S. Pobratymiec.* **Urzeczona.** Szkiełka z kalejdoskopu. („Bibl. powsz. № 46—47, nakł. Zukerkandla). Warsz. u T. Paprockiego i S-ki, str. 137 (kop. 20).
4. **Les disciples d'Emmaüs** ou les ètapes d'une conversion. *Par T. de Wyzewa.* Paris, 1893, str. 114.
5. *Kucharzewski Feliks.* **Bibliografia polska** techniczno przemysłowa. Zeszyt 7. Warsz. nakł. Redakcyi „Przeglądu Technicznego", 1892, IV-o, str. 241—271.
6. *Stanisław Kramsztyk.* **Szkice przyrodnicze** z dziedziny fizyki, geofizyki i astronomii. Warsz. nakł. redakcyi „Prac matematyczno-fizycznych" skład głów. u Gebethnera i Wolffa, 1893. 8-vo, str. VI i 347.
7. *Teodor Jeske Choiński.* **W pętach.** Powieść współczesna. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 347.
8. **Kalendarz rzemieślniczy** na rok 1893. Warsz. staraniem Redakcyi „Gazety Rzemieślniczej", 8-vo, str. 196 (cena kop. 20).
9. **Kalendarz do zdzierania,** wydany przez firmę *Urbanowicz i Różycki.* (Skład materyałów aptecznych i parowa fabryka środków opatrunkowych w Warszawie).
10. **Siły przyrody.** Popularny wykład fizyki, podług dzieła A. Guillemin'a „Le monde physique" opracowali: *Józefowa Nusbaum* i *Henryk Silberstein.* Warsz. nakł. księg. H. Olawskiego, 1892, 8-vo, zesz. 33 i 34.
11. **Jesienia.** Komedya *Leopolda Świderskiego* („Teatr amator." № 25). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 44 (kop. 30).
12. **Kancelarya otwarta.** Komedya *Zygmunta Przybylskiego* („Teatr amat." № 26). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 36 (kop. 30).
13. **Podarunki.** Komedya przez *J. Normanda* („Teatr amat." № 23). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 24 (kop. 30).
14. **Deszcz i pogoda.** Komedya przez *Leona Gozlan* („Teatr amat." № 23). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 36 (kop. 30).
15. **Przez wdzięczność.** Drobnostka sceniczna przez *Edw. Lubowskiego* („Teatr amat." № 22). Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 40 (kop. 30).
16. **Szmat życia.** Powieść *Gabryeli Zapolskiej.* Warsz. nakł. S. Lewentala, 8-vo, str. 318 i 242.
17. *Zygmunt Niedźwiecki.* **Jedyne dzieło.** Nowelle i szkice. Kraków, nakł. autora, 1893, 8-vo, str. 212.
18. *Maryan Sokołowski.* **Miniatury włoskie** biblioteki Jagiellońskiej i modlitewnik francuski ks. Samuela Sanguszki w bibliotece Dzikowskiej. Kraków, 1892, 8-vo, str. 44.
19. *Maryan Sokołowski.* **Erazm Kamyn** złotnik poznański i wzory przemysłu artystycznego u nas w XV i XVI wieku. Kraków, 1892, 8-vo, str. 27.
20. **Rocznik** Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych za r. 1891. Warsz. 1892, 8-vo, str. 261 i 118 (cena kop. 50).
21. *Józef Łabuński.* **Bolko Szczodry.** Tragedya. Warsz. skład główn. w księg. K. Prószyńskiego, 1893, 8-vo, str. 175.
22. **Drobna szlachta.** Przyczynek do poglądu na stan ekonomiczny i potrzeby małej własności ziemskiej w Królestwie. Napisał *Tymoteusz Łuniewski.* (Odbitka z „Niwy").
23. *M. Karejew.* **Zarys historyczny sejmu polskiego.** Przełożył z upoważnienia autora *Zygmunt Poznański.* Warsz. nakł. redakcyi „Głosu." 1893, 8-o, str. 253.
24. *Włodzimierz Korolenko.* **Szkice i opowiadania.** Tom II. Moskwa, 1893, 8-o, str. 411.
25. **O sposobach** oznaczania spółgłosek miękich w Psałterzu Floryańskim. Napisał *Romuald Koppen.* Kraków, 1893, 8-o, str. 35.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.